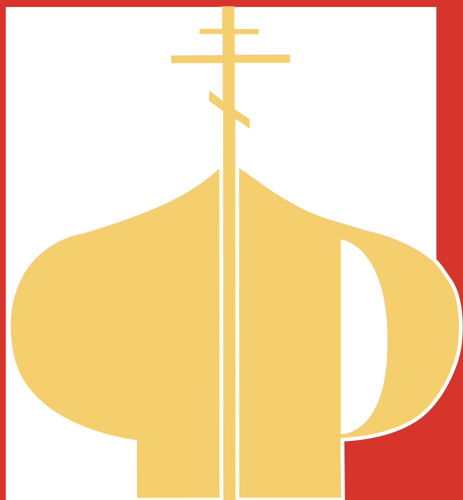
ORTHODOXIA

ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416



- Wydanie na maj i czerwiec, 84 strony
- Wielkanoc w Hawanie
- Wyprowadzał naród z niewoli grzechu
- Druga wojna i Boża pomoc

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski Nr 5-6 (419-420) maj-czerwiec 2020 cena 8 zł (w tym 8% VAT)

Fot. Anna Radziukiewicz

Paschalnej radości nad radościami która zwycięża wszystko

życzy zespół Przeglądu Prawosławnego i Fundacji Ostrogskiego

FRESK, PRZEDSTAWIAJĄCY ZDJĘCIE CHRYSTUSA Z KRZYŻA, W MONASTERZE ŚW. JERZEGO WE WSI TIEMSKA W POBLIŻU PIROT W SERBII

W numerze

SŁOWO

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga. Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało. W Nim było życie, a życie było światłością ludzi, a światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła. Pojawił się człowiek posłany przez Boga – Jan mu było na imię. Przyszedł on na świadectwo, aby zaświadczyć o światłości, by wszyscy uwierzyli przez niego. Nie był on światłością, lecz [posłanym], aby zaświadczyć o światłości. Była światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi. Na świecie było [Słowo], a świat stał się przez Nie, lecz świat Go nie poznał. Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli. Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi, tym, którzy wierzą w imię Jego – którzy ani z krwi, ani z żądzy ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili. A Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas. I oglądaliśmy Jego chwałę, chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od Ojca, pełen łaski i prawdy. Jan daje o Nim świadectwo i głośno woła w słowach: „Ten był, o którym powiedziałem: Ten, który po mnie idzie, przewyższył mnie godnością, gdyż był wcześniej ode mnie". Z Jego pełności wszyscyśmy otrzymali – łaskę po łasce. Podczas gdy Prawo zostało nadane przez Mojżesza, łaska i prawda przyszły przez Jezusa Chrystusa (J 1,1-17).

Na Liturgii w dniu święta Zmartwychwstania Pańskiego czytane są początkowe wersety Ewangelii według św. Jana o boskim Słowie. Kiedy wszystko napełnia się światłością Zmartwychwstania Chrystusa i niebiosa jednoczą się z ziemią w wychwalaniu Zwycięzcy śmierci, Ewangelia głosi kim On jest: *Na początku było Słowo* (J 1,1).

O Słowie zostało powiedziane już w Starym Testamencie: *Przez Słowo Pana powstały niebiosa i wszystkie ich zastępy przez tchnienie ust Jego* (Ps 32,6), *Posłał swe Słowo, aby ich uleczyć i wyrwać z zagłady ich życie* (Ps 106,20). Szczególnie żywo i wyraziście o potężnym działaniu Słowa Bożego mówi Księga Mądrości Salomona. Jednakże starotestamentowy lud pod pojęciem Słowa Bożego pojmował jedynie przejaw woli i działania Bożego. Teraz św. Jan głosi, że Słowo Boże jest Jednorodzonym Synem Bożym, Drugą Osobą Świętej Trójcy.

Dlaczego Syn Boży nazywany jest także Słowem? Ponieważ przez Niego Bóg Ojciec wyraża swoją wolę. Słowo Boże nie jest takie, jak słowo ludzkie. Człowiek wyraża poprzez słowo swoje myśli i pragnienia. Jednak słowo wypowiedziane przez człowieka milknie i znika, a pragnienie wyrażane przez niego czasem jest spełnione, a często pozostaje niespełnione.

Słowo Boże jest wieczne i wszechmocne. Ono jest zawsze u Boga. Słowo Boże to Druga Osoba Świętej Trójcy. Słowo jest Bogiem. Bóg Sło-

Polichromia z cerkwi św. św. Cyryla i Metodego w Bernie w Szwajcarii



wo to Syn Boży, który miłuje Ojca i wszystko dobrowolnie wykonuje zgodnie z Jego wolą. Dokładniej rzecz ujmując, wolę mają jedną i tę samą.

Bóg Ojciec miłuje Swego Syna i czyni wszystko przez Niego. Nic nie zostało stworzone przez Ojca bez Syna, „przez którego wszystko się stało". Wszystko przez Niego zaczęło istnieć i bez Niego nic nie zaczęło istnieć, co istnieje: *Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało* (J 1,3). Kiedy w Księdze Rodzaju zostało powiedziane, że podczas stworzenia świata Bóg rzekł: *Niechaj się stanie światłość* (Rdz 1,3) i *Niechaj powstanie sklepienie* (Rdz 1,6), to oznacza, że Bóg Ojciec zechciał stworzyć światłość, sklepienie i wszystko pozostałe oraz że Słowo, Jego Syn, doprowadził to do urzeczywistnienia. Słowo Boże daje życie. Jest źródłem życia: *W Nim było życie, a życie było światłością ludzi* (J 1,4).

Słowo Boże jest światłością, przez Nie objawia się Bóg Ojciec i obwieszcza swoją boską wolę: *Była światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi* (J 1,9). Tej światłości nie może ukryć żadna ciemność: *Światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła* (J 1,5).

Mrok grzechu ogarnął ludzkość po upadku, lecz nie mógł ukryć boskiej światłości.

Zgodnie z wolą Boga Ojca, Syn Boży uświęcił świat, zszedł na ziemię i wcielił się. *Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas* (J 1,14). Aby przygotować drogę dla Niego w sercach ludzi został posłany przez Boga św. Jan Chrzciciel. Głosił o Chrystusie i nawoływał, aby w Niego wierzyć, gdyż jest On Synem Bożym. Długo przed tym zostało dane prawo przez Mojżesza. Jednak prawo, ograniczając zło, nie mogło zbawić ludzi. Wprawdzie wypełniali oni literę prawa, ale pozostawali pełni zła w sobie. Dlatego świat nie poznał swego Stwórcy, Syna Bożego, który zszedł na ziemię. *Na świecie było [Słowo], a świat stał się przez Nie, lecz świat Go nie poznał. Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli* (J 1,10-11).

Strażnicy prawa nie przyjęli wcielonego Słowa, ponieważ Jego światło było dla nich nie do zniesienia. Jednak Źródło Życia, wydane przez nich na śmierć, zstąpiło do piekła, zniszczyło je, rozproszyło ciemność swoją boską światłością.

Zmartwychwstały Chrystus otworzył bramy Królestwa swojej chwały wszystkim wierzącym w Niego. Ci, którzy uwierzyli we wcielonego Syna Bożego i przyjęli Go do swoich dusz i serc, stają się dziećmi Bożymi. Łaska Boża ożywia ich duchowo, zamieszkując w nich i dając siłę, aby kochać Prawdę i wypełniać wolę Bożą. *Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi, tym, którzy wierzą w imię Jego* (J 1,12).

Odrodzeni łaską, jeśli pozostaną w niej do końca ziemskiego życia i będą podążać drogą wskazaną przez Chrystusa, prawdziwą światłość, staną się godni przyjąć od Niego nowy dar. Oni będą wiecznie cieszyć się w Królestwie Ojca Niebieskiego widokiem chwały Jego Jednorodzonego Syna, chwały, która przewyższa wszystko na świecie, jednocześnie doświadczając radości i nieopisanego szczęścia i błogości.

To samo odwieczne Słowo Boże, którym został stworzony świat, zbawiło i odrodziło rodzaj ludzki do nowego radosnego życia poprzez swoje wcielenie i zmartwychwstanie.

Świetłe zmartwychwstanie jest triumfem Boga Słowa, dniem Jego zwycięstwa nad piekłem i śmiercią, początkiem nowego życia i wiecznej radości, którą On daje.

Słowu współwiecznemu Ojcu i Duchowi, zrodzonemu z Dziewicy na nasze zbawienie, śpiewajmy wierni i kłaniajmy się, zechciało bowiem ciałem wstąpić na krzyż, przecierpieć śmierć i wskrzesić zmarłych sławnym swoim zmartwychwstaniem.

Jednorodzony Synu i Słowo Boże, Ty jesteś nieśmiertelny, śmiercią zdeptałeś śmierć, Tyś Jeden z Trójcy Świętej, wysławiany z Ojcem i Świętym Duchem, zbaw nas.

Św. Jan (Maksymowicz)
arcybiskup Szanghaju
i San Francisco

tłum. **Andrzej Charyło**
fot. **Andrzej Charyło**

W tym roku, z powodu epidemii, wierni na całym świecie znaleźli się w sytuacji zaskakującej – braku możliwości udziału w nabożeństwach. Wcześniej było to tylko udziałem chorych, starszych, oddalonych od cerkwi... Nabożeństwa transmitowano czy to za pośrednictwem tradycyjnych mediów publicznych, cerkiewnych, czy via internet od dawna, ale nigdy wcześniej nie odbywało się to na taką skalę.

Kiedy wierni muszą zostać w domu

Duchowni są zgodni. W prawosławnej teologii nie występuje, znane w Kościele rzymskokatolickim, pojęcie duchowej komunii. Życie sakramentalne wymaga aktywnego, fizycznego uczestnictwa, co przy ograniczeniu wiernych uczestniczących w nabożeństwie do pięciu osób sprawia, że przystąpienie do Eucharystii w cerkwi w czasie Liturgii jest bardzo utrudnione. To rodzi smutek.

Na falach Radia Orthodoxia o. **Marek Ławreszuk**, proboszcz białostockiej parafii Zmartwychwstania Pańskiego, liturgista, kierownik Katedry Teologii Prawosławnej Uniwersytetu w Białymstoku, wyjaśniał, że istotą nabożeństwa jest spotkanie wspólnoty z Bogiem. Ta wspólnota ma niezwykły wymiar, nie jest ograniczona murami świątyni. Podczas Liturgii modlitwy są wznoszone za tych, którzy są w świątyni, ale też za tych, którzy z różnych ważnych powodów nie mogli przybyć. Autorzy dwóch Liturgii, św. Jan Chryzostom i św. Bazyli Wielki, umieścili w wielkich ekteniach prośby za żeglujących, podróżujących, uwięzionych, cierpiących, chorych. To pokazuje, że wspólnota zebrana w jednym miejscu jest świadoma tego, że niektórzy jej członkowie nie mogli przybyć. Pozostali modlą się za te osoby. Minęło dużo czasu i niewątpliwie nasze poczucie wspólnoty zmalało. W obecnej sytuacji wspólnotowość powinniśmy podkreślać.

– Podczas Liturgii modlimy się za całe stworzenie, za cały świat. Za żywych, których widzimy, i za tych, którzy są daleko, za zmarłych, których znaliśmy, i tych co zmarli przed wiekami. Modlimy się ze świętymi i do świętych, z Bogarodzicą i do Bogarodzicy, i przede wszystkim z Bogiem i do Boga – wyjaśnia ojciec Marek. – Według prawosławnej liturgiki wszyscy w tej wspólnocie są ważni. Kapłan, który przedkłada prośby w formie wezwań, składa Dary, ale też wierni, którzy uczestniczą w modlitwie. Kapłan nie może sprawować Liturgii bez wiernych.

Praktykujemy nabożeństwa online czy też transmisje w radiu czy telewizji, bo nabożeństwo to też nauka modlitwy, pomoc w modlitwie domowej, która zawsze powinna być naszym zwyczajem, niezależnym od modlitw w świątyni. Sytuacja, kiedy wiernych nie ma w świątyni jest – mamy taką nadzieję – przejściowa. Trzeba pamiętać w swoich modlitwach o tych, którzy te transmisje przygotowują.

Ekipa wolontariuszy z działu wideo portalu Cerkiew.pl już wcześniej z powodzeniem realizowała duże projekty (choćby „Białoruskie smaki Podlasia” czy „Małe i duże podróże po cerkiewnej kulturze”), teraz realizuje też profesjonalne, wielokamerowe, często ponad dwugodzinne, wymagające też żmudnych wcześniejszych przygotowań, bezpośrednie transmisje nabożeństw. Służby święta Wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, dzięki narzędziom internetowym, Facebookowi i YouTube, obejrzało ponad dziesięć tysięcy odbiorców. W planach są bezpośrednie transmisje z nabożeństw Tygodnia Męki Pańskiej i samej Paschy, w których wierni co roku licznie uczestniczyli i które stanowiły ważny punkt w ich życiu duchowym.

Niektóre parafie zgłosiły własne inicjatywy. Na przykład przez trzy tygodnie, codziennie o 19, rozpoczynała się transmisja akatystu do Bogarodzicy przed Jej Jaczniańską Ikoną, znajdującą się w cerkwi w Jacznie właśnie. Tutejszy proboszcz, o. **Piotr Hanczaruk**, świadom problemu ze skompletowaniem chóru, który byłby w stanie sprostać wymogom wielkopostnych śródtygodniowych nabożeństw, zaproponował właśnie akatyst: – Byłem przeciwnikiem transmitowania nabożeństw, ale okazało się, że modlitwa w Jacznie spotyka się z szerokim oddźwiękiem w naszej parafii, okolicy, czy w ogóle poza granicami Polski. Było dużo podziękowań, prośby o modlitwę przychodziły choćby z Belgii. Myślę też, że nigdy wcześniej nabożeństwa przed Jaczniańską Ikoną nie były sprawowane tak często.

Z podobną inicjatywą wyszedł proboszcz parafii w Mrągowie, o. **Jarosław Kupryjaniuk**. Codzienny, przedpołudniowy akatyst do Męczenników Chełmskich i Podlaskich czasem skupiał i ponad setkę uczestników online. W 2017 roku mrągowscy parafianie, w większości uczestnicy i potomkowie uczestników Akcji Wisła, pielgrzymowali do Chełma na uroczystości ku czci Męczenników i otrzymali cząsteczkę relikwii, do cerkwi została napisana ikona, ale co chyba najważniejsze, zaczęli regularnie się modlić, czytać akatyst, uczestniczyć w molebnach. Męczennicy stali się bliscy tutejszym parafianom.

Wśród modlitw „w czasie zarazy” są też dwie autorstwa patriarchy **Filoteusza**. Porażają swoją aktualnością. Choć wielu współczesnym może się wydawać nieprawdopodobne, powstały w XIV wieku! Nasze problemy nie są nowe w skali historii ludzkości. I może warto tak jak wtedy modlić się słowami: „prawdziwa pokuta już osłabła, to, czego brakuje, niech dopełni niezmierzona Twoja łaskawość, a raczej niech dopełni wszystko, ponieważ we wszystkim jesteśmy wyniszczeni”.

Natalia Klimuk

Ducha nie gaście

Tegoroczna Pascha Chrystusowa jest inna. Przygaszona, zubożona, wyciszona i wycofana. Sprowadzona do wąskiego grona najbliższych. Okazuje się, że historia potrafi się powtarzać w przedziwny i najmniej oczekiwany sposób. Oto znów jesteśmy „małą trzódką". Jak apostołowie zamykamy się szczelnie w swych mieszkaniach nie z obawy przed ludźmi, ale przed niewidzialnym, lecz realnym i śmiercionośnym wrogiem – wirusem, który uzmysławia nam naszą kruchość i bezbronność. Jednak nawet w tej niezwykłej sytuacji, bez tradycyjnej wspólnotowości i tłumno radosnej otoczki obrzędów i zwyczajów wielkanocnych, nikt i nic nie odbierze nam sposobności bardziej osobistego, duchowego, wewnętrznego i nawet… głębszego przeżywania wielkiej tajemnicy Zmartwychwstania Chrystusowego.

W ostatnich tygodniach, akurat w okresie Wielkiego Postu, mieliśmy do czynienia z wyjątkowo trudną sytuacją i niepokojącym splotem okoliczności. 17 marca Świątobliwy Sobór Biskupów naszej Cerkwi wystosował specjalny komunikat „w związku ze stanem zagrożenia epidemicznego koronawirusem w naszym kraju i pandemią w świecie". Biskupi wezwali do czujności i odpowiedzialności, celem powstrzymania śmiercionośnej epidemii oraz do usilnych modlitw w intencji zdrowia wszystkich, w szczególności „molebna w czasie morowego powietrza". Arcypasterze wezwali duchownych do zachowania normalnego rytmu nabożeństw, jednakże z należytą roztropnością, do wzmożonej opieki duszpasterskiej, ale z uwzględnieniem wszelkich obiektywnie koniecznych środków higieniczno-profilaktycznych. W takiej atmosferze, jakże odmiennej od naszych tradycji, zwyczajów, pragnień i wyobrażeń, spotykamy największe święto Paschy-Zmartwychwstania Chrystusowego. Wszystko co rokrocznie o tym ponadczasowym, fundamentalnym dla naszej wiary i zbawienia wydarzeniu mówimy, radośnie wyśpiewujemy i oznajmiamy światu jest aktualne, tylko ten nasz świat jest inny, a wraz z nim my i nasza ludzka optyka.

NIE LĘKAJCIE SIĘ… JAM ZWYCIĘŻYŁ ŚWIAT

Chrystus Zmartwychwstał! I my zmartwychwstaniemy ku chwale dzieci Bożych! Co może być dla wierzącego człowieka ważniejsze od tej perspektywy? Mówiąc „nie lękajcie się" Chrystus zapewnia także, że to On „zwyciężył świat" i na tym zwycięstwie opiera się nasza nadzieja na ostateczne zwycięstwo. O nim św. apostoł Paweł pisał: *Gdzież jest, o śmierci twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień? Ościeniem zaś śmierci jest grzech, a siłą grzechu Prawo. Bogu niech będą dzięki za to, że dał nam odnieść zwycięstwo przez Pana naszego Jezusa Chrystusa* (1 Kor 15,55-57).

Możemy bez trudu nazwać główne źródło naszych ludzkich lęków. Zwie się ono właśnie „śmierć", owoc grzechu. Jednak Pan nasz zwyciężył śmierć, biorąc na siebie grzechy całego świata. Zwyciężył zło i śmierć, doświadczając jej na sobie i do dna wypijając całą jej truciznę. Śmierć i zmartwychwstanie Pana jest rękojmią naszego zwycięstwa, źródłem naszej eschatologicznej nadziei i teraźniejszego optymizmu. Zwracając się do chrześcijan w Rzymie św. Paweł pisał: *Jeżeli Bóg z nami, któż przeciwko nam? Któż może wystąpić z oskarżeniem przeciw tym, których Bóg wybrał? Czyż Bóg, który usprawiedliwia? Któż może wydać wyrok potępienia? Chrystus Jezus, który poniósł [za nas] śmierć, co więcej – zmartwychwstał, siedzi po prawicy Boga i przyczynia się za nami… Któż nas może odłączyć od miłości Chrystusowej? Utrapienie, ucisk czy prześladowanie, głód czy nagość, niebezpieczeństwo czy miecz? (...) Ale we wszystkim tym odnosimy pełne zwycięstwo dzięki Temu, który nas umiłował* (Rz 8,31-37).

W Ewangelii uwiecznione zostały liczne przykłady otuchy i pocieszenia ludzi, postawionych w niezwykłych sytuacjach. Marii w Nazarecie Archanioł oznajmia: *Nie bój się, Mario, znalazłaś bowiem łaskę u Boga* (Łk 1,30). W trudnych, niepokojących chwilach słowa pokrzepienia kierował do uczniów sam Jezus Chrystus – paschalne: *Pokój wam* (J 20,19), ale też wcześniejsze: *Odwagi. Ja jestem, nie bójcie się* (Mt 14,27).

Uczniom grozi niebezpieczeństwo utraty życia, ale nawet w tak skrajnym położeniu nie zostaną oni pozostawieni bez Bożej opieki: *Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle. Czyż nie sprzedają dwóch wróbli za asa? A przecież żaden z nich bez woli Ojca waszego nie spadnie na ziemię. U was zaś nawet włosy na głowie wszystkie są policzone. Dlatego nie bójcie się: jesteście ważniejsi niż wiele wróbli. Do każdego więc, który się przyzna do Mnie przed ludźmi, przyznam się i Ja przed moim Ojcem, który jest w niebie* (Mt 10,28-33).

Pan nasz powiedział: *Nie bój się mała trzódko* (Łk 12,32).

Ktoś może zaprotestować: jakie małe stadko? Jaka mała trzódka? Chrześcijan wszystkich wyznań i denominacji jest na świecie ponad dwa miliardy! Naszych prawowiernych braci i sióstr jest kilkaset milionów! Tak, ale to tylko sucha statystyka, raczej wszyscy włącznie z nominalnymi wyznawcami, natomiast dobrze wiemy, że ci prawdziwi wierni ciągle

Pascha, obraz Nikołaja Pimonienki



byli i są w mniejszości. Szczególnym znakiem naszych czasów jest wiara bez prawa jej manifestacji, zredukowana do nazwy bądź usunięta ze sfery publicznej do całkowicie prywatnej.

HISTORIA SIĘ POWTARZA

W sensie powtórki z historii niezwykle wymowny wydaje się być tekst, który przez niektórych jest w ogóle uważany za pierwszą księgę Nowego Testamentu. Jest to I List św. apostoła Pawła do Tesaloniczan.

Przyjęło się uważać, że apostoł napisał go podczas swej bytności w Atenach w 50-51 roku i adresował do założonej przez siebie nowej gminy w ówczesnych Tesalonikach (Salonikach). Do apostoła dochodziły niepokojące wieści, że oto w mieście, z którego sam był zmuszony uchodzić, chrześcijańscy neofici cierpią szykany i prześladowanie.

Część miejscowych Żydów i Greków wrogo odnosiła się do chrześcijan i prowokowała pogromy. Chrześcijanie z Tesalonik wierzyli w rychłe powtórne przyjście Zbawiciela, ale to się przeciągało. Wielu zadawało sobie pytanie: a jak będzie wyglądać ta paruzja i Sąd Ostateczny? Jeszcze inni głęboko przeżywali los tych, którzy pomarli wcześniej, bo nijak nie mogli sobie wyobrazić ich zmartwychwstania. Z kolei neofici spośród Żydów nie mogli zrozumieć, dlaczego mają zrezygnować z Prawa Mojżeszowego? W tej sytuacji ewidentnego kryzysu wiary młodzi chrześcijanie ulegli apatii i zniechęceniu, zaniedbując także normy moralności chrześcijańskiej.

I oto do tych nieutwierdzonych w wierze Tesaloniczan apostoł Paweł pisał o niespodziewanym nadejściu dnia ostatecznego i zasadach ładu społecznego chrześcijan: *Nie potrzeba wam, bracia, pisać o czasach i chwilach. Sami bowiem dokładnie wiecie, że dzień Pański przyjdzie tak, jak złodziej w nocy. Kiedy bowiem będą mówić: «Pokój i bezpieczeństwo» – tak niespodzianie przyjdzie na nich zagłada. (…) Nie śpijmy przeto jak inni, ale czuwajmy i bądźmy trzeźwi (…) odziani w pancerz wiary i miłości oraz hełm nadziei zbawienia. Ponieważ nie przeznaczył nas Bóg, abyśmy zasłużyli na gniew, ale na osiągnięcie zbawienia przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, który za nas umarł, abyśmy, czy żywi, czy umarli, razem z Nim żyli. (...) Między sobą zachowujcie pokój! Prosimy was, bracia, upominajcie niekarnych, pocieszajcie małodusznych, przygarniajcie słabych, a dla wszystkich bądźcie cierpliwi! Uważajcie, aby nikt nie odpłacał złem za złe, zawsze usiłujcie czynić dobrze sobie nawzajem i wobec wszystkich! Zawsze się radujcie, nieustannie się módlcie! W każdym położeniu dziękujcie, taka jest bowiem wola Boża w Jezusie Chrystusie względem was. Ducha nie gaście, proroctwa nie lekceważcie! Wszystko badajcie, a co szlachetne - zachowujcie! Unikajcie wszystkiego, co ma choćby pozór zła. (...) Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa z wami!* (1 Tes 5,1-28).

Apostoł z wielkim naciskiem podkreśla swój apel: „Ducha nie gaście!". Widać można zgasić w sercach Ducha Świętego skoro św. Paweł upomina, by nie dopuścić do tego. „Zgasić", „zagasić" wielokrotnie pojawia się na stronicach Pisma Świętego zawsze w kontekście ognia lub światła (por. Mt 12,20;25,8; Mk 9,44;46;48; Ef 6,16; Hbr 11,34). Według słów Chrystusa, napełniona łaską Ducha Świętego Cerkiew jest „światłem świata". Tej łaski bardzo pragnął psalmista Dawid, kiedy modlił się: *Nie odrzucaj mnie od swego oblicza i nie odbieraj mi świętego ducha swego!* (Ps 50,13). Można utracić Bożą moc w sobie i przestać być „światłem dla świata" kiedy Duch Święty przestaje działać w nas. Wówczas nie przynosimy także owoców Ducha, które przelicza św. Paweł (Ga 5,22-23).

Jednak apostoł z pełnym przekonaniem pisał o znikomej skuteczności zjawisk wrogich człowiekowi, *że Ten, który wskrzesił Jezusa, z Jezusem przywróci życie także nam i stawi nas przed sobą razem z wami. (...) Dlatego nie poddajemy się zwątpieniu, chociaż bowiem niszczeje nasz człowiek zewnętrzny, to jednak ten, który jest wewnątrz, odnawia się z dnia na dzień. Niewielkie bowiem utrapienia naszego obecnego czasu gotują bezmiar chwały przyszłego wieku dla nas, którzy się wpatrujemy nie w to, co widzialne, lecz w to, co niewidzialne. To bowiem, co widzialne, przemija, to zaś, co niewidzialne, trwa wiecznie* (2 Kor 4,14-18).

PARADOKS
OBECNEJ SYTUACJI

Mimo świątecznego okresu wręcz nie sposób opędzić się od refleksji, przepełnionych nabożną trwogą. Oto były w naszej cierpiętniczej historii czasy trudne i złe – straszliwe wojny, wyniszczające zarazy, przewrotna unia, tragiczne uchodźstwo (bieżeństwo), gdy z rozmaitych przyczyn zdziesiątkowani byli wierni, brakowało kapłanów, w ogóle nie było świątyń i nie odprawiano nabożeństw.

A teraz? Jest prawie wszystko: piękne świątynie, gorliwi kapłani, pobożni wierni, wspaniałe nabożeństwa, jest niezmienne i gorące „umiłowanie piękna domów Bożych” (z modlitwy *zaamwonnej*), jest pragnienie wspólnotowej, uroczystej demonstracji wiary prawosławnej, tylko (...) nie ma takiej możliwości. I co ciekawe, tym razem mamy do czynienia nie z zakazem udziału w nabożeństwach podyktowanym znaną nam z nieodległej przeszłości wrogością, lecz wynikającym z medycznej rozwagi i autentycznej troski.

Niewyobrażalny ból przeszywa niejedno serce, gdy bliscy w pobliskim szpitalu umierają w cierpieniu i samotności, bo nie wolno ich odwiedzać. Przejmujący, trudny do zniesienia jest widok, gdy za trumną, w stosownej, bezpiecznej odległości, stoi tylko kilka najbliższych osób albo sam kapłan. Straszne doświadczenie. Zraniona, dawkowana jak kroplówka miłość rodzinna. Ciężka duszpasterska próba. Jednak właśnie w taki sposób, przedziwnym i niepojętym zrządzeniem Opatrzności, historia zatoczyła wielkie koło i znów jesteśmy w sytuacji podobnej do położenia pierwszych chrześcijan.

Dla wierzącego człowieka czymś zgoła najcenniejszym i najdroższym jest niezachwiana pewność, że utrapienia naszego obecnego czasu gotują bezmiar chwały przyszłego wieku. Tak. Ufamy w Bożą miłość.

Wierzymy i pamiętamy, że mamy w niebie Ojca, który nas umiłował i nadal kocha. Pomimo brzemienia trudów i przeciwności nie załamujmy się, nie traćmy nadziei, ponieważ nadal pozostajemy w rękach miłosiernego Boga Ojca. Ci, którzy żyją tą prawdą i pamiętają o Bożej miłości, mają w sobie więcej spokoju, harmonii i optymizmu.

Jeżeli „dla nas i dla naszego zbawienia Jezus Chrystus umarł i zmartwychwstał”, to choćby wokół nas świat się walił, będziemy mieć w sobie i pokój i wewnętrzną radość.

Zaprawdę Chrystus Zmartwychwstał!

o. Konstanty Bondaruk

Prawda was wyzwoli

W całym okresie paschalnym w cerkwiach jest odczytywana Ewangelia według św. Jana, cel napisania której sam autor wyjaśnia następująco: *To zaś zapisano, abyście wierzyli, że Jezus jest Mesjaszem, Synem Bożym, i abyście wierząc mieli życie w imię Jego* (J 20,31). Natomiast w charakterze wiodącej myśli zwykle przytacza się słowa Ewangelisty: *Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy kto w Niego wierzy nie zginął, ale miał życie wieczne* (J 3,16). W czwartym tygodniu wielkanocnym (16 maja) słyszymy relację z burzliwej dyskusji Jezusa Chrystusa z Żydami (J 8,31-42), gdzie już na wstępie padają mocne, kategoryczne słowa: *Jeżeli będziecie trwać w nauce mojej, będziecie prawdziwie moimi uczniami i poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli*.

Trzeba od razu przyznać, że ta jedna z najsłynniejszych fraz biblijnych, podobnie jak kilka innych, została okrojona i przez to pozbawiona swego pierwotnego znaczenia. W tej skróconej formie jest ona zdecydowanie nadużywana. Pewnie nie wszyscy wiedzą, że hasło *The truth shall make you free* (Prawda was wyzwoli) jest mottem amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA). Pomimo niewątpliwych dokonań tej utajnionej organizacji, nawet ze szczątków informacji wiemy, że częstokroć jej cele są wątpliwe a metody działania nijak się mają zarówno do „prawdy” jak i do „wolności”.

Niektórzy tłumaczą te słowa o wyzwalającej prawdzie w ten sposób, że tylko człowiek myślący, krytyczny wobec każdej informacji, świadomy i wykształcony może być prawdziwie wolny, natomiast łatwowierny, naiwny, prostak i analfabeta łatwo będzie zmanipulowany i podporządkowany czyjejś woli. „Prawda wyzwoli” mówi się nawet wtedy, gdy w grę wchodzi wywlekanie na wierzch czyichś brudów, niegodziwości, których nie dostrzegaliśmy w człowieku i byliśmy nim zachwyceni, oczarowani. Z drugiej strony mówi się też, że uznanie całej prawdy o sobie otwiera człowieka na możliwość szczerej pokuty i zadośćuczynienia. W sumie niewielu ludzi właściwie rozumie pojęcie wolności i postrzega ją przeważnie jako brak ograniczeń, a to jest prosta droga do samowoli i anarchii. Jednak w Ewangelii słyszymy coś zupełnie innego – to nie „prawda” wyzwala, ale Chrystus. On jest tą Prawdą, która wyzwala i przy tym nie z dowolnej niewoli, lecz z niewoli grzechu i wtedy dawny niewolnik staje się wolnym Bożym dzieckiem.

Podczas nauczania na dziedzińcu świątynnym Jezus najpierw zawstydził znawców Pisma ich nieznajomością Prawa na przykładzie kobiety przyłapanej na cudzołóstwie (J 8,3-11). Następnie otwarcie powiedział o sobie: *Ja jestem światłością świata* (J 8,12), co wywołało dodatkowe pytania o jego tożsamość. Chrystus zaświadczył im o swoim posłannictwie i wyjątkowej relacji z Bogiem Ojcem. *Wy jesteście z nicości, Ja zaś z wysokości; wy jesteście z tego świata, a Ja nie jestem z tego świata. (...) Jeśli bowiem nie uwierzycie, że to Ja jestem, pomrzecie w swoich grzechach* (J 8,23-24) – oznajmił słuchaczom, kończąc słowami: *A ten, który mnie posłał, jest ze mną; nie zostawił mnie samego, bo ja zawsze czynię to, co się Jemu podoba* (J 8,29). *Jeżeli prawdę mówię, dlaczego Mi nie wierzycie? Kto jest z Boga, słów Bożych słucha. Wy dlatego nie słuchacie, że z Boga nie jesteście*

(J 8,31-47). Dalszy ciąg ostrego sporu zakończył się tym, że *wtedy porwali za kamienie, aby rzucić na niego, lecz Jezus ukrył się i wyszedł ze świątyni* (J 8,59). Jednak dzięki nauczaniu nieopodal świątynnego skarbca „wielu uwierzyło w niego” i właśnie do nich zostały skierowane te kluczowe słowa o „prawdzie” i „wyzwoleniu”.

Trwanie w nauce Jezusa prowadzi do nabycia statusu Jego ucznia, poznania prawdy i wyzwolenia (8,31-32). Jednak to stwierdzenie spotyka się ze sprzeciwem rozmówców Chrystusa. Jako potomkowie Abrahama uważają się oni za ludzi wolnych. Jednak Chrystus mówi im o niewoli grzechu, w której tkwią jego rozmówcy również w tej chwili. Z tej niewoli skutecznie może uwolnić, obdarowując prawdziwą wolnością, jedynie Syn. Autentyczni potomkowie Abrahama powinni naśladować go. Tak jak Abraham bez szemrania pełnił Bożą wolę i słuchał Boga, tak również rozmówcy Jezusa powinni uwierzyć w Niego, Jezusa Chrystusa, jako odwiecznie istniejącego Syna Bożego. W konsekwencji odrzucający go jako starszego od Abrahama nie są prawdziwymi synami patriarchy, więc nie są też prawdziwie wolni. To było dla Żydów za trudne. Zaskorupiali w swoim pojmowaniu świata, Prawa, Boga, nie potrafili wyjść poza ten ściśle zamknięty krąg. Chrystus wypowiada pod adresem uczonych w Piśmie straszliwą, dosadną krytykę. *Wy z ojca diabła jesteście i żądzom ojca waszego chcecie czynić zadość. (...) Wy dlatego nie słuchacie, że z Boga nie jesteście.*

Judejczycy powszechnie wierzyli, że pochodzenie od Abrahama i Boże wybrańswo gwarantowały im zbawienie. W odróżnieniu od filozofów greckich, dla których wolność oznaczała uwolnienie „od fałszywych poglądów lub trosk”, w judaizmie wolność to przekonanie, że „złe skłonności, które czyniły pogan grzesznymi, nie zdołają ich zniewolić”. To dlatego padło to zdanie: *nigdy nie byliśmy poddani w niczyją niewolę*. Zarówno wolność, o której mówi Jezus, jak i wolność, o jakiej mówią jego rozmówcy, należy rozumieć w sposób „duchowy”. Żydzi pomimo rozlicznych politycznych niewoli nigdy nie utracili duchowej wolności, która wyrażała się w praktykowaniu wiary ich ojca Abrahama. W czasie ziemskiego życia Chrystusa mieli swoich królów, rzymskie marionetki, pozostawali pod okupacyjną władzą Rzymu, ale w sprawach religii cieszyli się wyjątkowo dużą autonomią. Właśnie ich religijna duma została wystawiona na próbę, gdy Jezus proponuje im „rzeczywistą”, wewnętrzną wolność. Nie uwierzyli, że Jezus jest Synem Bożym. Gdyby Bóg był ich ojcem, to umiłowaliby Jezusa i radośnie przyjęliby Go. Nie uwierzyli, toteż kłamstwo nie uczyni ich wolnymi.

ŹLE ROZUMIANA WOLNOŚĆ

Wolność jest jednym z najważniejszych pragnień ludzkich, a dla Żydów była to kwestia wręcz obsesyjna. Oto teraz, gdy przemawia do nich Chrystus, żyją pod okupacją rzymską i oczekują Mesjasza – Wybawcy. Zniewolenie przez Rzymian było dla nich jakąś ironią losu, straszliwą pomyłką historyczną, jak wcześniej niewola egipska i babilońska. Będąc rzymskimi poddanymi, Żydzi wciąż uważali się za niezależnych od Rzymu.

Fanatyczne przekonanie o swej wyjątkowości i Bożym wybrańswie były przedmiotem kpin ze strony cudzoziemców. Toteż gdy tylko podjęta została drażliwa kwestia wolności, dotknięto ich czułego punktu, Żydzi nastroszyli się. Jednak Nauczyciela nie obchodziła ani polityczna wolność, ani niezależność państwowa. Mówił im o wolności od grzechu, o swobodzie bycia tym, kim człowiek chce być, o wyższej, bezwarunkowej wolności, którą może ofiarować tylko Bóg. Każdy człowiek, niezależnie od swej pozycji społecznej, jest skazany na zniewolenie przez najprzeróżniejsze rzeczy i zjawiska. Każdy jest zakładnikiem chociażby swego ciała, jest niewolnikiem czasu i jest skazany na nieuchronną śmierć. Życie człowieka częstokroć jest uwarunkowane grzesznymi nawykami i zależnościami.

W ciągu całej historii ludzkości poszczególni ludzie, grupy i całe narody usiłowały zrzucić z siebie to, co nazywano jarzmem niewolnictwa. Walka o niepodległość pochłonęła więcej istnień ludzkich niż jakakolwiek inna idea lub namiętność. Jednak samo pojęcie wolności nie zostało stworzone przez człowieka, ale dla człowieka. Wolność to biblijna koncepcja, która jest zarazem istotą Stwórcy i naszą istotą jako nosicieli obrazu i podobieństwa Bożego. Dowolna forma niewolnictwa, przejawiająca się w katorżniczej pracy, przemocy, ekonomicznym ucisku, fałszywej ideologii, przemocy w rodzinie, w każdej tyranii, zawsze będzie pozostawać grzechem i będzie wzbudzać pragnienie wyzwolenia.

Kiedy Bóg stworzył człowieka, obdarzył go wolnością i powierzył mu panowanie nad pozostałym stworzeniem (Rdz 1,26). Bóg nigdy nie zakładał panowania nad innym człowiekiem. Skąd więc wzięło się niewolnictwo? Wskutek odrzucenia Bożego zwierzchnictwa. Wraz z buntem i nieposłuszeństwem naruszona została bliska więź z Bogiem i wewnętrzna harmonia człowieka.

Następstwem grzechu stał się podporządkowany status kobiety i katorżnicza, niewdzięczna praca mężczyzny. Niezależność od Boga, iluzoryczne pragnienie wolności doprowadziły do stanu zależności, a więc i zniewolenia człowieka. Bóg oznajmił Ewie: *Obarczę cię niezmiernie wielkim trudem twej brzemienności, w bólu będziesz rodziła dzieci, ku twemu mężowi będziesz kierowała swe pragnienia, on zaś będzie panował nad tobą. Do mężczyzny zaś [Bóg] rzekł: Przeklęta niech będzie ziemia z twego powodu: w trudzie będziesz zdobywał od niej pożywienie dla siebie po wszystkie dni twego życia. (...) W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz!* (Rdz 3,16-19). Najtragiczniejsze zniewolenie zawsze dotyczy psychiki. *Jakie są myśli w człowieku, taki i on sam* (Prz 23,7). Kiedy człowiek domaga się wolności i sprawiedliwości, to znaczy, że czuje się niewolnikiem. Stan wolności w umyśle jest ważniejszy niż zewnętrzna wolność. Nie będziemy wolni dopóty,

Jesteśmy dziećmi Abrahama, obraz Franka Salisbury'ego



dopóki jest w nas mentalność niewolnika. Żydzi weszli do Ziemi Obiecanej, kiedy narodziło się nowe pokolenie, które nie znało niewoli (mogli dojść w ciągu jedenastu dni, ale szli przez 40 lat!). Jeżeli człowiek jest świadom Bożej opieki i przewodnictwa, to żadne czynniki zewnętrzne – np. ateistyczne, opresyjne państwo – nie są w stanie człowiekowi zaszkodzić wbrew Bogu. Człowiek nie stanie się prawdziwie wolny, dopóki nie zacznie właściwie myśleć.

FILOZOFICZNE POJMOWANIE WOLNOŚCI I PRAWDY

Przez stulecia najtęższe umysły filozoficzne (Platon, Arystoteles, Plotyn, Spinoza, Augustyn, Sartre oraz inni wielcy pisarze i myśliciele) głowili się nad definicją wolności i prawdy, ale ta mitręga zaowocowała jedynie kolejnymi teoriami i hipotezami. Jako wierzący ciągle musimy odpierać mocny zarzut, że chrześcijaństwo (jak zresztą każda religia) ogranicza człowieka w jego wolnym wyborze i czyni mniej wolnym. Jak można – powiadają niewierzący – wyobrazić sobie człowieka wolnym przy założeniu istnienia Wszechmogącego Boga, który determinuje wszystkie ludzkie działania? Wszak prawosławni uważają się za „sług (niewolników) *rabow* Bożych" i z tego podporządkowania uczynili największą cnotę. Bóg zabrania wielu rzeczy, które są dostępne niewierzącym. Ponadto tam, gdzie nie ma wolności, nie ma też miejsca na etykę.

Zdumiewające rozumowanie. Przecież właśnie odrzucając Boga, ludzie odrzucili też tradycyjną moralność. Fiodor Dostojewski w „Braciach Karamazow" powiedział, że „jeśli nie ma Boga, to wszystko jest dozwolone". Te prorocze słowa sprawdziły się w całej straszliwej pełni w eksplozji bolszewickiego barbarzyństwa, kiedy wywrócone zostało do góry nogami pojęcie dobra i zła. Już bł. Augustyn stwierdził, że prawdziwie wolny jest tylko Bóg, ponieważ wszystko jest w Jego władzy i nic Go do niczego nie przymusza. Człowiek jako „obraz Boży" też ma w sobie wolność, ponieważ jednak człowiek nie jest wszechmogący, to ten dar przejawia się pod postacią wyboru.

Wierzący w Chrystusa postępują *jak ludzie wolni [postępujcie], nie jak ci, dla których wolność jest usprawiedliwieniem zła, ale jak niewolnicy Boga* (1 P 2,16). Dlatego prawda, czyli Chrystus, daje człowiekowi prawdziwą wolność, której nie sposób osiągnąć na drodze samowoli.

ŻYĆ W PRAWDZIE

Niestety, wciąż powtarza się historia, o której pisał prorok Izajasz, że są tacy, którzy *mówią, że dobre jest złe, a złe jest dobre, którzy ciemność przedstawiają jako światło, a światło jako ciemność, którzy gorycz przedstawiają jako słodycz, a słodycz jako gorycz* (Iz 5, 20). Ludzie wypowiadają i prezentują tyle różnych i sprzecznych poglądów, filozofii i stylów życia, że wszystko, włącznie z prawdą i wolnością, staje się rozmyte i względne. Często zadaje się pytanie: „Gdzie tej prawdy szukać? Jak rozpoznać prawdę? Czy prawda jest jedna i kompletna, czy też mogą być półprawdy?". W sferze publicznej kwestia prawdy jest podnoszona tak często i przy tylu okazjach, często przez ewidentnych krętaczy, że niemal całkowicie się zdewaluowała. Prawda, nawet ta zwyczajna, życiowa, codzienna, nie jest lubiana, raczej się jej boimy, bo może przemawiać przeciwko nam. Nieprzyjemna, gorzka jest prawda z ust lekarza, który nie chce kłamać, wiedząc o wykrytej groźnej chorobie. Nie chcemy słuchać słów potępienia pod naszym adresem nawet ze strony życzliwych nam ludzi. Również Bóg często jest odrzucany nie z rozumowych przesłanek, ale głównie przez tych, którym zwyczajnie ciąży wymóg życia w prawdzie.

Obrona prawdy we współczesnym świecie jest skomplikowana choćby z tego powodu, że najbardziej podstępną formą kłamstwa jest tzw. poprawność polityczna. Trudno jest człowiekowi bronić prawdy, skoro wszędzie słyszy, że nie ma absolutnej prawdy, że nikt nie włada nią w pełnym stopniu, że samo wyobrażenie o prawdzie i słuszności jest subiektywne. Ponadto żyjemy w informacyjnej epoce, w której skazani jesteśmy na gigabajty kłamstwa i manipulacji, kiedy chcą nas uczynić bezmyślnymi konsumentami rozmaitych dóbr. W istocie mamy do czynienia z propagandą, w której prawda i fałsz pozbawione są moralnego fundamentu i pozostają czysto umowną sprawą. Totalne, wszechobecne kłamstwo czyni je czymś rutynowym i banalnym. Wiemy, że natrętna reklama

coraz to nowych wspaniałych, cudownych rzeczy i usług jest nieprawdziwa, ale reagujemy na to spokojnie, jak na coś zupełnie normalnego. Przyzwyczailiśmy się.

Ludzie mogą mieć o sobie dowolne wyobrażenia i mniemanie, ale to nie ma znaczenia. Trzeba przede wszystkim znać Bożą prawdę o swoim życiu, co Bóg myśli o nas. W Księdze Daniela (5 rozdział) jest opisana uczta Baltazara, króla Babilonu. Gdy wielki władca i jego dworzanie beztrosko jedli i pili z naczyń zrabowanych w świątyni jerozolimskiej, pojawiła się tajemnicza ręka, pisząca na ścianie. Napis głosił, że nadchodzi koniec królestwa i rzeczywiście w tę noc Baltazar został zabity. Beztrosko ucztując, nie wiedział, że jego armia już została rozbita przez Persów i ci właśnie zbliżają się do miasta. Zdawało się mu, że jest najpotężniejszym władcą świata, ale Bóg posłał mu słowa gorzkiej prawdy. Baltazar ujrzał to groźne ostrzeżenie, ale nie zdążył się nawrócić.

Każdy może uważać, że jego sprawy są w najlepszym porządku, ale w istocie tak nie jest. Ta ręka pisząca na ścianie symbolizuje Chrystusa, który przyszedł na świat objawić prawdę oraz to, jak bardzo i jak często mylimy się w samoocenie.

Boża prawda może być dla nas nie tylko nieprzyjemna, ale i bolesna, jednak jest w niej wolność i wyprostowanie naszej skrzywionej optyki. Bóg z miłości do nas posłał Syna Swego, abyśmy w jego świetle poznali prawdę o nas samych, że trwamy w grzechu, który wiedzie ku zatraceniu. Jednak Jezus nie przyszedł, aby nas sądzić, ale zbawić.

Stanie się to możliwe wówczas, gdy poznamy prawdę, kiedy każdy człowiek uświadomi sobie, że jest grzesznikiem, kiedy nawróci się i poprosi o przebaczenie. Przez zrozumienie, że grzech staje pomiędzy nami i Bogiem człowiek może wyzwolić się i żyć w chwale Bożej.

Obecnie najbardziej krzepiąca jest dla nas prawda, że *Christos Woskriesie*!

o. Konstanty Bondaruk

Wielkanoc w Hawanie

Planując naszą dwumiesięczną podróż z dziećmi, czteroipółletnią Zosią i Tamarą, która właśnie na Kubie kończy roczek, przez Amerykę Środkową i Północną, ustalamy wszystko tak, by na Wielkanoc znaleźć się w Hawanie, bo tam jest cerkiew. I chociaż potrafię wyobrazić sobie Paschę bez rodzinnych spotkań, gości, przygotowań jedzenia i stołu, to nie potrafię wyobrazić jej sobie bez cerkwi. Rok wcześniej Wielkanoc spędzam, rodząc Tamarę. Pamiętam, jak odpisuję na życzenia: *Woistinu Woskresie* mojej starszej druhnie z wesela: „My właśnie na porodówce”. Nie było wtedy gości, nie było cerkwi i tej cerkwi brakowało mi najbardziej. Dlatego wiedząc, że kolejną Wielkanoc spędzamy na Kubie, chciałam mieć pewność, że będziemy mogli w tym czasie być przede wszystkim w cerkwi. W Hawanie znajduje się Catedral Ortodoxa Nuestra Señora de Kazán, czyli *Православный Собор Богоматери Казанской*.

O Kubie trzeba wiedzieć jedną rzecz: nie ma tam prawie nic do kupienia. Każda rzecz, którą zobaczycie w *casie*, czyli domu, gdzie się zatrzymacie, będzie zdobyta cudem lub sposobem, przez załatwianie. W nielicznych sklepach towar jest „rzucany” jak w PRL-u, więc jeśli uda ci się rozepchać łokciami i złapać coś, to jest twoje, cieszysz się z tego, bez różnicy co to jest. Coraz to nowsze i nieoczekiwane embarga owocują tym, że o ile wczoraj czarna herbata była złotem, to dziś takim złotem są kurczaki lub olej importowany z Brazylii. Jak Kubańczycy potrafią żyć w takiej niepewności, pozostaje tajemnicą. Część rzeczy jest przywożona na sprzedaż z Ameryki Środkowej i Południowej, na przykład Belize. Coś w stylu wyjazdów pokolenia naszych rodziców za czasów ZSRR na handel na Białoruś chociażby. Są oczywiście sklepy dla turystów, w rodzaju Peweksów. Można zapłacić tam jedynie w CUC, czyli kubańskiej walucie dla turystów. W tej sytuacji zrozumiałe jest, jak bardzo różniły się nasze przygotowania do Paschy na Kubie od tych na Podlasiu.

SPOWIEDŹ

W Wielki Piątek udaje się nam w cerkwi spotkać z miejscowym batiuszką i umówić na spowiedź. Mając tylko jednego batiuszkę, trudno oczekiwać, że będzie odprawiał służbę i wyspowiada wszystkich w tym samym czasie. Zatem trzeba to brać pod uwagę i ustalać termin spowiedzi wcześniej.

Batiuszka jest Rosjaninem, więc rozmawiamy po rosyjsku. Zna oczywiście i hiszpański. Moja spowiedź odbędzie się w języku rosyjskim, spowiedź mojego męża po angielsku, bo jak to batiuszka ujął: „W końcu to jest wasza rozmowa z Bogiem, ja tylko przy was stoję. Nie mnie mówicie swoje grzechy. Powiedzcie Bogu, co wam leży na sercu, podziękujcie za to, co was uszczęśliwia i poproście o to, czego wam trzeba. To wy rozmawiacie z Bogiem”.

JAJKA

Przypominam sobie poprzednie Wielkanoce i kwestię jajek. W przygotowaniach do Wielkanocy zawsze jest jakiś problem. A to nie ten kolor jajek, a to pękło przy gotowaniu, jak tu ze wszystkim się wyrobić. Napięcie związane z wielkanocnymi jajkami opada wraz z pierwszą kroplą wody święconej, która ląduje na święconce. Ale co, jeśli nie ma jajek?

Co rano do naszej *casa* przychodzi MiLady, która szykuje nam śniadanie. MiLady mówi tylko po hiszpańsku, nasz hiszpański to ciągle raczej koncert życzeń niż umiejętność. Mimo to potrafimy się jakoś dogadać. Zacznę od tego, że MiLady to rzeczywiste imię, Kubańczycy pod tym względem







Katedra Kazańskiej Ikony Matki Bożej
Poświęcenie pokarmów
Nabożeństwo paschalne

są bardzo pomysłowi. Jeśli macie kryzys kreatywności, a musicie wybrać imię dziecku zapraszam na Kubę. Tu oprócz hiszpańskojęzycznych standardów, spotkacie Dafne, Ozisirisa, Lisandrę (imię, które jest hybrydą Lisy i Aleksandry, wyraźnie ktoś nie mógł się zdecydować), Dunię czy właśnie MiLady.

Wróćmy jednak do jajek. W skład kubańskiego śniadania przeważnie wchodzą jajka. Prosimy więc MiLady, by ugotowała nam je zamiast smażyć czy robić z nich omlet i tłumaczymy, że jesteśmy prawosławni i w niedzielę jest nasza Wielkanoc (ciekawostka: Wielkanoc po hiszpańsku to nic innego tylko *Pascua*). *Casa*, w której mieszkamy, sąsiaduje z cerkwią, więc bycie prawosławnym nie jest dla MiLady niczym nadzwyczajnym. Jednakże lata komunizmu zrobiły swoje i jeśli spytać Kubańczyków, jak wierzący świętują Wielkanoc na Kubie, często można usłyszeć opowieści o Nowym Roku, czy Bożym Narodzeniu. Dostajemy swoje ugotowane jajka, a na śniadanie jemy sałatkę owocową. Oczywiście moglibyśmy poprosić o dodatkowe jajka, znamy jednak realia kubańskie zbyt dobrze, by sprawiać naszym gospodarzom dodatkowy kłopot.

ŚWIĘCONKA

Zosia pomalowała jajka czarnym pisakiem, gdyż kolorowe kredki i mazaki zostawiliśmy dzieciom, które spotykaliśmy w trakcie naszej podróży. Tak więc jajka były białe w czarne szlaczki. Położyliśmy je w kartonowej podstawce, która została nam po opakowaniu ze słoiczkami Tamary. Pod spód chusteczka do nosa. Podstawkę wstawiliśmy w kapelusz Zosi, udało nam się znaleźć również kilka zielonych listków do ozdoby, choć Stara Hawana nie grzeszy roślinnością. I z taką święconką poszliśmy do cerkwi. Była to najpiękniejsza święconka, jaką kiedykolwiek przygotowaliśmy.

ŚWIĘCENIE JAJEK

Po piątkowym nabożeństwie wynosu Płaszczenicy mamy wrażenie, że prawosławnych w Hawanie jest jedynie garstka. Nic bardziej mylnego.

Święcenie jajek nie różni się niczym od tego, które znamy z Bielska czy Monachium. Jest uroczyście, tłoczno, hucznie i radośnie. Patrząc na kolorowe rosyjskie kulicze i pięknie ozdobione jajka, zapominam przez chwilę o biedzie na zewnątrz. Słyszymy pierwsze paschalne pieśni i cóż tu mówić, czujemy się jak w domu. Batiuszka kropi wodą nas i święconki. Woda pada na wszystkie z nich, woda święci każdą z nich i tę z wyrośniętym

mazurkiem, i naszą z jajkami w czarne szlaczki w Zosinym kapeluszu. W końcu Paschę nosi się w sercu.

Przed wyjściem z cerkwi dogania nas jedna z parafianek i daje Zosi kolorowe jajeczko.

ХРИСТОС ВОСКРЕСЕ

W kwietniu noce na Kubie rzadko dają odpocząć. Większość z nich zamiast kojącego wiatru, uderza powiewem lepkiego powietrza. Środek nocy to również upał. Cerkiew jest klimatyzowana, więc ubieram dziewczynki w rajstopki i biorę kilka większych chustek do przykrycia, gdyby usnęły. Na nocne nabożeństwo zabieramy Zosię i Tamarę. Bierzemy też wózek i nosidełko, by w międzyczasie dziewczynki mogły pospać i by nam wszystkim udało się podejść do *Pryczastija*. Mieszkamy prawie przy samej cerkwi, więc mamy możliwość powrotu w każdej chwili do domu, gdyby dzieciom było zbyt trudno.

Pod cerkwią stoją luksusowe samochody, których nigdy do tej pory nie widziałam na Kubie. W środku cerkiew pęka w szwach. Kobiety w najnowszych sukienkach od projektantów, mężczyźni w garniturach. Wszystko to zdaje się tak nierealne.

Przed północą, jak i w Bielsku, w cerkwi w Hawanie gasną światła, z ołtarza dobiega ciche *Woskresienije Twoje Christie Spasie...* Wychodzimy z *krestnym chodom* na zewnątrz i przy biciu dzwonów obchodzimy dookoła cerkiew, trzymając w rękach zapalone świece. Patrzę na port w Hawanie i nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy i że również tu Chrystus zmartwychwstał.

* * *

Zostaliśmy w cerkwi na całym nabożeństwie. A potem wróciliśmy do domu, by *rozhowiecca* naszymi jajkami i raz jeszcze powiedzieć sobie nawzajem *Христос Воскресе!*

Chcielibyśmy podziękować batiuszce, jego rodzinie i kubańskim prawosławnym za to, że wraz z nimi mogliśmy przeżyć tę cudowną Paschę. *Spasi Hospodi!*

Justyna Saczko
fot. **archiwum autorki**

Śpiew duszy

To niespotykana płyta. Wiktor Krukowski jest przecież jeśli nie jedynym to z pewnością jednym z nielicznych kompozytorów muzyki cerkiewnej w powojennej historii naszej Cerkwi. Jego kompozycje, które od kilkunastu lat rozbrzmiewają tu i tam w podlaskich świątyniach, teraz trafiły do naszych domów. To piękny prezent, jakim chór dojlidzkiej parafii św. Eliasza uhonorował swego długoletniego dyrygenta i to w przededniu, co nie było zamierzone, setnej rocznicy jego urodzin.



Wiktor Krukowski (w białej koszuli) z rodzicami i rodzeństwem

Wiktor Krukowski**, który niemal całe swoje dorosłe życie spędził w Białymstoku, urodził się daleko poza jego granicami – we wsi Tuga pod Baranowiczami w lipcu 1920 roku.

Dzieciństwo spędził w Kopciówce koło Grodna, w parafii swego obdarzonego pięknym głosem i dobrym słuchem taty, o. **Mikołaja Krukowskiego**. To pewnie po nim odziedziczył talent muzyczny, a zainteresowanie muzyką przejawiał już od najmłodszych lat. Jego ulubioną zabawką była papierowa nadmuchiwana harmonijka, godzinami mógł przysłuchiwać się wiejskim muzykantom, grającym na dwurzędowej harmonii. Jako trzy-czterolatek w parku miejskim w Grodnie usłyszał orkiestrę symfoniczną. „To pewnie papier wydaje tak cudowne dźwięki" – pomyślał, widząc rozłożone przed muzykami nuty. Po powrocie do domu znalazł książkę z nutami i zaczął nią potrząsać. Niestety, książka nie

Wiktor z bratem Mikołajem
Wiktor Krukowski z chórem, rok 1986



zagrała. Z płaczem pobiegł wtedy do taty na skargę.

A później za wycięte z deszczółki skrzypce z naciągniętymi drucikami oddał wszystkie swoje słodycze.

I bardzo lubił, gdy tata ze swymi znajomymi śpiewał pieśni cerkiewne. Zaszywał się wtedy w kącie i ze wzruszenia płakał.



Gdy miał dziesięć lat, domowy nauczyciel, staruszek, nauczył go czytać nuty. Jego pierwszym instrumentem była bałałajka, po niej mandolina. Potem długo, długo marzył o pianinie. Te marzenia się spełniły, gdy miał 46 lat. Cieszył się tym używanym instrumentem do końca życia.

Gdy nadszedł czas wyboru szkoły średniej Wiktor, syn i wnuk batiuszki, nie zastanawiał się zbyt długo: Seminarium Duchowne w Wilnie, jedna z dwóch, obok Krzemieńca, średnich prawosławnych szkół teologicznych w międzywojennej Polsce. Czy spotkał tam późniejszego metropolitę **Bazylego**, duchownych o. o. **Konstantego Bajko** czy **Eugeniusza Pańko** – nie wiemy. Wiemy, że zaprzyjaźnił się na pewno z **Wiktorem Rowdo**, w przyszłości profesorem katedry śpiewu konserwatorium w Mińsku, wielkim autorytetem w świecie muzyki. Przyjaźń tę będzie pielęgnował wiele lat.

To w seminarium w Wilnie zaczął śpiewać w szkolnym chórze. Wcześniej komponować – początkowo nieskomplikowane melodyjki na mandolinę, później pieśni solowe do słów rosyjskich poetów, z czasem utwory religijne.

Seminarium ukończył w 1939 roku. Wrócił do Ryboł, gdzie jego tata już od dziewięciu lat był proboszczem. Krukowscy znowu byli w komplecie – rodzice, dwaj synowie Wiktor i **Mikołaj** oraz urodzona już w Rybołach, wyczekiwana córeczka **Nina**, po wojnie profesor Akademii Medycznej w Białymstoku, po mężu Wołosowicz.

W domu mówiło się nieraz o sekcie Ilińców, którzy niejednokrotnie zakłócali nabożeństwa w cerkwi (to m.in. dzięki notatkom batiuszki Krukowskiego po latach udało się odtworzyć historię Wierszalina), wspominało wielki pożar wsi w 1936 roku, który strawił ogromną część zabudowy i 60 stodół. Ale najgorsze – druga wojna światowa – miało dopiero nadejść.

W 1940 roku Sowieci wyrzucili batiuszkę z domu parafialnego – urządzili w nim sielsowiet. Przejęli nie tylko budynki, ale też grunta cerkiewne – zaczęli tworzyć kołchoz. Niemcy, którzy weszli w 1941 roku, na plebanii urządzili posterunek żandarmerii.

Rodzina batiuszki przeniosła się wtedy do małego domu psalmisty. Pod rozłożystą jabłonią spożywała posiłki i od „ciepłej wiosny do wczesnej jesieni” nastawiała samowar.

Wiktor przez rok był nauczycielem w szkole w Zwierkach, od 1941 roku psalmistą w Rybołach. Wieczorami organizował śpiewki, najpierw dla młodzieży, potem dla starszych chórzystów.

Wojna wciąż trwała. Niemcy wywozili ludzi na roboty w głąb Rzeszy, a potem do kopania rowów przeciwczołgowych. Po przejściu frontu też było niespokojnie. Polskie podziemie spaliło Wiluki i Potokę, leśni ukradli batiuszce Krukowskiemu konia, ograbili plebanię… We wsi pojawili się radzieccy agitatorzy…

Po wojnie Wiktor przeniósł się do Białegostoku, pracował w różnych instytucjach, najdłużej w Urzędzie Wojewódzkim, ożenił się i mieszkał na Bojarach, przy ulicy Wróblej. Ale dyrygowania chórem nie porzucił, przez dwa lata jeździł nawet do Hajnówki.

Tymczasem dojlidzki chór po odejściu **Włodzimierza Małaszki** pozostawał bez dyrygenta.

– W Białymstoku mieszka Wiktor Krukowski, z nim porozmawiaj – poradził proboszczowi o. **Aleksandrowi Tomkowidowi** diakon z białostockiego soboru o. **Leontij Mironowicz**.

Batiuszka Aleksander skorzystał z tej podpowiedzi.

Wiktor Krukowski nie od razu się zgodził, bał się o swoją pracę.

Początkowo zgodził się jedynie na tymczasowe dyrygowanie. Cerkiewka, powstała z rozbudowanej kaplicy – grobowca rodziny **Krusensternów**, okolona wianuszkiem akacji i sosen, urzekła go tak bardzo, że postanowił pozostać.

Dyrygował jedynie w niedzielę i święta, próby ma początku odbywały się nawet dwa razy w tygodniu. Na efekty nie trzeba było długo czekać.

– Był osobą zrównoważoną, taktowną, ciepłą, uwagę zwracał tak,



żeby nikogo nie urazić – wspomina **Antonina Romaniuk**. Do Dojlid przeprowadziła się w lipcu 1978 roku. A że dojlidzka parafia, targana poważnym konfliktem, przeżywała najtrudniejszy i najwstydliwszy okres, na chór trafiła dopiero rok później. Z zaskoczeniem odkryła, że dyrygentem jest inspektor Wydziału Handlu w Urzędzie Wojewódzkim Wiktor Krukowski, któremu od kilku lat jako pracownica PZGS „Samopomoc Chłopska" sporządzała i dostarczała sprawozdania kwartalne.



Chórzyści spotykali się zarówno na śpiewkach, jak i towarzysko. I z niecierpliwością czekali na imieniny dyrygenta. Każdy przynosił coś na stół, solenizant własnoręcznie przyrządzone pyszne śledzie w pomidorach. Śpiewom – i tym religijnym, i tym świeckim – nie było końca. **Włodzimierz Iwaniuk** przygrywał na akordeonie, a dyrygent najbardziej lubił pieśń *Było dwienadcat' razbojnikow*.

Siostry **Joanna Spasibowicz** i **Margaryta Kuźmicz-Spasibowicz** oraz **Małgorzata Pawluczuk** przyszły na chór znacznie później.

– Chyba na spotkaniu Bractwa o. **Mikołaj Borowik** ogłosił, że będzie organizowany chór młodzieżowy – wspomina Joanna Spasibowicz. – A że śpiewałyśmy w szkolnym chórze, a nasza babcia w parafialnym, właśnie u pana Krukowskiego, nie zastanawiałyśmy się długo.

Spotykali się w soboty, więcej prób było przed świętami.

– Wiktor Krukowski przychodził zawsze ze skrzypcami, wygrywał melodie, uczył nas więc ze słuchu, bo byliśmy naturszczykami, nie mieliśmy wykształcenia muzycznego. Nobliwy, elegancki pan w garniturze. Czuliśmy wobec niego i jako dyrygenta, i jako starszego człowieka ogromny respekt.

– Zirytowany potrafił stuknąć kamertonem o pulpit i powtarzał z nami melodie poszczególnych głosów do skutku, nie tylko w grupie, ale kazał śpiewać pojedynczo, po kolei – dodaje Margaryta Kuźmicz-Spasibowicz.

Razem z siostrami zaczęła chodzić na chór Małgorzata Pawluczuk. – Dyrygent przydzielił nam miejsce w altach i stoimy tam już 38 lat – żartuje. – A pan Wiktor mimo swej powagi, a nawet pewnej surowości, był dla nas wielkim autorytetem. I nikomu do głowy nie przyszło, żeby się nie przykładać.

Zresztą dyrygent także przychodził na próby i nabożeństwa doskonale przygotowany. Przynosił zeszyty z nutami na poszczególne głosy, wszystkie własnoręcznie przepisane, bo ksera wtedy nie było.

Młodzież zaczęła śpiewać najpierw z parafialnym chórem, a potem już samodzielnie, pierwszą Liturgię. Z czasem przyszły występy, a to na pierwszych Wieczorach Kolęd w Filharmonii z udziałem tylko dwóch chórów, soborowego i dojlidzkiego, a to na koncercie w NOT z okazji zjazdu Bractwa.

– Podczas jednego z pierwszych wystąpień zgasło światło, zdezorientowani przestaliśmy śpiewać, ale ktoś z widowni zaintonował kolejną zwrotkę, więc ruszyliśmy dalej – wspominają dojlidzkie chórzystki.

Czy już wtedy śpiewali w cerkwi kompozycje Wiktora Krukowskiego? Może ulubioną przez niego *Chieruwimską* nr 3?

Wysoko cenił Wiktora Krukowskiego także kolejny *nastojatiel*, o. **Aleksy Nesterowicz**. „To człowiek pracowity i *tałantliwy*" – napisał w parafialnej kronice, ale pan Wiktor miał chorą żonę, sam też zaczął podupadać na zdrowiu.

Dwóch chórów, parafialnego i młodzieżowego, nie poprowadzi – to stało się jasne. Skąd wziąć dodatkowego dyrygenta?

O. Mikołaj Borowik, ówczesny dojlidzki wikariusz, zaproponował **Sławomira Jurczuka**, który kierował chórem w Zabłudowie.

– *Sposobnyj malczyk, budiet s tiebia regient* – zaakceptował ten wybór pan Wiktor, po przesłuchaniu

Koncert dojlidzkiego chóru na otwarcie świetlicy wiejskiej w Ciełuszkach, styczeń 2019
Członkowie chóru przed dojlidzką cerkwią, 2 sierpnia, św. Eliasza, rok 2016

kandydata. – Ale musimy solidnie popracować.

Ta praca, uwieńczona egzaminem zdanym na piątkę, trwała dwa lata. Przez ten czas Sławomir Jurczuk jeździł na Bojary, na Wróblą 10, do domu dojlidzkiego dyrygenta. Uczył się solfeżu, ustawu. Nie był jedynym uczniem pana Krukowskiego, który wyszkolił także **Grzegorza Maksymiuka**, regenta cerkwi Świętego Ducha na Antoniuku.

Podczas rekonwalescencji dojlidzkiego dyrygenta Sławomir Jurczuk prowadził dwa chóry, parafialny i młodzieżowy, po jego powrocie młodzieżowy.

Pewnego dnia Wiktor Krukowski wręczył mu zeszyt ze swoimi kompozycjami. Na propozycję jego wydania machnął tylko ręką, bo był bardzo skromnym człowiekiem. – Ale sam jak będziesz chciał, możesz śpiewać. I jeśli ktoś poprosi, udostępniaj, nie żałuj.

W 1991 roku dojlidzki młodzieżowy chór zaprezentował na festiwalu w Hajnówce *Chieruwimską* nr 3 Wiktora Krukowskiego. Kompozytor z ogromnym bukietem kwiatów przedzierał się przez rzędy, żeby podziękować i pogratulować swoim uczniom. Utwór i wykonanie komplementował także jego kolega z wileńskiego seminarium, prof. Wiktor Rowdo (o kompozycjach Wiktora Krukowskiego mawiał, że są nieskomplikowane, ale uduchowione, obiecał nawet, że wybrany utwór nagra ze swym chórem).

Wiktor Krukowski zmarł w nocy z 12 na 13 lutego 2000 roku. Wcześniej pochował żonę, przeszedł zawał serca. I zawsze podkreślał, że cerkiew i cerkiewny śpiew utrzymują w nim chęć do życia i pogodę ducha.

Zeszyt z kompozycjami i dedykacją pana Wiktora wciąż pozostawał w rękach Sławomira Jurczuka. Wskutek jego starań, w 2007 roku, siedem lat po śmierci kompozytora, dojlidzka parafia wydała jego utwory, nadając tytuł „Śpiewnik dojlidzki”.

Czy to z niego korzystają chórzyści z Widowa?

– Nasz chór śpiewa trzy utwory Krukowskiego – *Swiatyj Boże*, *Iże chieruwimy* i *Christos Woskresie* – przyznaje dyrygent parafii w Widowie **Doroteusz Fionik**. – A wierni lubią zwłaszcza radosne *Christos Woskresie*.

A tymczasem w Dojlidach Sławomir Jurczuk nie przestawał myśleć, jak by to wydać płytę z utworami swego nauczyciela. W minionym roku udało się napisać projekt i uzyskać środki. I przed świętami Bożego Narodzenia płyta „Śpiew duszy” trafiła do rąk słuchaczy.

Pracowało nad nią dwoje dyrygentów – dr hab. **Marta Wróblewska** z Uniwersytetu Muzycznego w Białymstoku, dyrygent i śpiewaczka, dojlidzka chórzystka, oraz Sławomir Jurczuk.

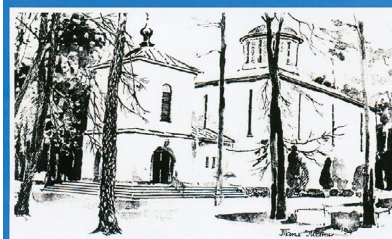
– Marta Wróblewska w ogromnym stopniu wpłynęła na jakość płyty – podkreśla Sławomir Jurczuk. – Poprowadziła warsztaty muzyczne, miały być trzy półtoragodzinne spotkania, a było ich ponad trzydzieści. Bardzo nas wspomogła wykształceniem zarówno muzycznym, jak i pedagogicznym.

Ale determinacji nie brakowało także chórzystom, pilnie od końca czerwca do października, a więc przez całe wakacje, chodzili na próby. Rozumieli, ze koncert jest czymś ulotnym, płyta zostaje na dziesięciolecia.

Na płycie znalazło się 21 utworów.

– Wiktor Krukowski nie był z wykształcenia kompozytorem. Świadczy o tym chociażby harmonia zastosowana w jego kompozycjach – przyznaje Marta Wróblewska – ale w warstwie muzycznej nie odbiegają one od tego, co słyszymy w naszych cerkwiach na co dzień, w prostszych opracowaniach. Czuć w niej ten pierwiastek naszej prawosławnej duchowości.

W swoich kompozycjach pan Wiktor inspirował się innymi utworami, także muzyką ludową. A ta ludowość przejawia się zwłaszcza w paraliturgicznych pieśniach *Rożdiestwienskaja piesn'*, *Grabarka* z wiecznie aktualnymi słowami *Oj pojdi na Grabarku, ustałyj nasz brat* czy *Preczystienskij chram* z wyraźnie urwanym tekstem. Ta ostatnia to pieśń o *Preczystienskiej* cerkwi w Bielsku, której proboszczem długie lata był ojciec Mikołaj Krukowski. Słowa do wszystkich trzech



pieśni napisał **M.R. Litwińczuk**, (bielszczanin?).

– Najbardziej wymagająca była bez wątpienia *Chieruwimska* nr 3 – podkreśla Marta Wróblewska. – Na ubiegłorocznym festiwalu w Hajnówce nas przerosła, teraz podczas nagrania udało nam się ją bardzo dobrze zaśpiewać już za pierwszym razem. Jakby sam kompozytor nam pomagał…

Płyty słucha się z dużą przyjemnością, a efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania wszystkich, którzy nad nią pracowali. – To my? – zaskoczenia nie kryją chórzyści.

– Ludzie z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem pytają, skąd ten chór, nie dowierzają, że dojlidzki – przyznaje Marta Wróblewska.

Dla Joanny Spasibowicz i Margaryty Kuźmicz-Spasibowicz płyta jest powrotem do przeszłości. – Czujemy wielką satysfakcję i spełnienie – dodaje Małgorzata Pawluczuk. – Satysfakcję, że uczciliśmy, co wcale nie było zamierzone, stulecie urodzin naszego dyrygenta. Przedwczesna śmierć jednej z naszych koleżanek, **Bogusi Wawrzeniuk**, uświadomiła nam, jak nieubłagany jest upływ czasu i że warto coś po sobie pozostawić. Stąd nasze duchowe spełnienie.

Radości i dumy nie kryje pomysłodawca przedsięwzięcia, Sławomir Jurczuk. Także wszyscy parafianie. Głosy brzmią szlachetnie i harmonijnie. Pięknie.

Ałła Matreńczyk
fot. **archiwum parafii**

Wspomnienia i zdjęcia z rybołowskiego okresu życia Wiktora Krukowskiego pochodzą z artykułu **Anny Kraśnickiej** „Ryboły. Powrót batiuszki Krukowskiego”, zamieszczonego na portalu bialystoksubiektywnie.com

Na Górze Oliwnej

Góra Oliwna, po hebrajsku *Har Hazeitim*, to wzniesienie we wschodniej części Jerozolimy, gdzie czterdzieści dni po Zmartwychwstaniu miało miejsce Wniebowstąpienie Jezusa Chrystusa. Jest ona położona kilometr od Wzgórza Świątynnego, od którego oddziela ją dolina Cedronu. W IV wieku cesarzowa św. Helena, matka cesarza św. Konstantyna Wielkiego, wzniosła tam bazylikę nazywaną Eleona. Bazylika była wielokrotnie niszczona i odbudowywana. Pod koniec VI wieku na Górze Oliwnej znajdowało się ponad dwadzieścia świątyń, a także mnóstwo pieczar, w których zamieszkiwali asceci. Obecnie w miejscu, gdzie dokonało się Wniebowstąpienie Chrystusa, znajduje się niewielka, ośmiokątna kaplica, pozostająca od 1187 roku pod zarządem muzułmanów. Naprzeciwko usytuowany jest monaster, należący do jurysdykcji patriarchatu jerozolimskiego.

W 1845 roku na Górze Oliwnej patriarcha **Cyryl II** (**Kritikos**) zakupił około pięciohektarową działkę, by wybudować na niej świątynię Wniebowstąpienia Pańskiego. Jednak trudna sytuacja i liczne przeciwności (pierwsza i druga wojny światowe, także wojna izraelsko-arabska w 1967 roku) nie pozwoliły na zrealizowanie tego zamierzenia. W latach 80. XX wieku teren był zaniedbany, prowizorycznie ogrodzony, wśród chaotycznie rosnących drzew znajdowały się sterty śmierci, wyrzucanych przez okolicznych muzułmańskich mieszkańców.

W 1987 roku, z błogosławieństwa patriarchy **Diodora** (**Kariwalisa**), trudu założenia monasteru podjął się archimandryta **Joachim** (**Strongilou**), urodzony w 1950 roku na greckiej wyspie Chios. Studiował prawo i teologię na Uniwersytecie w Atenach, po czym został mnichem i przyjął święcenia kapłańskie. Na Paschę w 1984 roku wraz z matką przyjechał do Jerozolimy, gdzie został przyjęty do Bractwa Grobu Pańskiego. Wyznaczono go na wykładowcę szkoły teologicznej patriarchatu jerozolimskiego na Syjonie, mieszczącej się nieopodal Wieczernika. Przez pewien czas sprawował nabożeństwa w Getsemani. Na prośbę patriarchy zdecydował się przenieść na Górę Oliwną, aby wybudować tam cerkiew.

O. Joachimowi od przyjazdu do Jerozolimy cały czas towarzyszyła jego matka **Anastazja Panagopoulou-Strongilou**, urodzona w 1912 roku w Grecji. Była głęboko wierzącą kobietą, doktorem nauk matematyczno-fizycznych. Przez wiele lat pełniła funkcję burmistrza w rodzinnym mieście Wrontados na wyspie Chios, położonej na Morzu Egejskim u wybrzeży Turcji. Będąc emerytowaną nauczycielką postanowiła pomóc swojemu synowi, żyjącemu w odosobnieniu.

Początkowo na Górze Oliwnej wybudowano niewielkie pomieszczenia mieszkalne. O. Joachim włożył wiele pracy w uporządkowanie i oczyszczenie terenu monasteru. Podczas prac ziemnych odnalazł pieczarę, w której mógł przebywać Chrystus z uczniami, a także odkopał groby nieznanych z imienia mnichów męczenników, zamordowanych przez muzułmanów i wzniósł ku ich czci kaplicę. Zasadził wiele drzew oliwnych, palm, granatowców, migdałowców, a także orzechy arachidowe, krzewy ozdobne i kwiaty. Po zagospodarowaniu działki rozpoczęto wznoszenie cerkwi.

Patriarchat jerozolimski zwracał się wielokrotnie do władz Jerozolimy z prośbą o pozwolenie na budowę świątyni. Zgodnie z obowiązującym prawem, w historycznej części miasta można jedynie remontować stare obiekty. Dla wzniesienia nowego budynku potrzebne jest specjalne zezwolenie. Władze izraelskie nie dały jednak żadnej odpowiedzi, nie udzielono ani pisemnej zgody, ani odmowy. Według świadectwa o. Joachima, jeden z przedstawicieli władz miasta podczas osobistej rozmowy zezwolił na budowę świątyni i zapewnił, że wszystkie niezbędne formalności zostaną sfinalizowane później. O. Joachim uwierzył stanowczym słowom izraelskiego urzędnika i nie oczekując na ostateczną decyzję Rady Miasta, na własną odpowiedzialność przystąpił do działania.

W 1991 roku archimandryta z własnych, prywatnych środków rozpoczął budowę niewielkiej cerkwi Wniebowstąpienia Pańskiego – Powtórnego Przyjścia Chrystusa. Z matką żył bardzo oszczędnie, gdyż wszystko co miał, przeznaczał na wznoszenie świątyni. Na podstawie świadectw ludzi wiadomo, że Anastazja kupowała na bazarze tanie, nadpsute warzywa, z których przygotowywała skromne posiłki. Po pewnym czasie otrzymali znaczące wsparcie finansowe od greckiego biznesmena, który wstąpił do monasteru grobu Matki Bożej w Getsemani. Mnich **Petros** (**Zellidis**) ofiarował wszystkie swoje gromadzone przez lata oszczędności, gdyż jego dwaj synowie zostali mnichami na Świętej Górze Atos.

Na monasterskim placu na początku wzniesiono dolną cerkiew, którą wyposażono we wszystkie niezbędne utensylia liturgiczne. Polichromię na ścianach wykonał o. Joachim, po czym w nowej świątyni rozpoczął sprawowanie nabożeństw. Archimandryta doświadczał wiele przykrości ze strony okolicznych mieszkańców, gdyż monaster zlokalizowany jest na terenie osiedla muzułmańskiego. Prześladowano go w różny sposób, m.in. grożono, wielokrotnie bito, szantażowano, okradano, nękano, kilka razy podpalano cerkiew. W żydowskiej dzielnicy, gdzie znajduje się szkoła



Monasterska cerkiew Wniebowstąpienia Pańskiego



Anastazja Panagopoulou-Strongilou



Archimandryta Joachim (Strongilou) na ruinach cerkwi

teologiczna patriarchatu jerozolimskiego, został zaatakowany przez agresywnego fanatyka z nożem w ręku, który wykrzykiwał, że dla chrześcijan nie ma miejsca w Jerozolimie. W Wielki Piątek, gdy ze stuosobową grupą pielgrzymów zmierzał do bazyliki Zmartwychwstania Pańskiego, napadli na niego ekstremiści, którzy opluli mu twarz. O. Joachim, pomimo że każdy dzień był pełen strachu i niepewności, mężnie znosił liczne szykany.

Po wybudowaniu dolnej cerkwi archimandryta rozpoczął wznoszenie głównego obiektu sakralnego, którego prototypem była świątynia z X wieku na wyspie Chios. Budowa betonowej konstrukcji została ukończona bardzo szybko. Pozostało jedynie umieścić krzyże na kopułach cerkwi.

W lipcu 1992 roku władze Jerozolimy zdecydowały, aby zburzyć nową świątynię. Izraelscy żołnierze wraz z policją, podczas nieobecności o. Joachima, włamali się na teren monasteru, po czym buldożery zaczęły niszczyć górną cerkiew, i po kilku godzinach obróciły ją w stertę gruzu. Gdy przystąpiono do rujnowania dolnej świątyni, drążenia stropu cerkwi, złamał się młot pneumatyczny buldożera. W niewytłumaczalny sposób drewniana, okrągła ikona Chrystusa Pantokratora, która znajdowała się w głównej kopule górnej cerkwi, wytoczyła się na gruzowisko i zatrzymała się przed spycharką, obracając się wokół własnej osi. Buldożer przestał działać i nikt nie był w stanie, pomimo licznych prób, ponownie uruchomić pojazdu. Ikona, napisana na Świętej Górze Atos, w cudowny sposób wstrzymała burzenie świątyni. Wszyscy obecni byli tak bardzo zadziwieni, przestraszeni i zszokowani, że zaprzestali prac rozbiórkowych i szybko odjechali. Sytuacja poruszyła władze izraelskie do tego stopnia, iż zaniechano realizacji planu niszczenia dolnej cerkwi i już nigdy do niego nie powrócono.

O. Joachim postanowił pozostawić w niezmienionej formie uszkodzony przez buldożer górny róg dolnej świątyni, aby przypominał wszystkim zarówno o profanacji, jak i o przejawie Bożej mocy. Ikona, która ochroniła cerkiew przed zburzeniem, znajduje się w jej wnętrzu po prawej stronie do dziś i otaczana jest przez wiernych szczególną czcią. Archimandryta z chrześcijańską nadzieją i odwagą kontynuował duszpasterską posługę. Nigdy nie narzekał, ale raz gorzko przyznał, że w obliczu prześladowań ze strony izraelskich władz i muzułmańskich Arabów pozostawiony został sam sobie i czuł wielkie osamotnienie. W sytuacji kryzysowej nie otrzymał wsparcia od współbraci kapłanów.

Trzy lata po zburzeniu górnej cerkwi, w nocy z 20 na 21 lipca 1995 roku, miało miejsce tragiczne zdarzenie. Wieczorem o. Joachim poszedł do cerkwi zapalić łampadki przed ikonami. Po chwili do świątyni weszła jego matka Anastazja, która powiedziała, że jest zadowolona, że jej syn, pomimo licznych problemów i przeciwności,

wybudował tak piękną świątynię. Odchodząc rzekła: – Pozwól mi pocałować twoją rękę, a ty pocałuj moją. Idę na górę. Czekam na ciebie, nie zwlekaj, przyjdź wkrótce. Były to jej ostatnie słowa.

Po kilku minutach o. Joachim wyszedł z cerkwi, udając się do swojej *kielii*. Niespodziewanie został zaatakowany przez dwóch silnych, zamaskowanych bandytów, którzy użyli gazu łzawiącego. Zaczęli go bić, kopać, okrutnie ranić, pocięli mu język, próbowali wydłubać oczy ołówkiem. Taśmą zakleili usta i nos, wyjęli plastikową torbę, aby go udusić. Szamotaninę usłyszał pielgrzym Włodzimierz, który rozgonił złoczyńców i ocalił życie kapłana.

Włodzimierz Ryło, ikonograf z Moskwy, przyszedł do monasteru w ten pamiętny wieczór, by prosić o nocleg, mówiąc że Bóg z pewnością wynagrodzi za udzieloną gościnę. Od kilku dni wędrował po świętych miejscach i zabrakło mu pieniędzy na wynajęcie pokoju w hotelu. O. Joachim, który nie miał w zwyczaju przyjmować na nocleg pielgrzymów, zlitował się nad przybyszem i właśnie tej nocy został przez niego uratowany. Po pewnym czasie Włodzimierz został mnichem na Świętej Górze Atos, gdzie przyjął imię **Warsonofiusz**.

Napastnicy poranili język o. Joachimowi, który miał unikalny dar słowa. O jego elokwencji i krasomówstwie świadczy fakt, że co roku w Wielki Piątek patriarcha jerozolimski wyznaczał go, aby na schodach nieopodal Golgoty głosił kazanie. Słuchały go tysiące ludzi z różnych krajów świata, stojąc przed bazyliką Zmartwychwstania Pańskiego. Jego przepełnione duchową mocą słowa trafiały do serc i świadomości wiernych, pomimo że wielu z nich nie znało języka greckiego. Z pewnością właśnie dlatego wróg zbawienia rodzaju ludzkiego próbował poprzez złoczyńców pozbawić go języka, który zmiękczał zatwardziałe serca grzeszników i przemieniał je chrześcijańską miłością.

O. Joachim, który cudem uniknął śmierci, ciężko pobity i zraniony, udał się do domu. Miał nadzieję, że czeka tam na niego matka. Po drodze ujrzał ją, leżącą na ziemi ze związanymi rękoma. Miała zaklejone usta, a szyja była owinięta kilka razy taśmą. Anastazja nie żyła, przyjęła śmierć męczeńską za wiarę. Morderców nigdy nie wykryto. Trzy lata po jej pogrzebie, z błogosławieństwa patriarchy jerozolimskiego Diodora, podczas otwarcia grobu okazało się, że ciało męczennicy Anastazji nie uległo rozkładowi i wydzielało przyjemny zapach. Umieszczono je w ziemi, a po siedmiu latach znów wydobyto. Obecnie znajduje się w kaplicy nieopodal monasterskiej cerkwi. Każdego roku wzrasta liczba świadectw ludzi dotyczących cudownego wstawiennictwa męczennicy Anastazji przed Bogiem.

27 maja 2009 roku, w wieku 59 lat, zmarł nagle o. Joachim. Jego serce zatrzymało się po wieczornym nabożeństwie w przeddzień święta Wniebowstąpienia Pańskiego. Archimandrytę pochowano obok grobu jego matki męczennicy. Patriarcha jerozolimski **Teofil III** (**Giannopoulos**) na nowego przełożonego monasteru wyznaczył mnicha **Achilliosa**, który zorganizował żeńską wspólnotę monastyczną. Przebywają w niej siostry z wielu krajów.

W ostatnich latach przeprowadzono niezbędne remonty zarówno w świątyni, jak i pozostałych pomieszczeniach. Nabożeństwa są sprawowane regularnie w cerkwi posiadającej trzy ołtarze – główny ku czci Wniebowstąpienia Pańskiego, lewy św. Melanii Rzymianki i prawy św. Pelagii Antiocheńskiej, która w V wieku przez wiele lat prowadziła ascetyczne życie w pieczarze naprzeciwko monasteru. W świątyni znajduje się fragment Krzyża Pańskiego, a także cząsteczki relikwii wielu świętych.

Monaster na Górze Oliwnej odwiedza wielu pielgrzymów z całego świata. Panuje tam atmosfera spokoju i szczerej modlitwy, o czym dane mi było się przekonać. Każdy witany jest radosnymi słowami *καλή Ανάληψη* (*kali Analipsi*), oznaczającymi „dobrego święta Wniebowstąpienia”.

Andrzej Charyło, fot. **autor**

Zastąpić starsze pokolenie

– Kieruj się wiarą, a gdziekolwiek będziesz, szukaj cerkwi! Bądź dobrym i uczciwym człowiekiem! – tymi słowami dziadek **Aleksy Wenio** pożegnał w więzieniu na Majdanku swoją córkę **Annę** przed jej wyjazdem do Rzeszy na roboty. To było ich ostatnie spotkanie. Anna Dudycz z domu Wenio tę prawdę przez całe życie przekazywała dzieciom, **Andrzejowi**, **Piotrowi** i **Irenie**, po mężu **Hunczak**, która urodziła się we Wrocławiu w rodzinie Podlasianki i Łemka i wciąż stara się wypełniać przykazanie dziadka. Od najmłodszych lat towarzyszyła mamie, chórzystce katedralnej cerkwi, a potem naturalnie zaczęła tam śpiewać sopranem.

Działalność wśród młodzieży prawosławnej rozpoczęła w 1980 roku, tuż po maturze.

– Z chóru, jeszcze będąc małą dziewczynką, obserwowałam, co dzieje się na dole. Ze smutkiem patrzyłam, jak odchodzą starsi parafianie. Mama wpoiła mi, że stanowimy parafialną rodzinę i tak od zawsze pojmowałam miejsce parafii, szczególnie w diasporze. Nawracała myśl, kto zastąpi w cerkwi moje ciocie i wujków. Wiedziałam, że trzeba postawić na najmłodsze pokolenie.

– Przypadkiem dowiedziałam się, że jest organizowana pielgrzymka młodzieży na Świętą Górę Grabarkę. Nigdy wcześniej tam nie byłam – mówi Irena Hunczak, pierwsza przewodnicząca Bractwa Młodzieży Prawosławnej we Wrocławiu. Do dziś pamięta klimat podróży. Pociągiem i częściowo autobusem PKS-u. Przez Białą Podlaską, Sarnaki do Sycz. W Sarnakach w napięciu przyglądała



się młodym ludziom, zastanawiając się, czy ktoś w tłumie też jest prawosławny.

– Jechałam do szczególnego miejsca na spotkanie z ludźmi, których nie znałam – wspomina. Na stacji w Syczach z pociągu wysypała się młodzież. – Poczułam ogromną radość i ze łzami w oczach im się przyglądałam, bo nigdy dotąd nie widziałam tak licznej grupy młodych prawosławnych.

Duchownym, którego zapamiętała, był o. **Eugeniusz Niesteruk** wraz z grupą z Mielnika. Wysoki, postawny w kapeluszu i ciemnym płaszczu, spod którego wystawała sutanna.

Ta pierwsza pielgrzymka otrzymała miano rodzinnej. Odczuwali wielką radość z tego, że młodzież może spotkać się i wspólnie modlić.

– Nawiązaliśmy kontakty i wróciliśmy do domów, obiecując sobie, że będziemy się spotykać. W tej grupie była osobą, która pokonała największą odległość.

Pierwsza pielgrzymka dała jej silną motywację do działania. Jeszcze w sierpniu tego samego roku wzięła udział w obozie roboczym na Górze Grabarce. Krąg prawosławnych przyjaciół szybko się poszerzał. – Zachęcałam do udziału w majowej pielgrzymce na Świętą Górę młodzież wrocławskiej parafii – wspomina.

W maju 1981 roku udało jej się zabrać ze sobą kilku kolegów. Przybywało też uczestników z innych stron. Rok wcześniej było nieco ponad siedemdziesięciu, a teraz już ponad trzystu. Każda pielgrzymka była niezwykle ważnym, duchowym przeżyciem. Oprócz modlitewnej atmosfery, spotkania i rozmowy rodziły się pytania o

MIEJSCE MŁODZIEŻY
W ŻYCIU CERKWI.

– Budziła się w nas świadomość, że to my będziemy odpowiedzialni za przyszłość Cerkwi – wyznaje. – Musimy zgłębić nie tylko historię Cerkwi, ale ogólnie prawosławia. Wtedy też, zgodnie z postulatami omawianymi na spotkaniu na Grabarce, uznała, że wrocławskiej grupie potrzebna jest struktura formalna. Zaraz po powrocie napisali pismo do władyki **Aleksego** z prośbą o błogosławieństwo na utworzenie Bractwa Młodzieży Prawosławnej. Hierarcha udzielił go 7 czerwca 1981 roku.

Kolejny raz na Świętą Górę Grabarkę pojechała 16 października 1981 roku na spotkanie Koła Teologów Prawosławnych, gdzie poinformowała, że formalnie udało się powołać Bractwo Młodzieży Prawosławnej we Wrocławiu. – Dla pozostałych staliśmy się wzorem, bo zrobiliśmy to, co wcześniej tylko postulowano. Na początku dla większości uczestników spotkania byli, jak określa, egzotyczni, bo spoza Podlasia. Niektórzy o Łemkach słyszeli po raz pierwszy, a już określenie „Łemko z dzikiego Zachodu” było naprawdę zabawne. – Byliśmy jedyną grupą spoza Podlasia, bo młodzież z diecezji przemysko-nowosądeckiej dołączyła do naszej prawosławnej rodziny dopiero kilka lat później – wspomina. – Mimo wszystko, nieważne, czy mówiliśmy po białorusku, ukraińsku, polsku czy łemkowsku, mieliśmy poczucie przynależności do jednej prawosławnej braci i że Cerkiew jest naszym wspólnym domem. Integracji sprzyjała nie tylko wspólna modlitwa i poważne dyskusje, ale też śpiewy przy ognisku.

Klimat spotkań na Grabarce sprawiał, że pełna dobrej energii wracała do Wrocławia i myślała o nawiązaniu kontaktów z młodzieżą innych parafii na terenie diecezji. W listopadzie tego roku pojechali w piątkę do Wałcza. Irena Dudycz, **Jerzy Kardasz**, **Maria Kaniuczok**, **Julita Rogozin** i o. **Eugeniusz Cebulski** – pierwszy duchowy opiekun bractwa w diecezji. Na dworcu PKP czekał na nich o. **Piotr Żornaczuk** – proboszcz tamtejszej parafii.

– Przyjęto nas niezwykle serdecznie – wspomina. – O. Piotr kupił świeże bułeczki, by wraz z matuszką podjąć nas śniadaniem.

Po południu spotkali się z parafianami.

– Opowiadałam o spotkaniach młodzieży na Grabarce i naszych planach poszerzenia Bractwa, jak również zorganizowania podczas najbliższych wakacji obozu dla dzieci – wspomina. W pamięci zapisało się wieczorne spotkanie. Powojenne historie rodzinne okazały się niezwykle zbliżać. Były łzy smutku i radości. Irena zapewniała, że wspólne wakacje rozbudzą wśród młodzieży dumę z tego, że są prawosławni. Rodzice ideę Bractwa przyjęli z entuzjazmem.

Władyka Aleksy bardzo się ucieszył z pomysłu Ireny. Podpowiedział, że dobrze byłoby, gdyby zorganizować go w, oddalonych o ponad czterdzieści kilometrów, Malczycach. Siedziba tamtejszej parafii, ogrodzona, wśród zieleni, okazała się świetnym wyborem. Ówczesny proboszcz, **Jerzy Hnatów** zgodził się przyjąć obozowiczów. Wtedy podstawowy problem stanowił prowiant. Z pomocą przyszedł o. **Jerzy Doroszkiewicz** z Warszawy, sekretarz kancelarii metropolitalnej.

Irena dowiedziała się, że do Warszawy przyszedł transport z darami z zagranicy. Także ze sprzętem turystycznym, który otrzymała głównie młodzież z Białegostoku. Pojechała do Warszawy i przedstawiła o. Jerzemu plany zorganizowania obozu dla dzieci. Duchowny nie tylko przekazał pięć dużych namiotów, trzydzieści sześć śpiworów i dmuchanych materacy, ale także zapas żywności i środków chemicznych. Obiecał też zapewnić transport. – Myślałam, że oszaleję ze szczęścia – opowiada emocjonalnie. Darowizna pojawiła się we Wrocławiu, dodatkowo z kurtkami i butami dla młodzieży.

Ostatnia wizytacja parafii w Malczycach przez władykę Aleksego, niżej próba chóru na Grabarce, rok 1981





– Nikt z nas, organizatorów, nie miał wtedy przygotowania pedagogicznego, ale sercem czułam, że ten obóz musi się odbyć – wyznaje.

Pierwszy w Polsce obóz dla dzieci prawosławnych, dla dwudziestu sześciu podopiecznych, rozpoczął się 1 lipca 1982 roku. Rodzice zaufali, pięcioosobowej kadrze, z której dwie osoby były niepełnoletnie, przywożąc swoje dzieci do Malczyc z Rzeszowa, Warszawy, Wałcza, Legnicy i Wrocławia. Wychowawcy, **Irena** i **Ela Jaroszuk**, Julita Rogozin, Jerzy Kardasz i Irena Dudycz musieli sobie radzić nie tylko z problemami pedagogicznymi. Na miejscu okazało się, że piękne, białe namioty w stylu orientalnym nie mają podłóg. Z pomocą przyszli parafianie, dostarczając bele słomy, którą wyścielono gołą ziemię, aby obozowicze nie marzli. Wyczynem było przygotowywanie w oddzielnej kuchni posiłków. Produkty z darów, z obcojęzycznymi przepisami, wymagały rozpracowania. Trochę domyślając się znaczenia tekstów na opakowaniach oraz łapiąc proporcje, przygotowywano potrawy na kuchni węglowej. – Po raz pierwszy mieliśmy do czynienia z suchymi drożdżami, z których udało się upiec smaczne racuchy – śmieje się dziś Irena Hunczak. Obozowa kuchnia pełniła także funkcję łazienki. Każdego dnia podgrzewano w kotłach duże ilości wody, aby wystarczyło dla wszystkich. W dobie komfortu opowieści o takich warunkach, trochę na dziko, zdają się mało wiarygodne.

Ważnym punktem było spotkanie z o. **Michałem Żukiem**, proboszczem parafii w Lubinie i wykład na temat historii Cerkwi. Irenę zaskakiwały dojrzałe, mądre pytania, stawiane duchownemu. Obóz w Malczycach, oprócz radosnych wspomnień w pamięci uczestników zapisał też smutne. To było pożegnanie z władyką Aleksym, wielkim przyjacielem młodzieży. Zmagający się z chorobą nowotworową hierarcha przyjechał, by spotkać się z jego uczestnikami. Było ognisko z pieczonymi kiełbaskami i programem artystycznym.

– Kiedy władyka żegnał się z nami, a potem wyjeżdżał z posesji, zabiły cerkiewne dzwony i prawie wszyscy płakali – wyznaje. Dwa miesiące później władyka wrocławski i szczeciński Aleksy odszedł do Pana.

Dwanaście dni dowiodło, że młodzież z różnych stron Polski potrafi się świetnie zintegrować. Wspólnym mianownikiem okazał się poczucie, że

BYCIE PRAWOSŁAWNYM NIESIE SZCZEGÓLNĄ WARTOŚĆ.

Dziś ludzie z tamtej grupy są duchownymi, dyrygentami chórów, matuszkami, nauczycielami akademickimi, lekarzami i pedagogami. Na zakończenie młodzi obiecali sobie, że za rok spotkają się w takim samym składzie. I większość słowa dotrzymała, biorąc udział w lipcu 1983 roku w obozie organizowanym przez Irenę w Ługach. Położona nad jeziorami wieś, wówczas w województwie gorzowskim, zapadła liderce w serce. – Zakochałam się nie tylko w miejscu, ale także w serdeczności parafian. Położona na górce cerkiew przy drodze, otoczona starymi lipami, ujęła Irenę. O. **Włodzimierz Kochan**, proboszcz tamtejszej parafii, był zaskoczony przyjazdem dziewięciorga młodych ludzi.

W listopadzie 1982 roku na zaproszenie wrocławskiego Bractwa do Wrocławia licznie przyjechała młodzież z diecezji wrocławsko-szczecińskiej oraz zarząd Bractwa – **Eugeniusz Czykwin**, wówczas przewodniczący Rady Koordynacyjnej, **Sławomir Makal** wraz z opiekunem Bractwa, doktorem **Janem Anchimiukiem**, późniejszym władyką Jeremiaszem. Spotkanie w mieszkaniu po władyce Aleksym młodzieży z innych parafii miało przybliżyć ideę Bractwa, a także zachęcić do działania. Po wrocławskim zjeździe, 19 grudnia powołano Koło Młodzieży Prawosławnej w Wałczu.

Działalnością wrocławskiej sekcji Bractwa zainteresowała się służba bezpieczeństwa. Już na pierwszych spotkaniach próbowano wniknąć do

Obóz w Malczycach, rok 1982
Niżej zimowisko w Jeleniej Górze, rok 1984



grupy. Irena pamięta, jak nie wiadomo skąd pojawił się chłopak, podający się za studenta, mieszkańca Wrocławia. Kiedy zapytano go, czy jest prawo-



sławny, zaczął niespójnie wyjaśniać, że on nie, ale jego babcia... Skończyło się na jednym spotkaniu.

W 1982 roku zaczęła pracę jako chórzystka wrocławskiej Opery.

– Pewnego dnia na portierni ktoś zostawił mi wezwanie do Urzędu Bezpieczeństwa – wspomina. To był szok. Kiedy poszła na spotkanie, okazało się, że ponoć są na nią donosy. Jakiś czas potem funkcjonariusz w cywilu z kolejnym wezwaniem przyszedł na próbę do opery w obecności całego zespołu. W 1983 roku, w czwartek przed Niedzielą Palmową, po przedstawieniu, jak zwykle, czekała na nią mama z kolacją. Wypiły jeszcze razem herbatę, gdy ktoś zapukał. – Kto tam? Usłyszały: – Swój. My do pani Ireny Dudycz – ujrzała w drzwiach dwóch funkcjonariuszy. Panowie w cywilu wyjaśnili, że mają nakaz rewizji. Szukali nielegalnych wydawnictw. – Nie mogąc niczego znaleźć, kręcili się po mieszkaniu bez celu – wspomina. Podejrzenie wzbudziła znaleziona w kredensie kuchennym paczka suszonych drożdży. Nie znając niemieckiego, zaczęli studiować napisy na opakowaniu. – Niech pan weźmie dla żony – życzliwie zaproponowała mama Ireny. – Pani musi z nami pojechać – oznajmili Irenie. Zaskoczona, ubrała się i wsiadła z nimi do dużego fiata. W siedzibie UB na Zamkowej została przekazana w ręce kolejnych funkcjonariuszy. W labiryntach korytarzy zobaczyła tłum zatrzymanych. – Przed 1 maja obawiano się demonstracji solidarnościowych, więc zatrzymano wielu wrocławian – stwierdza. Trafiła do kontroli osobistej przeprowadzanej przez mężczyzn. Odebrano jej zegarek i biżuterię, a następnie już inni ludzie prowadzili do celi. W pomieszczeniu z sześcioma pryczami przetrzymywano dwanaście kobiet. Wszystkie zatrzymano niby na tle politycznym. Starsza kobieta, księgowa z PAFA-WAG-u potrzebowała leków o stałej porze. Zabrali ją z pracy, leki zostały w domu, więc zasłabła i wyniesiono ją z celi. Rankiem przyniesiono posiłek. Kawę zbożową w aluminiowym kubku i ćwiartkę chleba z narzuconym kleksem smalcu. Irena niczego nie tknęła.

– Jutro wszystko zjesz – życzliwie mówiły starsze kobiety.

Mama szukała ratunku u o. Eugeniusza Cebulskiego, który w poczuciu bezradności zatelefonował do metropolity **Bazylego**. W piątek

WEZWALI JĄ
NA PRZESŁUCHANIE.

W sobotę przed południem usłyszała: „Dudycz, do wyjścia!”. W siedzibie SB czekała na nią mama z o. Eugeniuszem. Okazało się, że pomógł władyka Bazyli. Niedzielną Liturgię we wrocławskiej cerkwi celebrował gościnnie nowo wyświęcony biskup **Jeremiasz**, którego Irena poznała podczas pielgrzymki majowej w 1980 roku.

Była jedyną działaczką Bractwa Młodzieży Prawosławnej w Polsce zatrzymaną przez służby bezpieczeństwa, ale to jej nie zraziło. Mimo tego, że kilka lat nie mogła dostać paszportu i ominęły ją zagraniczne tourne. Wiedziała, że trzeba działać. Latem do Ługów wynajętym autokarem przywiozła dwadzieścioro ośmioro podopiecznych. Do starej kadry dołączył **Jan Piruta**, wówczas student ChAT, dziś mnich **Jakub** w monasterze w Stanach Zjednoczonych, odpowiedzialny za katechezę. Po kilku dniach dołączył brat Ireny, **Piotr Dudycz**, instruktor sportowy, a przede wszystkim ratownik wodny. – To są jeziora, jak się coś stanie, to z więzienia nie wyjdziesz – martwiła się mama Ireny, zanim okazało się, że Piotr będzie mógł pojechać na obóz. W Ługach bardzo przyjazne i pomocne okazały się dwie rodziny, **Siwców** i **Chojniaków**. Raptem okazało się, że samymi darami z zagranicy młodzieży się nie nakarmi. Irena prowadziła z miejscowymi gospodarzami handel wymienny – kawę lub olej za ziemniaki czy mleko prosto od krowy.

Do grupy obozowej dołączyła miejscowa młodzież. Zintegrowani obozowicze w cerkwi śpiewali całą Liturgię. Kwitła także działalność rozrywkowa. Powstawały piosenki i skecze związane z obozem. Na zakończenie gospodynie w wiejskiej świetlicy przygotowały pożegnalny

obiad przy akompaniamencie zespołu **Bogdana Siwca**.

W sierpniu grupa starszej młodzieży pod przewodnictwem Ireny pojechała do Żdyni na obóz roboczy, by remontować plebanię przeznaczoną na potrzeby młodzieży. Na miejscu okazało się, że budynek został przeznaczony dla pogorzelców i pobyt na Łemkowszczyźnie stał się wypoczynkowo-poznawczy, dzięki czemu uczestnicy mogli odwiedzić stare cerkwie, poznać miejscowych parafian.

Irena, nie czekając lata, podczas ferii zimowych 1984 roku zorganizowała w Jeleniej Górze na plebanii pierwsze zimowisko. – Chcieliśmy przygotować przedstawienie na spotkanie choinkowe, które miało się odbyć we Wrocławiu – wspomina. Młodzież pracowała, korzystając z gościnności o. **Sławomira Chwojki**, wówczas proboszcza jeleniogórskiej parafii, i matuszki **Haliny**. Irena zajęła się przygotowywaniem posiłków, zaś opiekę nad młodzieżą sprawowali, duchową – o. Sławomir i Jan Piruta, pedagogiczną **Mirosława Popiel** przy pomocy **Joanny Dudy**. Pod reżyserskim okiem Piotra Dudycza, studenta wydziału wokalno-aktorskiego, powstawał „Kopciuszek", który uświetnił zorganizowaną przez Bractwo Młodzieży Prawosławnej choinkę. Było jak w prawdziwym teatrze. Irena Hunczak szyła kostiumy.

Irena Hunczak ma dużą satysfakcję, że dziś jej wychowankowie pałeczkę przekazują młodszemu pokoleniu. – Pozornie z niczego można zrobić tak wiele, potrzeba tylko chęci – wyznaje i swoimi doświadczeniami dzieli się z własnymi dziećmi, zachęcając je do działalności w Bractwie.

Anna Rydzanicz
fot. **archiwum Ireny Hunczak** i **Iraidy Hunczak**

SPROSTOWANIE

Pierwszy roboczy obóz na Grabarce w 1980 roku zorganizowali przyszli duchowni – o.o. **Aleksander Konachowicz** i **Anatol Hajduczenia**. Za pomyłkę w tekście „Bractwo łączy i rozwija" w Przeglądzie nr 4/2020 przepraszamy.

Wyprowadzał naród z niewoli grzechu

21 marca metropolita miński i słucki Filaret (Warchomiejew), egzarcha patriarszy całej Białorusi, noszący od 2013 roku tytuł honorowego egzarchy, skończył 85 lat.

– Dla Białorusi był tym, kim był Mojżesz dla narodu izraelskiego – porównuje o. Fiodor Powny, proboszcz parafii Świętego Ducha w Mińsku, pod kierunkiem którego przez wiele lat budowano wspaniałą *Światoduchowską* cerkiew w stolicy Białorusi. – Wyprowadzał Białoruś z niewoli grzechu.

– Pierwszą Liturgię odsłużył metropolita Filaret na Białorusi w 1978 roku, w katedralnym soborze. Od razu czuło się jego wewnętrzną siłę i skupienie – niespieszność i powagę słowa, dokładność myśli, głęboki tembr głosu. Czuło się jego wiarę żywą, realną i głęboką, charyzmę daną od Boga – kontynuuje o. Fiodor.

Był stałym członkiem Świętego Synodu ruskiej Cerkwi, przed przybyciem na Białoruś – egzarchą Zachodniej Europy.

Metropolita Filaret miał sześć lat, gdy w 1941 roku wybuchła wojna radziecko-niemiecka, nazwana Ojczyźnianą. Ojciec w poniedziałek 23 czerwca miał mu kupić dużą wymarzoną piłkę. Ale w niedzielę Wszystkich Świętych na Ziemi Ruskiej *prosijawszych* hitlerowcy napadli na Związek Radziecki. Kupił więc mu tylko plecak, również jego siostrze Oldze, wszystkim w rodzinie kupił plecaki, tak jak to powszechnie w czasie wojny robili moskwianie. Pamięta też, jak z ojcem kupował nasiona marchwi, pietruszki, ogórków, bo w Moskwie na każdym skrawku ziemi hodowano podczas wojny warzywa.

Urodził się w rodzinie *dworiańskiej* (szlacheckiej), głęboko wierzącej. Przez ich dom, mimo czasów srogiego komunizmu, przechodzili duchowni, mnisi i starcy. Pojedli, przenocowali i szli dalej. Przecież nie mieli swojego kąta. Władze uczyniły ich wygnańcami we własnej ojczyźnie. Nauczyli się kryć i prosić.

I w tej sytuacji wybór seminarium duchownego?

Nie, wybór był inny – prestiżowy instytut języków obcych. Wszak zawsze był doskonałym uczniem. Szybko uczył się języków. Ale *promysł* Boży był inny. Przed egzaminami zachorował na żółtaczkę. Trzy miesiące nie wychodził z pościeli. Minęły egzaminy. Ktoś mu zaproponował dodatkową rekrutację, ale za cenę wstąpienia do komsomołu. „Do komsomołu wstępować nie będę" – odpowiedział ten, który przez cały czas nie zdejmował z piersi krzyżyka. Wtedy przyszła ciocia, siostra mamy, i do leżącego w pościeli młodego Warchomiejewa powiedziała: „Żadnych instytutów. Oto Psałterz. Ucz się czytać po cerkiewnosłowiańsku i do seminarium… A tu modlitewnik. Leż i czytaj modlitwy".

Mama była przerażona decyzją syna o wstąpieniu do seminarium – wszak widziała tych bezdomnych duchownych, wiedziała o ich zsyłkach, rozstrzeliwaniu. Ojciec, nauczyciel muzyki, zachowywał spokój.

Uczył się w seminarium w Siergijew Posadzie i tam też w akademii duchownej. Tam przyjął mniszy *postrig*. Gdy miał zaledwie 30 lat, przyjął chirotonię biskupią. Był rektorem Moskiewskiej Akademii Duchownej, z siedzibą w Siergijew Posadzie. Do Moskwy przyjeżdżało wiele zagranicznych delegacji – polityków i ludzi Kościołów. Wieziono ich do Siergijew Posadu. Władyka Filaret nieraz pełnił rolę przewodnika wysoko postawionych gości. Uczył się przy



nich dyplomacji i skuteczności misji. Delegacjom towarzyszyli wysokiej rangi towarzysze komunistycznej partii. To w ich sercach siał ziarna Bożej prawdy. Widział, jak się zmieniali przy kolejnych wizytach, jak zadawali coraz głębsze pytania.

Dyplomacji, jak się okaże, trzeba było się uczyć całe życie. Zaczął pracę w departamencie zewnętrznych kontaktów ruskiej Cerkwi, w latach 1981-1989 przewodnicząc mu.

1000-LECIE CHRZTU RUSI

Metropolita współprzygotowywał wielki jubileusz 1000-lecia chrztu Rusi w 1988 roku, cztery lata później – chrztu Białorusi.

O jubileuszu mówił, że miał w sobie taką moc, że jego wpływ na umysły i serca ludzi był na tyle ogromny, iż nastąpiło po nim odrodzenie Świętego Prawosławia, a jubileusz był porównywany z chrztem Rusi w 988 roku.

– Jestem przekonany – mówił – że wielu sowieckich liderów różnych szczebli nie było przekonanymi ateistami i jak tylko prześladowania ustały, zwrócili się ku Cerkwi i stali się pełnoprawnymi chrześcijanami.

Wiek dwudziesty był tragicznie rozłamany – komentował – dlatego że lekceważyliśmy apostolską Tradycję. Chronić ją nie jest łatwo, bo tylko czystością życia i wiary.

Czasom komunistycznym przeciwstawia obecne: – Teraz kąpiemy się w *błagodati*, w duchowej atmosferze, w bogactwie myśli – wszystko dostępne, ale nieraz przestajemy cenić te dary. Myślimy, że sami możemy powiedzieć coś nowego. Powiedzieć możemy, ale tylko na bazie duchowego bagażu, który zostawili Ojcowie Cerkwi.

Uczył: – Czytanie nie tylko duchowej literatury jest niezbędne każdemu duchownemu – to tak jak podłączenie się do akumulatora, to jak napełnienie roztrwonionej w ciągu dnia energii. O sobie: – Czytam przed snem. Jeszcze i jeszcze jedną stroniczkę. I sen odchodzi. Bieda w tym, że trzeba troszkę pospać.

Laureatka Nagrody Ostrogskiego, siostra **Siergija Bujczyk** z monasteru *Spaso-Jefrosińskiego* w Połocku, opowiadała, jak zachęcał siostrę do gromadzenia księgozbioru i wszelkich dokumentów, sam je uzupełniając. Gdy przyjeżdżał do monasteru, noce spędzał, studiując źródła.

Metropolita przywiązywał dużą wagę do starannego wykształcenia duchownych.

Od razu po jubileuszu 1000-lecia chrztu Rusi zakładał teologiczne szkoły, równolegle z odradzaniem się historycznych eparchii.

ODRODZENIE KATEDR

W 1989 roku sobór ruskiej Cerkwi ustanowił historyczne eparchie – połocką, mohylewska i pińską. W ten sposób uszanowano jednocześnie pamięć świętych niosących *podwig* na tej ziemi – Eufrozynę Połocką, Cyryla Turowskiego, Gieorgija Konisskiego, Zofię Słucką.

Metropolita Filaret, jak i cała ruska Cerkiew, wiedział, że etniczne i państwowe kształtowanie białoruskiego narodu byłoby nie do pomyślenia bez oparcia się o historyczne korzenie chrześcijaństwa. Wiedział, że tak jak i tysiąc lat temu, najważniejszym zadaniem jest nauczenie narodu, by „chodził przed Bogiem".

W 1992 roku zakończył się proces odtwarzania historycznych katedr biskupich na białoruskiej ziemi. Przed latami 90. istniała jedyna mińska diecezja. W 1992 roku było ich jedenaście.

Metropolita wiedział, że Cerkiew nigdy nie może być oddzielona od narodu, że musi żyć jego problemami i troskami. Bronił białoruskiego narodu przed sektami, które wypełniały z ogromną determinacją poradziecką duchową próżnię, przed ruchami ezoterycznymi, przed dalekowschodnią ofertą życia duchowego, nawet przed zabobonami, które też wychodziły z podziemia i przed swoimi… batiuszkami, bo niektórzy z nich popadali w radykalizm.

I musiał stawiać czoło części białoruskiej inteligencji, która importując obce idee i duchownych, głosiła, że narodową Cerkwią Białorusinów jest Cerkiew unicka. Szła z hasłami: „Białoruś do Europy", „unia narodową religią Białorusinów". To przy władyce Filarecie miały miejsce obchody 400-lecia podpisania unii brzeskiej w 1996 roku. Rocznica stała się okazją do mówienia pełnym i udokumentowanym głosem na temat nieszczęścia, jakie na naród ruski sprowadziło podpisanie unii brzeskiej, czyli swoista zdrada przez większość prawosławnych biskupów swojego narodu. Głos przeniknął do mediów, kazał inteligencji zastanowić się nad wydarzeniami sprzed czterystu laty.

Inny zarzut, formułowany wobec Cerkwi przez zwolenników *wunii*, to brak białoruskiego języka w nabożeństwach. Metropolita, gdy tylko stało się to możliwe, błogosławił i w różnoraki sposób wspierał białoruską inteligencję, odnajdującą drogę do wiary ojców.

Utworzył Biblijną Komisję Białoruskiego Egzarchatu, której powierzył tłumaczenie na białoruski Pisma Świętego, nabożeństw, tekstów liturgicznych. – Wszystkie nasze inicjatywy – stwierdził wieloletni przewodniczący Bractwa Trzech Wileńskich Męczenników **Mikoła Matrunczyk** – spotykały się ze wsparciem metropolity, do którego mogłem przyjść o każdej porze dnia, a czasami i nocy. Gdy po raz pierwszy na Białoruś przyjechał patriarcha Aleksy II, metropolita w jego obecności wręczył mi wysokie cerkiewne odznaczenie i tłumaczył patriarsze (mówiłem po białorusku)

moje wystąpienie. Dodajmy, że pierwszy wydawany po białorusku periodyk „Prawosłauje u Bełarusi i na Swiecie", inne białoruskojęzyczne wydawnictwa, w tym cerkiewny kalendarz, wspierane były przez metropolitę.

Władyka mówił: – Nie możemy czekać na sprawiedliwy osąd historii. Musimy świadczyć o prawosławiu dziś, w każdym ułamku swojego życia, by nie wstydzić się, że będziemy wezwani przez potomnych na sąd.

Metropolita z uwagą śledził przeszłość i wiedział, że sąd historii może trwać wiekami, nawet tysiącleciami, że to nie proces w zwykłym sądzie, dziś jest, jutro zapominamy o jego wyroku.

Pamiętam z tamtych czasów wielkie zasmucenie **Mikołaja Hajduka**, autora książki „Unia brzeska". Wracając z Białorusi mówił: – Koniec. Nasadzą tam unię! Przepadnie naród białoruski. Nie pozna swoich korzeni. Zapomni o swoich świętych.

Jakże się bałam tego zagrożenia, że znów, jak przed czterystu laty, białoruski dom zostanie podzielony i skłócony. Ale jak się okaże, metropolita robił wszystko, by do tego nie doszło.

Metropolita, tak jak większość hierarchów w ZSRR, był przekonany, że gdy ustaną prześladowania, chrześcijanie Zachodu, w szczególności rzymscy katolicy, przyjdą z pomocą odradzającej wiarę swego narodu Cerkwi. Stało się inaczej. Kościoły protestanckie, w szczególności z Niemiec, takiej pomocy udzielały. Katolicy tereny byłego ZSRR, z czego po kilku latach się wycofali, uznali za „tereny swojej misji", która miała być prowadzona także wśród zateizowanego społeczeństwa radzieckiego, w swej zdecydowanej większości w przeszłości prawosławnego.

Szczególnie boleśnie metropolita odbierał zaangażowanie polskiego Kościoła w reaktywowanie na Białorusi unickich struktur. O tych, którzy – rozdrapując uczynione białoruskiemu narodowi rany – niweczą prawosławno-katolicki dialog, ze smutkiem mówił **Kazimierzowi Morawskiemu** i **Eugeniuszowi Czykwinowi**, z którymi często się spotykał.

Mimo to prowadził dialog teologiczny, w ramach tak zwanego białoruskiego „okrągłego stołu", z ewangelicko-luterańskim Kościołem Niemiec i Finlandii, uniwersytetami Europy zachodniej, poszczególnymi diecezjami Kościoła rzymskokatolickiego, ze wspólnotą żydowską, muzułmańską. „Okrągły stół" stał się też katalizatorem pomocy charytatywnej, niesionej do potrzebujących na Białorusi.

SZKOŁY

Monaster w Żyrowicach, leżący w zachodniej części Białorusi, stał się głównym ośrodkiem kształcenia duchownych. Już od 1989 roku działała tu Mińska Duchowna Akademia w Żyrowicach. W tym samym czasie założono tu duchowne seminarium oraz Mińskie Duchowne *Uczyliszcze*, w którym przygotowywano cerkiewnych dyrygentów i wszystkich tych, którzy trudzili się przy Cerkwi.

W Mińsku, przy Europejskim Humanitarnym Uniwersytecie, założono z inicjatywy metropolity fakultet teologiczny. To otwarta, misyjna struktura, proponująca oprócz nauczania konferencje, w których miałam przyjemność kilka razy uczestniczyć. Instytut teologii powołano także przy Białoruskim Państwowym Uniwersytecie, głównym uniwersytecie naszego wschodniego sąsiada.

Zakładano szkoły niedzielne, szkoły i pracownie pisania ikon, bractwa, *siestryczestwa*.

I bardzo ważna inicjatywa władyki – powołanie do życia Białoruskiej Duchownej Akademii z siedzibą w Mińsku.

Czasy *pierestrojki*, w których Cerkiew uzyskała nieco swobody – takie były obawy – mogły się zakończyć ponownym przykręceniem śruby. Dlatego metropolita, jak wspominał sekretarz metropolii mińskiej, o. **Nikołaj Korżicz**, pracował całymi nocami, a po krótkiej drzemce w samochodzie jechał służyć nabożeństwa lub na różnorakie spotkania.

CZARNOBYL

Awaria elektrowni atomowej w Czarnobylu, jedna z najstraszniejszych katastrof, jaka zdarzyła się w historii ludzkości, nastąpiła osiem lat po objęciu przez metropolitę Filareta opieki nad białoruską Cerkwią. 70 procent radioaktywnych opadów osiadło na Białorusi, na ziemi, na którą i bez tego wylało się w XX wieku morze cierpień, wszak w czasie drugiej wojny zginął co czwarty Białorusin, czyli w proporcji do narodu, najwięcej w Europie.

O tej katastrofie metropolita powiedział, że nie da się jej objaśnić rozumem, rzuca ona bowiem złowieszczy, apokaliptyczny cień. Myśli zawraca w kierunku metafizycznym. Jej wymiar pomaga pojąć prawosławna nauka o człowieku w kosmosie.

Metropolita uczy – dodajmy, że te słowa pomagają zrozumieć i epidemię koronawirusa – że zgodnie z nauczaniem Cerkwi człowiek jest hipostazą ziemskiego kosmosu, a ziemska przyroda jest przedłużeniem jego cielesności. Świat idzie za człowiekiem. Człowiek dla wszechświata jest jego nadzieją *błagodati* i zjednoczenia z Bogiem. Ale w człowieku też leży niebezpieczeństwo przegranej i straty. Z winy człowieka, na skutek jego grzechu, stworzony świat popadł w chaos i śmierć.

A to oznacza, że dowolne, nawet najmniejsze naruszenie duchowo-moralnego porządku, ustanowionego przez Boga, które Cerkiew nazywa grzechem, nieodwołalnie wywołuje chaotyczne zmiany w otaczającym nas, wrażliwym materialnym świecie. Ta myśl jest obecna w całym piśmiennictwie Ojców Cerkwi i prawosławnym liturgicznym dziedzictwie. Władyka przywołuje słowa arcybiskupa chersońskiego **Dimitryja**: „Grzech to odrzucenie i zniszczenie ustalonego przez Boga porządku, który chroni świat i pokój Królestwa Bożego. Porządek ten nie może być przywrócony inaczej, jak pełnym przejawem sprawiedliwego sądu Bożego nad przestępstwem i przestępcą".

Władyka wyjaśnia: – Grzech jest początkiem wszelkich bied i nieszczęść, którym podlega człowiek i społeczeństwo. Grzech *nieraskajannyj* prowadzi do rozpaczy, a rozpacz rodzi zakamie-

niałe serce, poraża moralność i rodzi uczucie pragnienia usprawiedliwienia siebie, z gorzkim pytaniem: „Za co nas Pan Bóg tak pokarał?”.

Taka postawa prowadzi do widzenia Czarnobyla jako zewnętrznego kataklizmu, niesprawiedliwie nas dotykającego. Ludzie w żaden sposób nie chcą się przyznać do swojej winy, nie chcą widzieć rzeczywistej przyczyny katastrofy i powtarzają grzech Adama, który nie chciał powiedzieć „zgrzeszyłem”, wskazując na winę …Boga, bo Bóg dał Adamowi żonę, a ona dała mu jabłko. Żona z kolei złożyła winę na węża. Oboje nie padli przed Bogiem, błagając o wybaczenie grzechu.

Metropolita uczył swój lud: – Według Pisma Świętego jest miara Bożej cierpliwości. I tak nie ocalały miasta Sodoma i Gomora. Każdy z nas powinien żyć tak, jakby był tym ostatnim, który może zbawić swoje miasto, swój naród *podwigiem* wiary i osobistej czystości. Trzeba mocno, zdecydowanie stać przed Bogiem jak płonąca świeca wiary, zawsze pamiętająca o śmierci.

Co nam da obecna lekcja koronowirusa? – można zapytać.

Gdy metropolita przyszedł na Białoruś, którą władze ogłosiły „pierwszą ateistyczną republiką”, na całym terytorium BSRR istniało zaledwie 369 parafii. W 61 nabożeństwa służono raz w miesiącu lub rzadziej, gdyż nie było w nich proboszczów. W styczniu 1979 roku w całej republice służyło 347 duchownych. Istniał jeden, w Żyrowicach, monaster. O jakiejkolwiek duchownej szkole, wydawnictwach, czy pracy socjalnej nikt nie wspominał.

Gdy w 2014 roku metropolita przechodził w stan spoczynku, na Białorusi funkcjonowało 1800 parafii, 35 żeńskich i męskich monasterów, a liczba duchownych przekroczyła 1500.

Metropolita Filaret, odbudowując cerkiewne struktury, szkolnictwo, bractwa, będąc niekwestionowanym autorytetem dla duchownych i mieszkańców Białorusi, wyprowadził białoruski naród z niewoli bezbożnej władzy.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**

O Rosji inaczej

Tak zatytułował swą najnowszą książkę profesor Andrzej Walicki, rocznik 1930, senior polskiego rosjoznawstwa, wykładający na prestiżowych uniwersytetach amerykańskich i angielskich. To zbiór jego artykułów, polemik, opinii, pisanych od lat 90. Rzecz zaczyna się obszernym wywiadem z nim, przeprowadzonym przez Janusza Dobieszewskiego, profesora specjalizującego się w filozofii rosyjskiej. Jeśli chodzi o zawartość, tytuł mówi wszystko. W Polsce od trzech dekad obowiązuje polityka rusofobii. W polityce i mediach mówienie o Rosji pozytywnie, ze zrozumieniem, jest traktowane jak brak patriotyzmu, uderzenie w suwerenność naszego kraju. Tymczasem Andrzej Walicki pisze o Rosji i Rosjanach z wczuciem się w ich sytuację. I nie skrywa radości, jeśli dostrzeże objawy stabilizacji tego kraju. Skorzystajmy więc z wiedzy Andrzeja Walickiego, wytrawnego znawcy historii kultury rosyjskiej, nowożytnej filozofii rosyjskich myślicieli, ale także uważnego obserwatora globalnej polityki.

SZACHOWNICA BRZEZIŃSKIEGO

Polityka Ameryki wobec Związku Radzieckiego, potem Rosji, została w książce sformułowana z całą przejrzystością.

Znaczący wpływ na nią miał sekretarz stanu **Zbigniew Brzeziński**. Głośny amerykański współczesny myśliciel **Samuel P. Huntington** koncepcjom Brzezińskiego nadawał jakby filozoficzno-naukowego oddechu. Sformułował on tezę o nieuniknionym zderzeniu cywilizacji, których granice wyznacza religia. Na Ukrainie według tej koncepcji stykały się dwie – należąca do wschodniej barbarii prawosławna i do zachodniej unicka.

Brzeziński uznał Ukrainę za klucz panowania Stanów Zjednoczonych nad Eurazją, a więc i nad światem, i głosił potrzebę wciągnięcia Ukrainy do NATO, co znacznie osłabiłoby Rosję. Tę zaś, według nakreślonej przez niego mapy, należałoby rozdrobnić na luźno sfederowane – Rosję, Syberię, Republikę Dalekowschodnią oraz Europę Atlantycką, obejmującą Morze Czarne, wybrzeże Morza Kaspijskiego, Ukrainę i Białoruś oraz zachodnią część Federacji Rosyjskiej z Petersburgiem i wybrzeżem Bałtyku. Na obszarze byłego ZSRR będzie USA popierać tworzenie małych, niezależnych państw – byle tylko wydobyły się one spod wpływów rosyjskich. W ten sposób Ameryka, mając za sobą naturalnego sojusznika, Chiny, stanie się globalnym hegemonem.

Odepchnąć Rosję od ciepłych mórz, od Europy, zepchnąć ją gdzieś w tundrę, tajgę, jak najdalej od „europejskiego domu”, a potem jeszcze z Syberii i Dalekiego Wschodu stworzyć odrębne państwa – taka miała być „szachownica” Brzezińskiego.

Idea odpychania Rosji znalazła duży oddźwięk na Ukrainie, gdzie założono, jak czytamy, „skrajnie antyrosyjski Instytut Studiów Strategicznych, głoszący ideę odepchnięcia Rosji od Morza Czarnego.

Brzeziński w 1997 roku w swojej „Grand Chessboard” czyli „Wielkiej szachownicy” pisał, że należy powstrzymać barbarzyńców przed jednoczeniem się (barbarzyńcy według niego to kraje o prawosławnej tradycji), że Europa środkowa jest

amerykańskim protektoratem, że Europa powinna jednoczyć się tylko do określonego poziomu, takiego który nie zagraża wszechwładzy USA, że władza w całym świecie ma być sprawowana „from a single source, namely Washington DC", czyli przez jeden ośrodek, Waszyngton.

Amerykańska droga do imperializmu, do światowej wszechwładzy, zwłaszcza po rozbiciu Bałkanów na drobne państewka i zbombardowaniu w 1999 roku Serbii przez siły NATO, wydawała się realna jak nigdy dotąd. A z Rosji, przy **Gorbaczowie** i **Jelcynie**, wyciekała dawna siła jak woda przez otwarty kran. Była ona upokorzona, lekceważona, nazywana powszechnie „słoniem na glinianych nogach". Rosja, w której przestano wypłacać emerytury, nawet płace, w której gwałtownie zaczęła się skracać długość życia, która utraciła dwadzieścia pięć milionów swoich obywateli, bo po upadku ZSRR znaleźli się oni w nowych niezależnych państwach, jak Kazachstan, Ukraina, czy tzw. Pribałtika. Rosja, w której realną władzę zaczęli przejmować oligarchowie tacy jak **Bierezowski** czy **Chodorkowski**, wyciągając rękę po największe narodowe bogactwo – ropę i gaz, tworząc swoje imperium, roszcząc sobie ambicje polityczne.

Wizja Brzezińskiego wobec Polski? Hegemon w Europie środkowej, czyli powrót do roli państwa Jagiellonów, kontrolującego obszar między Łabą a Smoleńskiem, przy wsparciu USA. **Andrzej Walicki** obserwował 56. Zjazd Polskiego Instytutu Naukowego, kiedy Brzeziński zarysował Polsce tę właśnie wizję, za co został nagrodzony burzliwymi owacjami na stojąco.

Teza Brzezińskiego to całkowite wypchnięcie Rosji z Europy i skazanie jej na drugorzędność i marginalizację.

JAK POLSKA PSUŁA STOSUNKI Z ROSJĄ

Polityka USA wobec Rosji stała się dla polskich polityków i publicystów wiatrem w żagle. Nie mieli oni skrupułów, by Rosję poniżać, mówić i pisać o niej źle, kreśląc jej obraz jako wroga numer jeden. Stało się to zwłaszcza widoczne, zauważa Walicki, po podpisaniu 14 listopada 1990 roku polsko-niemieckiego traktatu granicznego, ustalającego trwałość zachodniej granicy Polski. Wtedy polska polityka wobec Rosji zmieniła się z dnia na dzień. Rozpoczęły się rozmowy o natychmiastowym wycofaniu się wojsk radzieckich z Polski, prowadzone bez żadnej kurtuazji, charakterystycznej dla zjednoczonych Niemiec, z których też wojska były wycofywane.

I tak od początku lat dziewięćdziesiątych Polska wśród polityków rosyjskich zaczęła uchodzić za kraj, który nie zaniedba żadnej okazji, aby Rosji zaszkodzić, stając się głównym przeciwnikiem prorosyjskich tendencji w europejskiej polityce. Polaków zaczęli Rosjanie postrzegać jako ulegających antyrosyjskim fobiom, traktujących Putinowską Rosję jako zagrożenie dla całego świata, antyrosyjskość uważające za coś naturalnego, a nawet pożądanego.

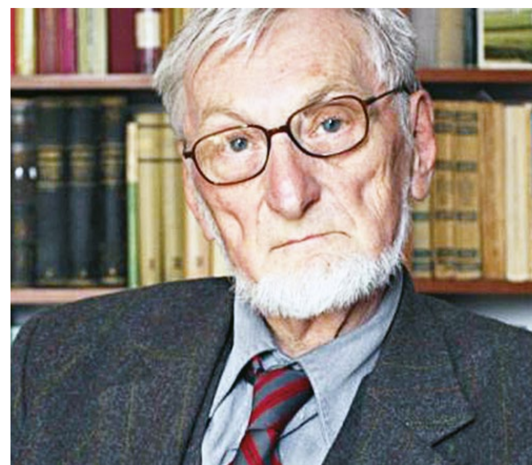
Jakie akty Polaków najbardziej psuły według Walickiego te relacje?

– Kierowanie się przez postsolidarnościową polską prawicę zasadą amerykańskiego myśliciela politycznego Carla Schmitta, według której podstawowym warunkiem efektywnej polityki jest posiadanie wroga. W tej roli obsadzono Rosję;

– wbijanie przez media Polakom do głowy, że Rosja jest krajem obcym cywilizacyjnie i organicznie wrogim Polsce i Europie;

– twierdzenie, że największą zbrodnią popełnioną na Polakach podczas II wojny światowej był Katyń i że odpowiedzialność za tę zbrodnię ponosi Rosja jako naród, a nie stalinizm, którego główną ofiarą byli Rosjanie, wystawienie tylko Rosjanom rachunku krzywd oraz przypominanie o nim przy każdej możliwej okazji, z pominięciem w tym rachunku innych narodów i narodowości, tworzących Związek Radziecki;

– odmowa ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy udziału w uroczystościach 50-lecia zakończenia II wojny w Moskwie. Uczestniczyli w nich przywódcy wszystkich państw koalicji



antyhitlerowskiej i Niemiec. Wizyta premiera **Józefa Oleksego** nazwana została w tym kontekście prywatną i zasługującą na osądzenie przez Trybunał Stanu. Ze strony polskiej było to lekceważenie wielkiego zwycięstwa Armii Czerwonej;

– zburzenie w 1997 roku – technicznie był to trudny problem – pomnika żołnierzy radzieckich w Toruniu, mimo protestów Rosji, Białorusi i Ukrainy oraz wielu mieszkańców Torunia;

– usunięcie w Krakowie pomnika marszałka Koniewa, który ocalił to miasto oraz Częstochowę;

– pokazanie podczas wizyty prezydenta Federacji Rosyjskiej Władimira Putina w Oświęcimiu nie dokumentów na temat wyzwolenia obozu przez armię radziecką, a wystawy na temat zniewolenia narodów w ZSRR;

– nazywanie Putina „dzisiejszym Stalinem" lub „faszystą", wierzącym w knut i dławiącym wolność słowa, a nawet wolność myślenia;

– stosunek Polski do wojny w Czeczenii, biorący w obronę Czeczenów, nawet terrorystów, a potępiający Rosję. Ta jednostronność pojawiła się zwłaszcza po ataku na szkołę w Biesłanie, kiedy cała nielewicowa prasa polska podkreślała współczucie wobec „czeczeńskich bojowników o wolność";

– wypowiedź w 2015 roku ministra spraw zagranicznych Grzegorza Schetyny w obozie w Oświęcimiu: „A może lepiej powiedzieć, że to I Front Ukraiński i Ukraińcy wyzwolili (obóz w Oświęcimiu - red.), bo to oni otwierali bramy obozu";

– nieznajomość w Polsce reform Putina, wrogi do nich stosunek. Nawet gdy zachodni eksperci odnosili się z szacunkiem do posunięć gospodarczych **Putina**, w Polsce naświetlano je jednostronnie. Chodziło głównie o rosyjskie kampanie naftowe, które przy Jelcynie stały się półkryminalną potęgą, niszczącą bez skrupułów międzynarodowe standardy uczciwej konkurencji. Gdy Putin wypowiedział walkę oligarchom, kładąc kres ich samowoli, przywracając państwową kontrolę nad bogactwami kraju, polskie media jednoznacznie potępiały Putina.

I bardziej ogólny zarzut Walickiego – tendencja Polaków do obciążania współczesnych Rosjan za wszystkie grzechy caratu i wszystkie grzechy komunizmu.

ROSJANIE WOBEC POLAKÓW

Andrzej Walicki boleje nad straconym kapitałem nowej rosyjskiej fali polonofilstwa, która pojawiła się za czasów Gorbaczowa. Rosjanie uznali wtedy Polskę za przykład odważnej walki z represyjnym systemem, jednocześnie za wzór pokojowej transformacji. Dla inteligenta rosyjskiego charakterystyczne było wtedy poczucie ulgi z powodu wycofania się z krajów Europy środkowo-wschodniej radzieckiego wojska i pragnienie nawiązania nowych kontaktów z wolną już Polską. Sołżenicyn wystąpił wtedy z ideą wzajemnego wybaczenia i prześcigania się w wielkoduszności. Wymienił długą listę grzechów popełnionych przez Rosję wobec Polski (trzy rozbiory, tłumienie powstań, rusyfikacja po powstaniu styczniowym, strefa wpływów po II wojnie) i Polski wobec Rosji (parcie Polski od połowy XIV wieku na wschód z polonizacją i katolicyzacją ziem ruskich, narzucenie unii kościelnej, Dymitriady i opanowanie Moskwy, krwawe tłumienie powstań kozackich, marsz Piłsudskiego na Kijów od razu po świeżo odzyskanej niepodległości).

W Polsce nowej fali polonofilstwa nie dostrzeżono, a propozycję „wielkoduszności” zlekceważono.

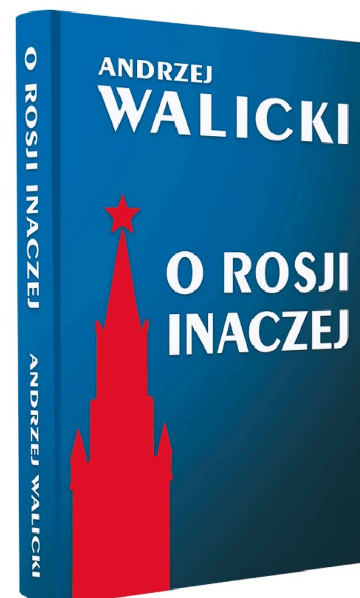
Odpowiedź Rosjan? Podstawowa, to nieobecność polskiej tematyki w mediach, reakcja, jedynie na wyjątkowo nieprzyjazne gesty.

Ale nie tylko. Bo ten okres „ucieczki Polski od Wschodu” i agresywna polityka Stanów Zjednoczonych rodzi w Rosji jawnie antypolskie nastroje, zauważa Walicki. W Rosji dochodzi do atakowania rosyjskiej inteligencji za jej polonofilskie nastroje. Pojawiają się nawet takie książki, jak **Stanisława Kuniajewa** „Szlachta i my”, w której autor utożsamia polskość ze szlachecką pychą, gardzącą rosyjskim i ukraińskim „bydłem”.

Rodzą się nowe albo odżywają stare koncepcje polityczne i historiozoficzne. Skoro Europa Rosji nie chce, a kapitalistyczne przeobrażenia na wzór Zachodu w Rosji się nie udają, to należy odwrócić się ku Wschodowi, wybierając jak najściślejszą współpracę z poradzieckimi republikami środkowoazjatyckim i znaleźć własną drogę rozwoju gospodarczego.

Koncepcja euroazjatyckiej cywilizacji nie jest nowa. Jej wielkim propagatorem był XIX-wieczny polski historyk **Franciszek Duchiński**, który Rosję zaliczał do cywilizacji turańskiej, oceniając ją zdecydowanie negatywnie. A Turańczycy to potomkowie Hunów. Tę ideę zaczęto rozpowszechniać na początku XX wieku w Rosji jako konkurencyjną wobec słowianofilstwa. Tyle, że wielki językoznawca i kulturolog, książę **Mikołaj Trubeckoj**, odwrotnie niż Duchiński, widział pozytywny wpływ dziedzictwa Dżingis-Chana na kulturę i duchowość rosyjską. Pisał natomiast o destrukcyjnej i kolonizatorskiej roli romano-germańskiej cywilizacji europejskiej, jej agresywności, zręcznie ukrywanej pod maską rzekomego uniwersalizmu.

Nie powinno więc dziwić, że kolejna fala euroazjatyzmu pojawiła się po głębokim rozczarowaniu Rosjan wobec pierestrojki (nazywanej często przez Walickiego „katastrojką”) Gorbaczowa i liberalno-zachodnich reform Jelcyna. Ożywa tradycja prawosławno-słowianofilska. Za najsilniejszego jej przedstawiciela Walicki uznaje **Siergieja Chorużego**. Dodaje, że jest to znakomity znawca współczesnej filozofii światowej. Choruży sięga do uniwersalnej myśli zawartej w pismach Ojców Kościoła i mistycznej tradycji hezychazmu.



ROZUMIENIE ROSJI

Andrzej Walicki do własnego rozumienia Rosji przykłada statystykę i fakty historyczne, a nie mity i resentymenty. Pisze, dlaczego zwycięstwo w Wojnie Ojczyźnianej jest tak czczone przez Rosjan. Porównuje: Podczas II wojny Związek Radziecki stracił 7 milionów żołnierzy, Stany Zjednoczone – 300 tysięcy, Niemcy 3,5 miliona. ZSRR stracił 20 milionów ludności cywilnej i jeszcze 2 miliony zmarło z głodu, z wycieńczenia w zrujnowanym kraju.

W ZSRR legło w ruinach 1700 miast i około 70 tysięcy wsi. USA tego nie doznały.

Sumuje autor: Spośród 55 milinów ofiar II wojny, 27 milionów, czyli niemal połowa, to ofiary po stronie ZSRR. I dlatego Andrzej Walicki będzie powtarzał, że nieobecność prezydenta Rzeczypospolitej na uroczystościach 50-lecia *pobiedy* w Wojnie Ojczyźnianej w Moskwie była grubiaństwem.

Andrzej Walicki buntuje się przeciwko obarczaniu za wszystkie zbrodnie i nieszczęścia Rosjan, czynieniu ich jedynymi spadkobiercami komunistycznego ustroju.

Pisze, że Rosjanie w państwie radzieckim byli najbardziej prześladowaną narodowością. Nie mieli w nim nawet własnej republiki, własnej partii komunistycznej, własnych narodo-

wych instytucji, typu akademia nauk. Za to musieli ponosić niewspółmierne ciężary na rzecz innych narodowości, np. Kazachów, Baszkirów, Azerów, Kirgizów, realizując jeszcze zagraniczne zobowiązania swego rządu (pochód komunizmu).

Po rewolucji październikowej celowo była eliminowana świadomość historyczna Rosjan. Wyeliminowano nawet przedmiot – historia Rosji. Dodajmy, że masowe burzenie cerkwi i monasterów, rozstrzeliwanie lub osadzanie w obozach pracy setek tysięcy duchownych i hierarchów Cerkwi przez komunistów, to jak wydzieranie narodowi serca.

Lenin – pisze Walicki – uważał, że największym niebezpieczeństwem dla rewolucji byłoby wzmocnienie rosyjskiej świadomości narodowej i przeniknięcie jej do chłopskich mas. Faworyzowano Ukraińców. Przyznano im wschodnie rosyjskojęzyczne terytorium, przedtem integralną część Rosji, o którą dziś toczy się wojna. Ukraina z Lwowem i Donieckiem – czytamy – to twór Stalina. A Ukraina z Krymem, to twór Chruszczowa. I wyjaśnienie: Krym i wybrzeże Morza Czarnego były przed Katarzyną II tureckie. Ukraina ani Rzeczypospolita nigdy tam nie sięgały.

Walicki boleje nad zawstydzającym regresem polskich relacji z Rosją, prymitywnie antyrosyjskimi stereotypami, poczuciem wyższości Polaków wobec Rosjan, nad marnowaną szansą zbliżenia i współpracy między narodami. Boleje nad tak szybko traconym kapitałem sympatii Rosjan wobec Polaków. Dodaje jednocześnie, że jest grupa światłych ludzi, nie ulegających oficjalnej propagandzie, zainteresowanych rosyjską myślą, literaturą, ideą, duchowością. Do tych osób zalicza m.in. profesorów **Andrzeja Romanowskiego**, rusycystę **Andrzeja de Lazari**, politologa **Stanisława Bielenia**, publicystę i redaktora naczelnego Przeglądu **Jerzego Domańskiego**.

Anna Radziukiewicz
fot. **www.tygodnik.przeglad.pl**

Andrzej Walicki, *O Rosji inaczej*, Warszawa 2019, ss. 364.

Zmarł o. Aleksander Szełomow

29 marca, w nocy z soboty na niedzielę, zmarł po długiej i ciężkiej chorobie o. Aleksander Szełomow. Gdyby odszedł ponad tydzień później, 7 kwietnia, miałby 71 lat. Dwa lata wcześniej sam poprosił arcybiskupa białostockiego i gdańskiego Jakuba o zwolnienie z funkcji proboszcza parafii Opieki Bogarodzicy w Olsztynie i jednocześnie dziekana okręgu olsztyńskiego. Pozostawał rezydentem tej parafii.

Ojca **Aleksandra Szełomowa** spotykaliśmy głównie na Świętej Górze Grabarce. Przyjeżdżał z matuszką **Heleną**. Służył podczas Liturgii, ale też lubił spotkać się ze znajomymi. Odwiedzał i nas przy stoisku z książkami, wnosząc wiele serdeczności.

Dobrze zapamiętałam 60-lecie urodzin o. Aleksandra. Obchodził je 25 października 2009 roku. Dzień dżdżysty, chłodny, „przełamany” ciepłem Liturgii służonej w olsztyńskiej cerkwi przez arcybiskupa wrocławskiego i szczecińskiego **Jeremiasza** i białostockiego i gdańskiego **Jakuba**, i ciepłem samego jubilata. Taki był. Takim go zapamiętałam. Władyka Jeremiasz mówił wtedy, że do każdego człowieka należy zawsze odnosić się z miłością – kiedy jego postępowanie odpowiada naszym kryteriom i kiedy nie odpowiada.

W zasadzie mówił o każdym żyjącym człowieku, bo każdy jest krytykowany, oceniany, napominany, a ci, którzy prowadzą jakiś zespół czy wspólnotę, są widoczni i przez to szczególnie oceniani. Ważne, by oceniać ich z miłością.

Władyka Jakub mówił o Akcji Wisła, tragicznej w swych skutkach. Nie bez przyczyny. O. Aleksandrowi przyszło się całe życie służyć tym, którzy stali się jej ofiarami. Urodzony w Szczecinie, po seminarium duchownym – skończył też Chrześcijańską Akademię Teologiczną – wyświęcony w 1971 roku przez arcybiskupa białostockiego i gdańskiego **Nikanora** na diakona i kapłana, od razu trafił do ludzi wygnanych ze swej ziemi i rozproszonych na obcej.

Do 1982 roku był proboszczem w Wojnowie i Mrągowie na Mazurach. Posługę niósł i w Orzyszu, a w latach osiemdziesiątych także w Lidzbarku Warmińskim, Górowie Iławeckim i Gdańsku. W 1982 roku mianowany został proboszczem parafii w Olsztynie i jednocześnie dziekanem okręgu olsztyńskiego. Tak było do czasu, aż choroba nie pozwoliła w pełni sprawować tych funkcji.

Wtedy, podczas jubileuszu 60-lecia, władyka Jakub udekorował o. Aleksandra orderem św. św. Cyryla i Metodego, dziękując mu za to, że jest dobrym gospodarzem świątyni, którą wraz z parafianami pieczołowicie odremontował i otoczył parkanem. Otrzymał wtedy także odznakę za zasługi dla województwa warmińsko-mazurskiego, wręczoną przez przewodniczącego sejmiku.

O. Aleksander otrzymał wiele znaczących nagród cerkiewnych – mitrę w 1999 roku i order św. Marii Magdaleny – i państwowych – w 2001 roku Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, w 2008 roku medal Pro Memoria za współpracę ze Związkiem Sybiraków i w 2011 Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski.

Od 1995 roku był związany jako kapelan z prawosławnym ordynariatem Wojska Polskiego. Służył w Marynarce Wojennej. Odszedł w stopniu komandora. W 2012 roku na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim obronił pracę doktorską „Duszpasterstwo prawosławne w Marynarce



Wojennej Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1995-2012".

Parafia olsztyńska, w której najdłużej niósł swą posługę, bo aż 38 lat, była trudna ze względu na swoją rozległość.

Jej wierni byli rozproszeni w promieniu niemal stu kilometrów. Niektórzy, by dojechać na służbę samochodem po krętych warmińskich drogach, potrzebowali półtorej godziny. Trudno więc tu było mówić o możliwości regularnego uczestnictwa w służbach. I mimo takich warunków i oczywiście małżeństw mieszanych liczba wiernych nie spadała.

Zaupokojną Liturgię w olsztyńskiej cerkwi służył arcybiskup białostocki i gdański Jakub wraz z duchownymi dekanatów olsztyńskiego, gdańskiego i białostockiego. Czas epidemii wirusa nie pozwolił na liczny udział wiernych.

Po nabożeństwie w cerkwi w Olsztynie ciało zmarłego przewieziono do cerkwi św. Jana Klimaka w Warszawie. Tam odsłużono panichidę, której przewodniczył metropolita **Sawa**. W uroczystościach uczestniczył arcybiskup wrocławski i szczeciński **Jerzy**, Prawosławny Ordynariusz Wojska Polskiego, duchowni wolskiej parafii oraz kapłani prawosławnego ordynariatu WP.

Ciało zmarłego spoczęło na cmentarzu na Woli.

Wiecznaja pamiat' Ojcze Aleksandrze.

Anna Radziukiewicz
fot. **www.orthodox.pl**

Człowiek dialogu

Z księdzem **Aleksandrem** znaliśmy się niemal pół wieku. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w oddziale redakcji tygodnika „Za i Przeciw" w Olsztynie w 1973 roku na konferencji z okazji jubileuszu urodzin Marcina Lutra. Na kolejne zebrania, czy to Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, czy oddziału Polskiej Rady Ekumenicznej dojeżdżał z Wojnowa, niewielkiej wsi między Uktą a Rucianem-Nidą. To była jego pierwsza samodzielna parafia prawosławna w okolicach zamieszkałych od pierwszej połowy XIX wieku przez staroobrzędowców, którzy w Wojnowie posiadali swój klasztor nad jeziorem Duś i molennę w środku wsi z lat dwudziestych XX wieku. Część staroobrzędowców w drugiej połowie XIX wieku powróciła do prawosławia, dając początek parafii *jedinowierców*. Przepiękną drewnianą cerkiew Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny wybudował imiennik księdza Szełomowa **Aleksander Awajew** w latach 1922-1923.

Wojnowo do dziś jest miejscem szczególnym, gdzie zamieszkują, obok katolickiej ludności napływowej, rodziny staroobrzędowców, prawosławnych i ewangelików. Do niedawna można było spotkać osoby mówiące gwarą mazurską i językiem niemieckim ze śpiewnym zaciąganiem rosyjskim.

Nic dziwnego więc, że przebywając na co dzień w tak różnorodnym środowisku ks. Szełomow angażował się aktywnie w dialog ekumeniczny. Częste spotkania w naszej redakcji czy w plebanii luterańskiej na Starym Mieście w Olsztynie (gdzie został proboszczem) wytworzyły szczególny klimat otwartości i wzajemnego zaufania wiernych tzw. „Kościołów mniejszościowych", a silna osobowość i otwartość ks. Aleksandra zachęcała do uczestnictwa w nabożeństwach w cerkwi pieczołowicie zaadaptowanej z dawnej kaplicy przedpogrzebowej byłego cmentarza ewangelickiego. To dzięki tej czynnej świątyni dawny cmentarz, a obecny teren parkowy, jest schludnie utrzymywany i nie ulega dewastacji.

Wieloletnia służba Bogu i ojczyźnie przysporzyła nie tylko jemu, ale całej społeczności prawosławnej w naszym regionie szacunku i sympatii. Ale w sprawach zasadniczych, dotyczących własnego Kościoła, potrafił być wymagającym rozmówcą i twardym negocjatorem, dotyczyło to zarówno władz państwowych jak i hierarchów katolickich. Nigdy nie pozwalał na dyskryminację swojego Kościoła i swoich wiernych. Traktował wszystkie wyznania z należnym szacunkiem i sympatią, znał swoje miejsce w szeregu, ale potrafił niejednokrotnie upomnieć duchownych innych wyznań, aby wstąpili do szeregu. I to zanim został kapelanem Marynarki Wojennej. To wtedy zdobył sobie zaufanie w środowisku wojskowym i kombatanckim, któremu służył do ostatnich lat. Bardzo ważna i ceniona jest jego praca doktorska „Duszpasterstwo prawosławne Marynarki Wojennej RP w latach 1995-2012" (w istocie opisuje kapelaństwo prawosławne na przestrzeni wieków), która pokazuje jaką patriotyczną rolę i służbę spełniały i odgrywają mniejszości religijne w życiu naszego kraju.

Nasza warmińsko-mazurska ekumenia to nie tylko Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan, ale ponad pół wieku spotkań i „rozmów przy stole" jak mawiają luteranie. Pamiętajmy, że większość księży niekatolickich to absolwenci Chrześcijańskiej Akade-

mii Teologicznej w Warszawie, więc wiedza o innych wyznaniach ułatwiała codzienny dialog. Ks. Aleksander przez wiele lat był przewodniczącym oddziału Polskiej Rady Ekumenicznej, której w latach osiemdziesiątych przypadło nieść pomoc charytatywną, w tym żywnościową, wielu potrzebującym.

Chcę także wspomnieć zaangażowanie ks. Aleksandra w uszanowanie zmarłych. Dotyczy to wieloletniej akcji porządkowania cmentarzy wojennych z pierwszej i drugiej wojny światowej. Akcja ta, rozpoczęta jeszcze w latach dziewięćdziesiątych przez Wspólnotę Kulturową Borussia, trwa do tej pory. Braliśmy w niej udział od początku. Uporządkowanie każdego cmentarza kończyliśmy ekumenicznym nabożeństwem z udziałem ks. komandora.

Prowspólnotowa postawa Aleksandra przyniosła mu szacunek społeczny, odpowiednie godności i oznaczenia. Z okazji sześćdziesiątych urodzin w 2009 roku samorząd województwa w czasie uroczystego nabożeństwa w cerkwi Opieki Matki Bożej w Olsztynie wyróżnił ks. Aleksandra Odznaką Honorową za Zasługi dla Województwa Warmińsko-Mazurskiego. Swoim całym życiem, służbą i zaangażowaniem zasłużył sobie na szacunek, ale i wdzięczność całej społeczności Warmii i Mazur.

Jako przedstawiciel ludności mazurskiej wyrażam wielkie podziękowania Bogu i naszej prawosławnej Cerkwi za służbę ks. Aleksandra, poświęcenie i wkład w rozwój duchowy i społeczny, za budowę wspólnoty. Wielkim darem było spotkanie go na mojej drodze.

Wiktor Marek Leyk

Autor jest działaczem społecznym i ekumenicznym, byłym posłem na Sejm, dziennikarzem, założycielem i redaktorem kwartalnika „Studia i Dokumenty Ekumeniczne", pełnomocnikiem wojewody i marszałka województwa warmińsko-mazurskiego ds. mniejszości narodowych i etnicznych, szefem kancelarii sejmiku województwa warmińsko-mazurskiego.

Pisarz i filozof

Smutno. 19 marca zmarł Eugeniusz Kabatc. To tak jakby z brukowanej drogi wyrwano duży kamień. Będę potykać się o tę dziurę. Odszedł pisarz, eseista, dramaturg, tłumacz, ale przede wszystkim dobry człowiek.

1 grudnia ubiegłego roku widziałam go po raz ostatni. Otworzył drzwi w swoim mieszkaniu przy ulicy Smolnej w Warszawie. Obok żona **Krystyna**, drobniutka, szczuplutka – czarne włosy, koraliki, taka późna elegancja. Wydało mi się, że są jednym ciałem. Oboje czule o siebie zatroskani, podtrzymujący swoje porcelanowe już ciała. Pan Eugeniusz ostrożnie opuścił się na kanapę. Mnie wskazał miejsce na fotelu przy oknie, które całą ścianę wzięło we władanie, pokazując z wysokiego piętra drzewa na skarpie, rozległą dolinę Wisły i stolicę, ścielącą się po horyzont, po lotnisko może.



W mieszkaniu bogata, prawdziwie bogata, była tylko biblioteka. Wszystko inne sprawiało wrażenie, że jest rówieśnikami gospodarzy, wpisywało się w długie trwanie, w nawarstwianie się rzeczy i czasu. Jak dobrze mi było w tej dekoracji do życia Kabatców! W czasie rozciągniętym niemal na całe stulecie ich życia!

Pan Eugeniusz zanurzył się między dwa stosy książek. Po prawej jego stronie na górze leżał gruby tom Andrzeja Walickiego „O Rosji inaczej". Trochę dalej egzemplarze „Przeglądu", lewicującego tygodnika.

Pogratulowałam panu Eugeniuszowi kolejnego świeżego wyboru na przewodniczącego polskiego oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej, z którym związał się od 1975 roku, przewodząc mu przez wiele kadencji.

Żywa myśl gospodarza, wszystkie jej niuanse, jego styl, przypominający bizantyńskie plecenie słów, dziś może staromodny, przebrzmiewa nawet w zwykłej rozmowie, ale przez to bardziej odświętnej, wykwintnej.

„Bo Eugeniusz Kabatc to nie tylko znakomity pisarz o kunsztownym stylu, sprawiającym przyjemność w lekturze, ale mądry człowiek. Filozof – w najbardziej esencjonalnym sensie tego słowa" – napisze krytyk literacki, znawca twórczości Kabatca, Krzysztof Lubczyński. I wtedy, siedząc na fotelu na Smolnej albo czytając w samolocie Warszawa-Florencja znakomite „Ostanie wzgórze Florencji. Opowieść o Stanisławie Brzozowskim" Eugeniusza Kabatca wiesz, że to prawda.

Przed podróżą do miasta podpisania unii florenckiej Kabatc przysłał mi swoje „Ostatnie wzgórze…", z dedykacją „Drogiej Pani Ani R. na drogę do Florencji – bardzo serdecznie, Eugeniusz Kabatc, Warszawa, w październiku 2019". I to był ostatni wpis do książki, jaką otrzymałam od pisarza.

Kiedy byłam jeszcze licealistką, nie wiedząc czemu ustawiałam obok Jarosława Iwaszkiewicza, patriarchy polskiej literatury dojrzałego wieku XX, Eugeniusza Kabatca. Iwaszkie-

wicz mnie fascynował – jego „Sława i chwała”, „Brzezina”, „Panny z Wilka”, „Młyn nad utratą”. Był pogranicznym pisarzem, urodzonym na Podolu, który pierwszą ćwiartkę swego życia spędził na Ukrainie, dalsze w podwarszawskich Stawiskach, przez niego rozsławionych.

A Kabatc? Urodzony 11 stycznia 1930 roku w Wołkowysku, był od Iwaszkiewicza młodszy o 36 lat. Obaj „kresowi”. Obaj wessani w krwiobieg warszawskiego świata literackiego, ale z pamięcią o swych sokach dzieciństwa i młodości, u Kabatca nasilającej się w ostatnich dekadach twórczości. Że „kresowi” i wybitni, to nie jest dziwne. Jakoś literatura polska, ta najlepsza, na tamtej glebie wyrastała, nawet jeśli to były tylko reminiscencje z czasów dzieciństwa i młodości. Eugeniusz Kabatc, mając 18 lat, związał życie z Warszawą, Iwaszkiewicz – mając 24 lata.

Więc moja młoda intuicja, która pozostawała wtedy poza analizą biografii pisarzy, słusznie podpowiadała mi pokrewieństwo, nie wiem – nastroju, toposów, języka, atmosfery?

I oto otrzymuję od Eugeniusza Kabatca jego „Pogodę burzy nad Palermo” (1999). Dowiaduję się wtedy, że ta jego powieść o ostatniej podróży Jarosława Iwaszkiewicza do Włoch na Sycylię, swoiste studium o odchodzeniu człowieka, nie powstałaby, gdyby nie…warunek Iwaszkiewicza. „Pojadę do Włoch, pod warunkiem, że ty Eugeniuszu pojedziesz ze mną”. Dowiaduję się, że obu pisarzy łączyła głęboka, twórcza przyjaźń, wynikająca z czegoś, co można nazwać pokrewieństwem dusz.

Pierwsze spotkanie ze „znajomym z młodości” odbywa się na tarasie mojego domu kilkanaście lat temu. Tam chronimy się przed spalonym słońcem lipcowym popołudniem. Jest i pani Krystyna, i dwóch Eugeniuszy – Kabatc i Czykwin. Kabatcowie jeszcze w świetnej formie – pan Eugeniusz wysportowany, kochał tenis. Pijemy wino, którego Kabatc był wytrawnym znawcą i jakże często motyw sączenia wina wprowadzał do swych powieści. Nie są to „Popołudnia filozofów”, wszak filozofa i myśliciela mamy przy stole jednego, niemniej unosi się atmosfera jego tak zatytułowanej powieści-eseju, z dociekaniami najrozmaitszych przejawów ludzkiej egzystencji. Autor ujmuje delikatnością sposobu bycia, łagodnością wyrafinowanego słowa, mądrością głębokiego spojrzenia, ale nie krytycznego, tylko jakby próbującego wydobyć z rozmówcy to, co w nim najlepsze. Tak, wiekowo mogłabym być jego córką. I coś miał względem mnie z ojcowskiego, łagodnego spojrzenia.

Jak to się stało, zastanawiałam się, że był przecież typowym ekonomistą, czy finansistą – skończył Szkołę Główną Planowania i Statystyki, obecne SGH, pracował w Banku Handlowym i ministerstwie finansów. To malowniczy paradoks w biografii człowieka o takim duchowym profilu!

Zadebiutował podczas ostatniego okresu pracy w ministerstwie finansów, w 1957 roku, zbiorem opowiadań „Pijany anioł”. Dotknął w nim motywów białoruskich. Debiutancka powieść „Za dużo światła” przyszła dwa lata później, a w niej motyw odbudowy kraju i jego cywilizacyjnego rozwoju z figurą młodego inżyniera. Mija rok i znów powieść – „Gorzka plaża”. Na kolejną czytelnicy znów czekają tylko rok, to „Romans”. Znany krytyk **Piotr Kuncewicz** nazwał ją „studium przeciętności”. Młodego Kabatca nie interesowały wtedy sytuacje ekstremalne, tylko właśnie zwykłość rzeczywistości.

Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte, a nawet początek osiemdziesiątych są okresem niezwykłej aktywności twórczej pisarza. To czas kiedy powstają „Fałszerz i jego córka”, „Przygoda z Agnieszką”. W 1965 roku ukazuje się powieść „Jedenaste przykazanie”, która przez miejsce akcji i atmosferę jest aluzyjnym nawiązaniem do „Czarodziejskiej góry” Tomasza Manna. O dziwo, znów moja młoda intuicja czytelnicza zbiega się z intuicją twórczą Kabatca. Jako osiemnastolatka wdrążam się w filozoficzną powieść „Czarodziejska góra”, która wtedy jest dla mnie tak samo fascynująca, jak i zamknięta.

„Żółwie” (1966) to już powieść zupełnie inna. Satyryczna. Literackie środowisko Warszawy znajduje w niej odbicie.

I przechodzimy do odrębnego kabatcowego rozdziału – włoskiego, długiej fascynacji. Zasadniczy wpływ na ten okres miała jego praca jako radcy do spraw kultury przy ambasadzie polskiej w Rzymie (1968-1974). To płodny okres, który zrodził utwory: „Oranie morza”, „Filip i Dżulietta”, „Patrycja, czyli o miłości i sztuce w środku nocy”, „Małgorzata, czyli Requiem dla wojowniczki”, „Śmierć robotnika w hotelu Savoy” (1985). Ostania powieść jest jakby klamrą okresu włoskiego.

W tym okresie zmienia się i styl Kabatca – z eleganckiego, wyszukanego, przechodzi w coraz bardziej szorstki, bliski potocznemu. Pisarz podejmuje wątki społeczne, polityczne, historiozoficzne, egzystencjalne, wchodzi w tematy pełne sprzeczności i chaosu.

Pracuje. Ale już nigdy nie wróci do zawodu finansisty. W całości oddaje siebie kulturze. Już mając 29 lat zostaje przyjęty do Związku Literatów Polskich. W latach 1960-1968 jest redaktorem dwutygodnika „Współczesność”. Od 1973 roku był zastępca redaktora naczelnego bardzo cenionego miesięcznika „Literatura na Świecie”.

W 1990 roku został członkiem Polskiego PEN Clubu.

Miał prozatorską pauzę, może związaną z zajętością zawodową?

Ale w 1999 roku wraca do literatury, jako prawie siedemdziesięciolatek, „Pogodą burzy nad Palermo”. I znów mamy na swój sposób innego pisarza – bardziej filozofa i eseistę.

I dochodzimy do apogeum twórczości Eugeniusza Kabatca. **Krzysztof Lubczyński** dwa jego późne działa nazywa *opus magnum* (dzieła wielkie). Jest to „Czarnoruska kronika trędowatych” (2008) i „Ostatnie wzgórze Florencji. Opowieść o Stanisławie Brzozowskim” (2011). O pierwszej powieści pisałam w Przeglądzie Prawosławnym, o głębokim powrocie pisarza do swych białoruskich/czarnoruskich korzeni, w ich najbardziej znaczącym zapętleniu historycznym,

Władyka Jakub po oświęceniu cerkwi św. Mikołaja Serbskiego wręczył władyce Milutinowi order św. św. Cyryla i Metodego



czyli roku 1385, czy raczej 1386, kiedy został podpisany akt unii krewskiej, w powieści – wołkowyckiej. Kiedy Wielkie Księstwo Litewskie Ruskie i Żmudzkie zaczęło tracić swój byt niepodległy i wzmacniać politycznie niewielką Koronę. Ileż głębokich przemyśleń pozostawił w tej książce, ileż bólu zamknął!

A studium o Brzozowskim? Przecież to znowu podróż poprzez Italię, konkretnie Florencję, gdzie ten młodopolski pisarz i filozof, socjalista, wynajął na ostanie lata swego schorowanego i młodego życia pokój sobie i rodzinie przy budującej się cerkwi we Florencji, zamieszkał w stróżówce. U Kabatca stanął na skrzyżowaniu kultur – katolicyzmu i prawosławia, Zachodu i Wschodu. Przepuścił przez swą powieść echa młodopolskie, ale też rosyjskie słowianofilskie i narodnictwa.

Dla mnie czytanie powieści Eugeniusza Kabatca jest trudniejsze, niż czytanie na przykład naukowych prac historyków, kulturoznawców, czy socjologów. Wymaga dużo większego skupienia i uwagi, nawet powrotów do tych samych treści, czasem odczytania ich na nowo. Bo Eugeniusz Kabatc nigdy nie schodził do poziomu sensacyjnej popularnej literatury.

On był myślicielem, mądrym i dobrym człowiekiem. I takiego mi brakuje.

Przez ostatnich chyba dwadzieścia lat był wiernym czytelnikiem Przeglądu Prawosławnego i życzliwym jego komentatorem.

Dziś żałuję, że nie byłam na jego benefisie 11 stycznia tego roku w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu, kiedy obchodził swoje 90 urodziny – wtedy akurat przyznawaliśmy Nagrody Ostrogskiego. Żałuję, że za mało słów pochwały wyraziłam na temat jego twórczości przed nim samym. Że za rzadko się z nim spotykałam, choć drzwi na Smolnej miałam zawsze otwarte.

Odszedł pisarz zatroskany Wschodem, życzliwy wobec niego.

Wiecznaja pamiat' Panie Eugeniuszu.

Anna Radziukiewicz

Zmarł władyka Milutin

Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci biskupa Valjeva **Milutina**. Władykę miałem zaszczyt znać od wielu lat. Często gościłem w jego diecezji, również z grupami pielgrzymów z Polski. Władyka zawsze przyjmował nas serdecznie i z otwartością. Był człowiekiem wyjątkowym. Ascetą, teologiem, ojcem, przyjacielem. Zawsze umiał dobrze doradzić, miał też wyjątkowe poczucie humoru.

Gdy go wspominam, przechodzą mi przez głowę różne sytuacje – od wspólnej służby, jego skromnego, ascetycznego trybu życia, pogody ducha i radosnego usposobienia. I tego, że zawsze miał czas dla drugiego człowieka, chociaż pracował bardzo dużo.

Był człowiekiem pokornym, stonowanym, prawdziwym mnichem, chociaż nie brakowało mu wiedzy i obycia w wielkim świecie. Smutno, chociaż wiem, że odszedł tam, dokąd zmierzał przez całe swe ziemskie życie.

Władyka Milutin urodził się w 1949 roku nieopodal miasta Valjevo, którego później został biskupem. Mieszkańcy tego regionu Serbii słusznie uchodzą za naród pobożny i szczególnie oddany Cerkwi. Stąd pochodził święty Mikołaj Serbski, tutaj żył i nauczał święty Justyn (Popović).

Valjevski region jest usiany monasterami, wiele z nich zostało założonych w czasach świetności serbskiego państwa, czyli w XII-XIV wiekach. Do jednego z takich średniowiecznych monasterów, noszącego nazwę Kaona, wstąpił czternastoletni wówczas Mihailo, późniejszy biskup Milutin. Jego życiowa droga prowadziła z Kaony przez słynny ze srogiej reguły



monaster Pustinia (również w pobliżu Valjeva), sławny monaster Ostrog w dzisiejszej Czarnogórze, studia i służbę w dalekiej Ameryce, a następnie wybór na biskupa Australii i Nowej Zelandii.

Z piątego kontynentu władyka Milutin powrócił w rodzinne strony i w 2006 roku objął diecezję valjevską. Tu służył do śmierci, która przyszła niespodziewanie 30 marca. Władyka zasnął w Panu po krótkiej chorobie, wywołanej koronawirusem.

Parafia na Bacieczkach wiele zawdzięcza władyce Milutinowi. W 2015 roku władyka był naszym gościem i w dniu święta Vidovdan, 28 czerwca, dokonał poświęcenia cerkwi św. Mikołaja Serbskiego. Wtedy też przekazał nam wielki dar, cząsteczkę relikwii św. Mikołaja, patrona świątyni. Pomódlmy się za Jego duszę.

Wiecznaja Pamiat' Władyko!

o. Michał Czykwin

fot. **archiwum autora**



Da se nikad ne zaboravi!

21 lat temu, 24 marca 1999 roku, NATO rozpoczęło bombardowanie Serbii. Na narodzie serbskim dokonano zbrodni pod kryptonimem operacyjnym „Miłosierny Anioł”.

Serbia podobno miała zostać ukarana za nadmierne użycie siły wobec części swoich obywateli, albańskich rebeliantów (czytaj: separatystów), z południowej serbskiej prowincji Kosowo i Metochia, o których w dyplomatycznym języku państw, określających się jako „wspólnota międzynarodowa” (również w Polsce) mówiono eufemistycznie – bojownicy o wolność, czy też partyzanci.

Od połowy lat dziewięćdziesiątych serbskie siły bezpieczeństwa musiały bronić konstytucyjnego porządku kraju przed rebelią części albańskiej mniejszości narodowej, na czele której stała organizacja zbrojna, nazywająca się Wyzwoleńczą Armią Kosowa (skrót w języku albańskim UCK).

UCK powstała w 1994 roku. Źródłem jej finansowania był głównie handel narkotykami. Jej podstawowym celem była secesja i utworzenie z południowej serbskiej prowincji niezależnego albańskiego państwa Kosowa, a celem ostatecznym realizacja dziewiętnastowiecznego planu utworzenia Wielkiej Albanii (połączenie Albanii z obszarami zamieszkałymi przez Albańczyków w innych krajach bałkańskich – Serbia, Macedonia, Czarnogóra, Grecja).

Organizacja ta do ataków terrorystycznych po raz pierwszy przyznała się w 1996 roku, kiedy to jej członkowie przeprowadzili zamachy bombowe na obozy dla serbskich uchodźców z Chorwacji, znajdujące się na terenie Kosowa i Metochii (w czasie największych czystek etnicznych w 1995 roku ponad dwieście tysięcy Serbów zostało wygnanych przez „demokratyczne” władze Chorwacji, za co na ten kraj nie spadło nawet „b” od bomby).

UCK przyznała się do zabicia w 1997 roku około 50 osób, a w roku 1998 trwała już regularna wojna między serbskimi siłami bezpieczeństwa i oddziałami UCK. W lipcu, przed ofensywą serbskiej policji, UCK kontrolowało jedną trzecią terytorium Kosowa i Metochii. Walki zostały przerwane po rozbiciu sił albańskich oraz w obliczy gróźb rozpoczęcia bombardowań NATO.

W 1998 roku albańscy separatyści dokonali 1884 akcji terrorystycznych, w których zginęło 115 policjantów i 173 cywilów, a porwano 292 osoby (31 zabito, nieznany jest los 142, uciekło 9 osób, a 110 wypuszczono na wolność).

W okresie od 1 stycznia 1999 do 7 marca 1999, a więc na dwa tygodnie przed rozpoczęciem bombardowań, przeprowadzono 421 akcji terrorystycznych, w których zginęło 11 policjantów i 77 cywilów, porwano 34 osoby (5 zabito, nieznany jest los 9, 5 uciekło, a 15 wypuszczono).

Reasumując, w przeciągu mniej niż dwu i pół roku w Serbii uzbrojeni Albańczycy z UCK zamordowali 462 osoby, a po 151 zaginął ślad.

Czy jest jakiekolwiek państwo na świecie, które pozwoliłoby na podobną rebelię na własnym terytorium i nie zrobiłoby wszystkiego w celu stłumienia jej i zniszczenia paramilitarnych jednostek, porywających i zabijających z zimną krwią cywilów?

Warto w tym miejscu przypomnieć, że UCK w połowie lat dziewięćdziesiątych widniała na liście zagranicznych organizacji terrorystycznych, sporządzanej przez Departament Stanu USA, tak też określił ją specjalny wysłannik **Billa Clintona** ds. Bałkanów, **Robert Gelbard** (23 lutego 1998). Pomimo tego UCK została usunięta z listy organizacji terrorystycznych, o czym informował Wall Street Journal Europe z 11 stycznia 2001 roku.

Pierwsze bomby spadły na Serbię 24 marca 1999 roku o godzinie 19.45. Naloty trwały codziennie przez jedenaście tygodni, dokładnie 78 dni. NATO rozpoczęło bombardowania, używając początkowo 650 samolotów, ale pod koniec akcji w „obrocie” było już około 1600 maszyn (dwie trzecie to samoloty bojowe). Wykonano dziesiątki tysięcy nalotów i zrzucono kilkadziesiąt tysięcy ton bomb.

Podczas bombardowań używano amunicji ze zubożonym uranem (zatruwających na wiele, wiele lat glebę i wodę, czego wynikiem jest wzrost chorób nowotworowych), bomb kasetowych (rozpryskujących się na małe ładunki, których duży procent nie wybucha i jest szczególnym zagrożeniem dla dzieci przez wiele lat) oraz bomb grafitowych (niszczących system energetyczny, w wyniku czego cierpią przede wszystkim cywile).

W bombardowaniach NATO zginęło około dwóch tysięcy cywilów – obywateli ówczesnej Jugosławii (w tym 90 dzieci) oraz ponad tysiąc żołnierzy i policjantów. Najwięcej cywilów zginęło w atakach na wieś Koriša (87), kolumnę samochodów (75), pociąg przejeżdżający przez most w wąwozie Grdelica (55), miasteczko Surdulica (25), miasteczko Aleksinac (17), budynek Telewizji Serbskiej w Belgradzie (16), Niš – drugie po wielkości miasto w Serbii – (15). Zraniono lub odniosło obrażenia około sześciu tysięcy osób. Bezpośrednie szkody materialne sięgają 30 miliardów dolarów.



W wywiadzie dla Radio Belgrad 2 prof. **Noam Chomsky** w październiku 2008 roku stwierdził, że w przypadku Kosowa i bombardowania Serbii jest niesłychanie trudno, a wręcz niemożliwe, ujawnienie nawet podstawowych faktów, nawet tych zawartych w dokumentacji Departamentu Stanu i NATO. Według niego stosunek wobec Serbii stał się częścią religijnej fundamentalistycznej doktryny o interwencji humanitarnej, a każda próba ujawnienia elementarnych dowodów skutków bombardowań napotyka na straszliwy opór. Profesor Chomsky za najważniejszy dowód uznaje wypowiedź jednego z najwyższych przedstawicieli administracji Billa Clintona, zastępcy Sekretarza Stanu **Strobe Talbota**, który w czasie bombardowań Serbii odpowiadał w Departamencie Stanu za sprawy wschodnioeuropejskie, a rok temu polecił książkę swojego współpracownika **Johna Morrisa** słowami: – Jeżeli chcecie się dowiedzieć, co tam się wydarzyło, powinniście przeczytać tę książkę.

A co John Morris w niej napisał? Bombardowanie Kosowa i Serbii nie było umotywowane żadnymi względami humanitarnymi, lecz nieprzeprowadzeniem przez Serbię reform.

Zakończenie bombardowań nastąpiło 10 czerwca 1999 roku o godzinie 13.15, zaś cierpienia Serbów jeszcze długo nie ustawały.

Od opuszczenia przez serbskie siły bezpieczeństwa Kosowa i Metochii, zgodnie z porozumieniem pokojowym i Rezolucją Rady Bezpieczeństwa ONZ nr 1244, w okresie od 10 czerwca 1999 do 17 marca 2004 ponad 250 000 osób musiało opuścić swoje domy, w obawie przed albańskim terrorem. W tym okresie Albańczycy zamordowali i porwali około 2500 osób, zburzyli i spalili ponad 80 000 domów oraz około 150 świątyń prawosławnych.

Według danych serbskiej organizacji pozarządowej „Fond za humanitarno pravo" tylko od czerwca do grudnia 1999 roku w Kosowie i Metochii ponad tysiąc Serbów zaginęło w niewyjaśnionych okolicznościach.

Od 17 do 19 marca 2004 roku, w Pogromie Marcowym, w ciągu trzech tylko dni, Albańczycy wzniecili zamieszki (w których wzięło udział 50 tysięcy ich rodaków), zabijając ośmiu Serbów, wyganiając z domów 4012, zrównując z ziemią siedem serbskich wsi, paląc 561 serbskich domów, niszcząc 35 świątynie prawosławne.

Ówczesny rzecznik prasowy policji UNMIK **Derek Chapel** powiedział wtedy: – Oczywiste jest, że ta fala przemocy była zaplanowana. Generał **Lewis MacKenzie** napisał w artykule dla kanadyjskiego „National Post" w 2004 roku: „Uczestniczyliśmy i pośrednio popieraliśmy ich kampanię przemocy dla czystego etnicznie i niezależnego Kosowa".

Według oficjalnych danych serbskiego rządowego Centrum Koordynacyjnego ds. Kosowa i Metochii, od czerwca 1999 do kwietnia 2004 roku przed terrorem Albańczyków uciekło z prowincji do innych częściach Serbii oraz do Czarnogóry 287 000 osób (w tym około 230 000 Serbów).

Liczba osób, które przed terrorem Albańczyków opuściły swoje domy i znalazły schronienie w pozostałych jeszcze serbskich enklawach (czytaj: gettach) w Kosowie i Metochii wynosi 20 000.

17 lutego 2008 roku Albańczycy w Kosowie i Metochii ogłosili niepodległość. Albańscy separatyści, mający poparcie USA oraz dwudziestu dwóch państw Unii Europejskiej (secesji serbskiej prowincji nie uznały Grecja, Hiszpania, Cypr, Rumunia i Słowacja) i pod osłoną kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy NATO i międzynarodowych policjantów utworzyli na terenie Serbii kolejne albańskie państwo (obok Albanii). Najwyższe władze Serbii deklarują, że nigdy nie uznają nielegalnej secesji Kosowa i Metochii i nadal prowadzić będą walkę o integralność terytorialną wszelkimi środkami politycznymi i dyplomatycznymi. W tym celu Serbia zgłosiła do Zgromadzenia Ogólnego ONZ projekt rezolucji z prośbą o wysłanie do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości zapytania o legalność ogłoszenia niepodległości przez tymczasowe władze Kosowa i Metochii.

Na posiedzeniu Zgromadzenia Ogólnego ONZ 8 października 2008 roku za wysłaniem zapytania głosowało 77 krajów, 74 wstrzymało się od głosu (w tym kraje UE), a przeciwko były USA, Albania, Wyspy Marshalla, Mikronezja, Palau i Nauru. Wydanie opinii w tej sprawie zajmie Trybunałowi do dwóch lat. Do dziś tzw. niepodległe Kosowo uznało 55 krajów (do ONZ należą 192 państwa).

Serbów od dziesięciu laty nurtuje pytanie – jak to możliwe, że najbardziej rozwinięte kraje europejskie oraz USA wybrały na sojuszników albańskich terrorystów, organizację terrorystyczną (UCK) oraz albańskich polityków, byłych dowódców UCK, mających krew na rękach: **Agim Cheku** – były premier, **Ramush Haradinaj** – były premier, **Hashim**

Thaci – obecny premier, którzy nadal w Kosowie i Metochii stoją na czele klanów rodowych, zajmujących się najokropniejszymi rodzajami przestępczości zorganizowanej, takimi jak handel ludźmi czy organami wewnętrznymi porwanych osób.

Jedną z możliwych odpowiedzi znajdujemy w książce „Eksperyment Kosowo" austriackiego dziennikarza i publicysty **Hannesa Hofbauera**, który uważa, że bombardowania Jugosławii bez mandatu ONZ rozpoczęły proces łamania prawa międzynarodowego i zastępowania go prawami człowieka, które jednak w odróżnieniu od całkowicie przejrzystego prawa międzynarodowego można tłumaczyć wedle potrzeb i uznania. W łamaniu prawa międzynarodowego Hofbauer widzi powrót do kolonializmu: „Celem sił imperialnych (NATO i EU) jest utworzenie na Bałkanach, na obszarze zamieszkałym przez Słowian, niesłowiańskich ośrodków i dzięki nimi przejęcie kontroli nad tamtejszymi bogactwami naturalnymi".

Teoria ta zdaje się znajdować potwierdzenie w opiniach ekspertów. Gazeta.pl w dniu ogłoszenia nielegalnej niepodległości Kosowa i Metochii informowała, że znajdują się tam piąte pod względem wielkości na świecie pokłady węgla brunatnego, który zalega płytko i jest tani w wydobyciu, a na stronie Stosunkimiedzynarodowe.pl można przeczytać, że tamtejsze bogactwa naturalne – złoża węgla, złota, niklu, ropy – nie były wykorzystane z powodu ciągłych konfliktów, braku środków i nieumiejętnej administracji, a odbudowa Kosowa będzie finansowana między innymi z pieniędzy amerykańskich i brytyjskich firm, które zajmą się także wykorzystaniem wspomnianych surowców naturalnych.

Bardzo smutna wiadomość (rzeczywistość) dla wszystkich ludzi i krajów bezgranicznie oddanych i ślepo wierzących w tzw. zachodnią demokrację, ucieleśnioną w USA i państwach Unii Europejskiej.

Vladan Stamenković
fot. **archiwum autora**



W intencji ustania epidemii





21 marca na Świętej Górze Grabarce z inicjatywy Bractwa Cerkiewnego Trzech Świętych Hierarchów został postawiony krzyż w intencji wybawienia kraju od epidemii koronawirusa. Poświęcenia dokonał ojciec archimandryta **Ignacy**, kapelan monasteru świętych Marty i Marii. Nawiązując do ewangelicznego czytania drugiej niedzieli Wielkiego Postu powiedział o znaczeniu modlitwy w intencji innych ludzi (uzdrowienie przez Chrystusa sparaliżowanego w Kafarnaum). Podkreślił wagę krzyża dla naszej osobistej wiary oraz Świętej Góry dla prawosławia w Polsce.

– Głęboko wierzymy, że znak krzyża i modlitwa są w stanie uczynić bardzo wiele i dokonywać cudów. Święta Góra Grabarka została wybrana przez nas nieprzypadkowo. To góra tysięcy krzyży, stawianych na niej od setek lat w różnych intencjach. To miejsce szczególne, uświęcone łaską Bożą i modlitwą niezliczonych rzesz pielgrzymów. Ponad trzysta lat temu nasi przodkowie w obliczu epidemii cholery przynieśli na to miejsce swoje krzyże, modlitwę i zostali ocaleni. My również wierzymy, że postawiony przez Bractwo krzyż przyczyni się do ustania epidemii oraz do umocnienia naszych sił cielesnych, a przede wszystkim duchowych w tym trudnym dla nas czasie. Przyczyni się jednocześnie do wzmocnienia tych, którzy swą pracą i trudem zmagają się z epidemią koronawirusa w naszym kraju.

Sławomir Nazaruk

Zadano nam w końcu Wielki Post

Europa bez granic i bez paszportów? A tu zamknięcie granic i kontrola jest jednym ze skuteczniejszych środków, aby ustrzec kraj przed pandemią. 11-milionowe Wuhan na ustach świata. Czy to nie dziwne, że mieści się tam ogromny ośrodek wirusologii, którym „dowodzą" amerykańscy naukowcy?

Kontestowanie dziesięciorga Bożych przykazań. Dzień święty święcić? Ale trzeba zrobić zakupy na święta. Może poszukać cudzych bogów, bardziej skutecznych, efektownych, z kadzidełkiem i nowymi proroctwami, z reinkarnacją, z mądrym Buddą i starszym od chrześcijaństwa Brahmą…?

Nie mów fałszywego świadectwa? A „podrasować" historię w imię „polityki historycznej i naszej sprawy". Żeby nasze było na wierzchu. I poopluwać się wzajemnie (ale „to tylko" w kampanii wyborczej). Potem się to „wyprostuje". Coś przycichli najwięksi oszczercy w TV. Strach obleciał?

Nie zabijaj! Nie cudzołóż! Nie kradnij! Czcij ojca i matkę… Ale… Ale! Na wszystko jest „ale" (i nie chodzi o angielskie piwo) i dużo „bo" – a jeszcze więcej wyjątków – za dużo kosztuje opieka terminalna, a może dziecko będzie z zespołem Downa. A przecież wszyscy kradną!

Ciężko tego Dekalogu byłoby przestrzegać. A tu pod grozą śmierci, w majestacie bożka o imieniu Strach, wspieranego przez „anioła Strachu: Zdrowie najważniejsze", przestrzegamy wręcz literalnie i kategorycznie ludzkich nakazów i zakazów. Można? Można!

Jaka jest więc idea świata?

Naszej cywilizacji życia, śródziemnomorskiego (judeochrześcijańskiego) kręgu kulturowego, europejskiego kodu kulturowego?

Długo żyć. Zdrowo żyć. Dużo mieć! Wiecznie na tej ziemi! Niech się modlą za nas elektroniczne sygnaturki i elektryczne świeczki, uruchamiane tylko pieniędzmi, niech dzwonią wirtualne dzwony i internetowe piosenki. Kamienie wołać będą? Kamień za drogi w obróbce? Plastik go zastąpi: może to wirtualny Jezus na plastikowym krzyżyku zawiśnie na niby, a internetowy przekaz zasyci duszę Jego Zmartwychwstaniem? Bo nasze usta czym innym zajęte. Wielkie ble ble. Bo już raczej nie chwałą Bożą i wyznawaniem sobie miłości i szczęścia. Po co szarpać za sznury, jak słynny filmowy kościelny z Królowego Mostu? Nawet nad prochami zmarłych „modlą się" grające cmentarne kartki świąteczne.

Władza panuje przez strach.

Zastraszonymi łatwiej się rządzi. Tłumem zalęknionych łatwiej się manipuluje. Teraz „łykaj" wszystkie informacje z TV i Internetu, potem bierz tabletki i szczepionki, a potem przyjmij znamię na ramię (666) – ostrzega biskup **Paweł** z Ławry Poczajowskiej.

Jaki będzie świat? Świat po koronawirusie nie będzie już taki sam jak przed. Najgorszą epidemią jest grzech, a jak mówią władyka **Hilarion** (**Ałfiejew**) i władyka Paweł: „Będzie jeszcze gorzej, jeśli się nie poprawimy". Zamknąć kościoły, cerkwie? A może karmić się w nich modlitwą i sakramentami? W X wieku szalały epidemie wirusowe w Konstantynopolu. Co pomogło? Modlitwa, Eucharystia, procesja, pielgrzymki. Zachód popadł wtedy w *saeculum obscurum*, ciemny wiek: bez Słowa Bożego, bez sakramentów, z chorobami i ze złudną nadzieją w możnych tego świata.

Co teraz ludzie zrobią? Pewnie poprawią się, nawrócą się gremialnie… Eeetam! Stwórcę chcielibyśmy poprawiać? Wszechmocnego? To już przewidziano: *Ten, kto popełnia nieprawość, niech jeszcze dopuści się nieprawości, kto jest podły, niech się jeszcze upodli* [stare tłumaczenie: *Kto krzywdzi, niech jeszcze krzywdę wyrządzi, i plugawy niech się jeszcze splugawi, a kto jest*] *sprawiedliwy niech jeszcze wypełni sprawiedliwość, a święty niechaj się jeszcze uświęci* (Ap 22,11). Wybieraj, bo czyż Bóg będzie odbierał nam wolną wolę, jak odbiera się zapałki niegrzecznymi dzieciom?

Bez leków ciało umiera (czasami), bez Boga dusza umiera (zawsze!).

Kiedyś to były epidemie. Po wojnach szwedzkich, na szlakach przemarszu wojsk – wszędzie choroby, głód i zgliszcza. Łęczna 1892-1894: wymarło 60 procent mieszczan, wraz z dr. Onanowem, który wielu jednak uratował. W związku z wcześniejszymi epidemiami – czarna ospa, cholera, księgosusz (od krów), czerwonka, tyfus, hiszpanka – pojawiała się nieufność do łaźni publicznych jako miejsc burd i rozpusty. Magistrat miasta Kazimierza domagał się od „komisji dobrego porządku" w latach osiemdziesiątych XVIII wieku zlikwidowania łaźni żydowskich. Najdłużej utrzymały się łaźnie na ziemiach wschodnich, zamieszkałych przez ludność ruską. Choroba, zwana „czarne dusi", powodowana przez „złego ducha o imieniu szibita", powstrzymywana była przez saponinę (od rośliny o nazwie botanicznej Saponaria) lub „kanaanickie midlo" (późniejsza nazwa mydła), w XIV wieku rozpowszechnione przez dworzan króla Władysława Jagiełły.

Trucizna, czyli „ciemiężyca" lub „czemier" (*Helleborus* lub *Veratrum album*) była pochodzenia roślinnego. Produkowano ją już w VII wieku dla odparcia lub odstraszenia wrogów, szczególnie w Czemiernikach na północy dzisiejszej Lubelszczyzny. W małych ilościach pomagała w „morowym likowaniu". Opis dżumy panującej w Lublinie i okolicach w 1625 roku mówi, że *miasto ogołocone zostało wtedy całkiem z ludności, a w okolicy żadna wieś nie ocalała, nie było jednego nietkniętego domu, żaden cech nie pozostał nienaruszony*. Panował głód, a pola stały ugorem. Z powodu zarazy w Lubelskiem w 1648 i 1660 roku, sejmik z 1652 roku przeniesiono z Lublina do Lewartowa. W 1693 w Łęcznej w przeciągu dziewięciu dni

wymarli wszyscy mieszkańcy, „oprócz jednego szczęśliwca". Archiwista **J. Rabinin** wynotował, że w Lublinie *ludzi ukrywających bolączki dżumne* karano śmiercią. Epidemie *choleryczne i dżumne* przeszły przez Lublin i okolice w roku 1710 i 1720.

Warto odnotować z raportu Naczelnika Powiatu Krasnystaw grasującą w Kaniem i Pawłowie epidemię cholery w 1855 roku: *W miesiącach lipcu i sierpniu 1855 roku w gminie Kanie w dobrach J.O. Księcia Woronieckiego panowała cholera, zmarłych więc na takową 65 osób obrządku łacińskiego dla nierozszerzenia epidemii nie wożono do właściwej parafii Pawłów na cmentarz w mieście Pawłowie znajdującym się, lecz chowano ich na cmentarzu grekounickim we wsi Kanie; po ustaniu dopiero cholery, wójt gminy uformował wykaz zmarłych, obejmujący wszelkie potrzebne wiadomości i takową od 28.08/09.09.1855. przesłał proboszczowi parafii rithus latini Pawłów ks. Malinkowskiemu z wezwaniem spisania akt cywilnych zejścia i z tym celem dołączył do każdego zmarłego lak na akt, jak i na pokładne po kopiejek srebrem 60,-, na razie proboszcz żadnej odpowiedzi nie udzielił, teraz zaś (19.06.1856 – przyp. GJP) dopiero wykaz zmarłych zwrócił, z oświadczeniem, że akt spisywać nie może, bo wedle prawa o zejściu osobiście nie przekonywał się.*

Kolejne epidemie, niemal pandemie: 1919 – tzw. hiszpanka, 1941 – epidemia podczas wojny ojczyźnianej i światowej (tyfus, czerwonka, wszawica i pochodne).

Chociażbym przechodził przez ciemną dolinę… (por. Ps 23,4) A wokół ciemnej doliny rozkwita Wiosna Życia – Wielki Post. Daj nam więc powstać z bezowocnych uczynków ciemności i w Tobie tylko uznać Pasterza, dziś i na wieki. Lecimy ku Tobie jak żurawie – na skrzydłach tęsknoty. Ich wiedzie instynkt życia i nadzieja na radosne gniazda… Daj nam instynkt życia wiecznego: byśmy bardziej bali się je utracić, niż to chwilowe tutaj.

Grzegorz Jacek Pelica

W czasach epidemii

W 1883 roku Niemiec Robert Koch odkrył bakterię przecinkowca cholery. Był to przełom w diagnozowaniu tej groźnej choroby i podejściu do jej leczenia. Zanim jednak do tego doszło, przez ponad pół wieku doprowadziła ona do śmierci milionów ludzi w Azji i Europie. Zmutowana bakteria cholery po raz pierwszy pojawiła się w 1816 roku w Bangladeszu, dlatego była nazywana cholerą azjatycką. Siedem lat później ujawniła się na terytorium Imperium Rosyjskiego. Na Podlasie przybyła po raz pierwszy w 1831 roku, w okresie wielkich ruchów wojsk, związanych z wojną polsko-rosyjską (powstaniem listopadowym).

EPIDEMIA W 1831 ROKU

Przed 10 stycznia 1831 roku na linii Goniądz-Drohiczyn rozlokowały się jednostki wojsk rosyjskich, liczące ponad 40 tysięcy żołnierzy. Duży garnizon stacjonował w Bielsku i okolicach, a przy ulicy Litewskiej istniał szpital (lazaret) wojskowy. I tu właśnie w końcu marca 1831 roku odkryto pierwsze ognisko choroby. Powołany wówczas do działania Bielski Powiatowy Komitet do Walki z Cholerą, wspomagający działania Bielskiego Sądu Powiatowego, zalecił niezwłocznie wyizolowanie ulicy Litewskiej. Jej mieszkańcom zakazano opuszczania domów. Wokół zabudowań ulicy rozstawiono warty w liczbie ponad stu żołnierzy. Wyjazdy z miasta nadzorowała policja, która sprawdzała, czy nie opuszczają go mieszkańcy ulicy Litewskiej. Komitet zalecił przeniesienie wojskowego lazaretu na Hołowiesk, gdzie znajdował się folwark skarbowy, zarządzany przez **Wincentego Hilchena**. Pod cmentarz choleryczny wyznaczono teren na Klementynowie, przy drodze do Widowa.

W skład Powiatowego Komitetu do Walki z Cholerą wchodzili burmistrz, naczelnik miasta, ratman magistratu, doktor powiatowy, naczelnik policji, horodniczy oraz marszałek szlachty. Działania Komitetu wspomagali mieszkańcy, pełniący obowiązki dozorców rewirowych. Na piętnastu ulicach (tyleż było i rewirów) znajdowało się wówczas 311 domów. Dozorcy mieli zwracać uwagę na czystość i porządek w obejściach oraz pilnować wypełniania przez mieszkańców zaleceń epidemiologicznych. Do ich ogłaszania zobowiązano proboszczów cerkwi i kościołów oraz żydowskich rabinów z całego powiatu.

Działania izolujące ulicę Litewską do pewnego czasu dawały pozytywny rezultat. Jeszcze 15 kwietnia 1831 roku powiatowy lekarz **Fryze** informował, że epidemia ogranicza się do tej ulicy. W ciągu dziesięciu dni zmarło tam 17 osób, w tym 14 żołnierzy, zaś osiem osób wyzdrowiało. Rozprzestrzenianie się epidemii było jednak tylko kwestią czasu i przypadku. Akurat w połowie kwietnia ze służby wojskowej w Bielsku powracał jeden z mieszkańców wsi Krzywa. Po drodze zatrzymał się na nocleg w karczmie w Ladzie. Do domu powrócił już bardzo słaby – okazało się, że jest zarażony cholerą, o czym 15 kwietnia donosił lekarz Fryze.

Od tego czasu epidemia zaczęła się rozprzestrzeniać w okolicznych wsiach. W dniach 21-22 kwietnia odnotowano pierwsze przypadki cholery w podmiejskim Augustowie i Widowie. W pierwszej wsi w ciągu dwóch dni zmarło dwanaście osób. Doktor Fryze raportował do Komitetu o konieczności „uczynienia karantyny", aby nikt z wsi nie mógł wyjeżdżać i wychodzić. W tym czasie pomocy

potrzebującym udzielał tu „wolno praktykujący” doktor **Nahumowicz**. We wsiach miejskich praktykował także felczer z wojskowego szpitala, czyniąc to jednak bez wiedzy Sądu Powiatowego, czym przyczynił się do rozprzestrzenienia epidemii. Okazało się, że po pobycie felczera w podmiejskim Parcewie zachorowały tam dwie osoby. Dramatyczna sytuacja panowała nadal w Augustowie, gdzie do 29 kwietnia zmarło kolejnych 21 osób. W tym miesiącu odnotowano także pierwsze przypadki cholery w Kleszczelach.

Na początku maja epidemia pojawiła się w Szerniach we włości orlańskiej, o czym donosił zarządca majątku Orla **Franciszek Kotkowski**. Prosił Komitet o pozostawienie na miejscu cyrulika (felczera) **Alkona**, który był jedynym takim specjalistą w Orli. Do doktora Fryzego tymczasem zaczęły z terenu docierać niepokojące informacje o niegrzebaniu zmarłych na cholerę, na co zwrócił uwagę policji. Przy wyjeździe do wsi zalecił policjantom nacierać się spirytusem kamforowym. Poprosił także o wyznaczenie miejsc targowych poza Bielskiem, aby ludzie ze wsi nie musieli do niego wjeżdżać.

Rozprzestrzenianie cholery zbiegło się z działania wojennymi w rejonie Puszczy Białowieskiej. Jedna z większych potyczek rozegrała się w maju 1831 roku w Hajnówce. Ciągnące z Bielska polskie wojska generała **Dezyderego Chłapowskiego** spotkały się tam z rosyjskim pułkiem ułanów generała **Lindena**. Rozbity pułk był zmuszony do ustąpienia w głąb puszczy. W pościg za powstańcami, przez Dubiny i Narewkę, ruszył generał **Gołowin**, co wymusiło prowadzenie wojny partyzanckiej. Regularne oddziały polskie powróciły tu w lipcu 1831 roku, kiedy wojska generała **Dembińskiego** spotkały się na moście w Narewce z generałem **Różyckim**.

W połowie czerwca 1831 roku ogniska cholery zaczęły się pojawiać na terenie amtu klejnickiego, jednostki administracyjnej, obejmującej kilkadziesiąt wsi skarbowych na zachodnich przedpolach Puszczy Białowieskiej i Ladzkiej. Pierwsze przypadki



cholery odnotowano tu 22 czerwca w Osówce, Koryciskach i Radźkach. W następnych dniach choroba pojawiła się w Łosince, Puciskach, Kojłach i Czyżach. Mieszkańcom amtu klejnickiego zakazano wyjazdów do miasta na targi, czego szczególnie nie chcieli przestrzegać ludzie z Nowego Kornina. Do miasta docierali, pomimo wart rozstawionych na gościńcach i



drogach. Niełatwe zadanie mieli w tym czasie przedstawiciele lokalnej administracji, wśród nich oberwójtowie. Ich obowiązkiem było objeżdżanie wsi w celu rejestrowania chorych i ozdrowiałych. Komitet donosił, że zdesperowani ludzie *takowego oberwójta wkoło obstępują, tak jakby koniecznie onego chcieli zarazić*.

Największe nasilenie epidemii cholery miało miejsce w lipcu, kiedy gospodarze wyszli do żniw. Mimo środków zaradczych choroba zaczęła się rozprzestrzeniać poza amt klejnicki. Od 13 lipca kolejne jej ogniska odnotowywano m.in. w Szczytach-Dzięciołowie (tu w ciągu siedmiu dni zmarło 12 osób), Pilikach, Dubiczach Murowanych, Kamieniu, Hryniewiczach Małych, Mochnatem, Malinnikach, Kleszczelach, Brańsku, Kuraszewie, Zubowie i Treszczotkach.

W tych trudnych chwilach dużą rolę odegrali duchowni, zarówno jako

Krzyże ofiarne fundowano także w intencji zakończenia wojny. Na fotografii z 1943 roku kobiety z Plosek niosą krzyż, wyświęcony potem na rozdrożach
Obchody pól w Kotłach odbywały się niegdyś w sobotę przed Wozniesienijem (Wsześciem), fotografia z 1955 roku

duszpasterze, jak też osoby posiadające pewną wiedzę medyczną. Z jednej strony musieli się podporządkowywać zarządzeniom władz cywilnych, z drugiej być ze swymi parafianami, pokrzepiać ich duchowo, udzielać sakramentów, odprawiać ceremonie pogrzebowe. Wiele światła na to rzucają zachowane dokumenty Powiatowego Komitetu Ochrony, przechowywane w Archiwum Państwowym w Białymstoku.

Asesor **Rogowski**, pełnomocnik Komitetu w amcie klejnickim, monitował, aby władze cywilne zwróciły uwagę proboszczom na ograniczenie praktyk religijnych w czasie trwania epidemii. Do informowania o tym parafii zobowiązano dziekana bielskiego o. **Adama Kostycewicza**. Na przełomie czerwca i lipca 1831 r. pisał on w tej sprawie do parocha z Łosinki o. **Benedykta Telakowskiego**, zalecając mu zawieszenie tradycyjnych procesji wokół wsi oraz „niewyjeżdżanie z cerkiewnymi sługami do wsiow". Ojciec Benedykt Telakowski starał się jednak przekonać dziekana co do ważności kontynuacji obrzędów, ponieważ parafianie „przez pobożność zwykli są chodzić często do Cerkwi i prosić Wszechmogącego o Dobro powszechne i przekrócenie panujących chorób, o przedłużenie wieka".

Niebawem o. Benedykt Telakowski napisał do samego Imperatora **Mikołaja I Pawłowicza** prośbę o anulowanie powyższych zakazów, gdyż, jak stwierdził, *прихожане без обходов могут попасть в страх и уныние*. Jak ważna i ofiarna była działalność łosińskiego duchownego w czasie epidemii, świadczą słowa późniejszego dokumentu: *On ieden dosięgnionych morową zarazą cholerą w ich domach z Krzyżem Świętym i Świętościami religii, osobiście nawiedzał, pocieszał, ośmielał, leczył nawet i dawał lekarstwa własnym kosztem, nie szczędząc własnego życia iako i swey rodziny, żony i licznych dzieci odzywając do parafian: „Wy wszyscy u mnie podług Świętey Religii, iako podobne iesteście dzieci moye"*.

Ojciec Benedykt Telakowski był synem o. **Symeona Telakowskiego**, proboszcza, założonej w 1778 roku parafii w Łosince. Ukończył Gimnazjum Białostockie oraz szkołę dla duchowieństwa w Żyrowicach. Po powrocie do powiatu bielskiego, od 1813 roku pracował jako zastępca inspektora szpitala wojskowego w Bielsku; posiadał więc wiedzę medyczną. W 1817 roku przyjął święcenia kapłańskie, zaś dziewięć lat później został proboszczem parafii w Łosince. W tym też roku komisja heraldyczna potwierdziła jego prawa szlacheckie.

Korespondencja o. Benedykta Telakowskiego wiele nam mówi o genezie obchodów pól, organizowanych do dziś w wielu prawosławnych podlaskich wsiach. W niektórych z nich, na rozdrożach, zachowały się jeszcze dziewiętnastowieczne, drewniane (czasem kamienne) krzyże „choleryczne". Według tradycji, taki krzyż mężczyźni powinni byli zrobić w ciągu jednego dnia, z jednego pnia drzwa. Kobiety zaś miały wytkać ręcznik o długości „stiny" (4 metry) i zawiesić go na krzyżu. Niesiono go potem procesyjnie i wkopywano na rozdrożu. Jak głosi tradycja, po ofiarowaniu krzyża epidemia ustępowała. Na terenie parafii Pasynki takie dziewiętnastowieczne krzyże zachowały się we wsi Ogrodniki, Saki oraz Zubowo. W Studziwodach podobne, wotywne krzyże ustawiono w dwóch miejscach – w centrum wsi oraz na skrzyżowaniu Mielnickiego Hostincia i drogi do Pilik. Potem zamieniły je nowe, ufundowane w XX wieku.

Epidemia cholery w okolicach Bielska trwała jeszcze przez cały sierpień 1831 roku. Straszne żniwo choroba zebrała w parafialnych Pasynkach, gdzie w ciągu czterech tygodni zmarło 28 osób. Wiele rodzin straciło gospodarzy, dzieci opłakiwały swych rodziców, rodzice dzieci. Ulżyć cierpieniom chorych i ograniczyć rozprzestrzenianie choroby starał się orlański cyrulik Alkon, który na zlecenie lekarza powiatowego Fryzego przez szesnaście dni praktykował w Pasynkach i przez osiemnaście w Bielsku. Inny cyrulik, **Szymsze Boruchowicz** z Bociek, przez dwadzieścia dni leczył w Czyżach, Kojłach, Dubiczach Osocznych i Łosince.

Niezwykle aktywny był także doktor medycyny Nahumowicz. 17 lipca, kiedy skończył pracę w bielskich lazaretach wojskowych, poprosił Komitet o skierowanie go w teren wiejski. Zasugerował, aby do pomocy przydzielono mu 2-3 cyrulików i wyznaczono w każdej z wsi po trzy stodoły, oddalone od zabudowań. W jednej ze stodół mieli być umieszczeni chorzy na cholerę, w drugiej podejrzewani o zakażenie, w trzeciej ozdrowieńcy. Do dzisiaj możemy zobaczyć w podlaskich wsiach stodoły bardzo oddalone od zabudowań. To także pamiątka po tamtych czasach epidemii.

Trudna sytuacja panowała w tym czasie w Narwi i okolicach. Asesor Rogowski pisał do Komitetu Ochronnego: *Doszło do moiey wiadomości, iż w mieście Narwi, we wsiach Tyniewicze, znayduje się cholera, co przekonywują gęste mogiły przy Cerkiewce Tyniewickiey*. Pytał także, czy Żydzi mogą zjeżdżać się do Narwi na nadchodzące święta *Jom Kipur*. Jak informował doktor Fryze, epidemia w tych okolicach trwała jeszcze 3 września. Ostatnie ogniska choroby w okolicach Bielska odnotowano we wrześniu w Ploskach, po czym zaczęła zanikać.

Straty ludnościowe mieszkańców Podlasia w wyniku epidemii cholery z 1831 roku były ogromne, o czym świadczą wybrane liczby. Na terenie parafii Czyże w tymże roku zmarło 294 osób, z czego blisko połowa na cholerę (to około 10 procent wszystkich parafian). W należących do Radziwiłłów dobrach zabłudowskich cholera zabrała prawie 300 istnień ludzkich. Największą liczbę zgonów odnotowano w Kamionce – 43, Ostrówkach – 43 i Gnieciukach – 35 osób (to około 20 procent ich populacji). Stosunek zmarłych do ogólnej liczby chorych wynosił w dobrach zabłudowskich 43 procent i nie odbiegał od średniego wskaźnika w całym państwie.

Ogólny bilans epidemii cholery z 1831 roku dla Imperium Rosyjskiego był tragiczny. Zachorowało w sumie blisko 467 tysięcy osób, z czego zmarło ponad 167 tysięcy. Bardziej

brzemienna w skutkach była tylko epidemia z 1848 roku, kiedy w państwie rosyjskim zachorowało 1 mln 700 tys. osób, z czego zmarło ponad 690 tysięcy. Wówczas jednak „morowe powietrze” Podlasie ominęło.

EPIDEMIA W 1855 ROKU

Brzemienna w skutkach dla Podlasia była natomiast pandemia cholery z 1855 roku, którą poprzedziła epidemia tyfusu. W tym czasie trwała wojna krymska, z czym były związane przemieszczenia wojsk na terenach, oddalonych od teatru walk. W końcu 1854 roku do Bielska skierowano Lejb Gwardii Pułk Izmajłowski, stacjonujący wcześniej w rejonie Oszmian. Dowodził nim generał książę **Urusow**. 9 listopada żołnierze dotarli do Sokółki, 11 listopada byli w Białymstoku, 13 listopada w Wojszkach, w następnym dniu już w Bielsku. Sztaby poszczególnych batalionów rozmieściły się w Bielsku, Klejnikach i Boćkach. W końcu listopada dowódcą pułku mianowano pułkownika **Aleksandra Iwanowicza Delingsgauzena**.

W końcu 1854 roku wśród żołnierzy i oficerów pułku, a potem ludności cywilnej Bielska i okolic, wybuchła epidemia tyfusu. Podczas organizowania pomocy medycznej dla chorych żołnierzy zaraził się sam pułkownik Delingsgauzen. Zmarł 15 stycznia 1855 roku i został pochowany na luterańskiej części bielskiego cmentarza (zachował się okazały nagrobek). 26 lutego 1855 roku dowódcą Pułku Izmajłowskiego mianowano pułkownika **Kuszelewa**. 16 lipca pułk otrzymał rozkaz przemieszczenia się do Mariampola w Królestwie Polskim. Z Bielska żołnierze wymaszerowali 21 lipca. Dwa dni pułk odpoczywał w Wojszkach, po czym udał się w kierunku Białegostoku.

W tym czasie w Bielsku i okolicach trwała już na dobre epidemia cholery. Księga metrykalna parafii prawosławnej św. Michała odnotowała jej pierwszą ofiarę – 6 lipca 1855 roku zmarł, przebywający wówczas w Bielsku, 24-letni **Roman Szatyłowicz** z Kleszczel, tydzień później odeszła jego żona **Maria**.



Największe śmiertelne żniwo w parafii św. Michała epidemia zebrała w mieszczańskiej wsi Widowo. Pierwszą ofiarą cholery była sześcioletnia dziewczynka **Marta Osipowna Babulewicz**, zmarła 16 lipca. Od 22 lipca we wsi w przeciągu tygodnia cholera zabiła 26 osób. Najtragiczniejszym okazał się dzień 27 lipca, kiedy odeszło dziesięć osób, wśród nich sześcioro dzieci do sześciu lat. Ostatnia zmarła w Widowie na cholerę dwuletnia **Katieryna Filimonowna Sereda**. 16 sierpnia 1855 roku księga metrykalna odnotowała ostatnią ofiarę cholery w parafii św. Michała – 26-letnią **Paraskę Ostaszewiczową** z Augustowa. Śmiertelność wśród dzieci i ludzi młodych sięgała więc 60 procent.

Podczas trwającej ponad miesiąc epidemii cholery w Widowie zmarło 37 osób (i to jedynie z części wsi, należącej do parafii św. Michała; druga część należała do parafii św. Mikołaja). Odzwierciedlają to także ogólne statystyki. W 1854 roku we wsi było 308 parafian cerkwi św. Michała, zaś dwa lata później – tylko 251. W nieodległych Spiczkach w sierpniu 1855 roku zmarło na cholerę 18 osób. Ogółem, w parafii *Michajłowskiej* w lipcu i sierpniu odnotowano z tego powodu 74 zgony, co stanowiło prawie połowę ogólnej ich liczby (w 1855 roku na terenie parafii zmarło 166 osób). We wrześniu epidemia ustąpiła, a w całej parafii odnotowano tylko dwa zgony z innych przyczyn. Podobnie było w miesiącach następnych.

Dostępne dane z innych parafii tylko potwierdzają, jak brzemienna w skutkach była epidemia cholery z 1855 roku. Na terenie parafii Czyże zmarło wówczas 378 osób, w tym ponad połowa z powodu cholery i szkarlatyny. Podobnie było w parafii Boćki, gdzie odeszło w sumie 145 osób. W parafii Czarna Cerkiewna zmarło 71 osób, z czego połowa na cholerę.

Przykładem o. Benedykta Telakowskiego z Łosinki, duchowni nie opuszczali w tych trudnych chwilach chorych i ich rodzin. W księdze metrykalnej parafii św. Michała w Bielsku znajdujemy adnotacje, że proboszcz parafii o. **Stefan Bielawski** (1787-1870) wszystkich chorych spowiadał i udzielał im sakramentu Eucharystii. Zmarłych zaś chował na cmentarzach parafialnych wraz z psalmistą **Dorofiejem Hołonkiewiczem**. Wiemy także, że podczas epidemii cholery z 1855 roku, swoją wiedzę medyczną wykorzystywał dla potrzebujących o. **Andrzej Kostycewicz**, proboszcz parafii św. Jana Chrzciciela w Pasynkach.

Podobnie jak w 1831 roku, również i teraz w wielu miejscowościach fundowano ofiarne krzyże, które wyświęcano podczas procesyjnych obchodów pól. Urodzony w 1935 roku mieszkaniec Widowa **Andrzej Białokozowicz** wspomina opowieść dziadków: *Коб остановіті помуор одін епіскоп людям посоветов: за одну добу мужчыны повінны поставіті штыры крэсты, а кобеты напрасті і наткаті полотна на ручнікі, коб*

Wyświęcenie nowego krzyża przy „Mielnickim Hostinciu" w Studziwodach, czerwiec 2009 roku. Pierwszy krzyż był tu wystawiony w czasie dziewiętnastowiecznej epidemii cholery

нэслі на іх крыжы. По совету так і зробілі. Взялі таксамо двое тэлят – близнюкув, взялі соху і тымі близнюками обышлі всёй сельскі поліеток. Помор остановівсе.

Tak brzemienne wydarzenia, jakimi były wielkie epidemie cholery na Podlasiu, sprzyjały także powstawaniu opowieści na poły legendarnych. Jedną z nich przytoczył wspomniany Andrzej Białokozowicz: „W tym czasie w pewnej chatce, każdego wieczoru, zapalała się świeczka. Zainteresowało to jednego z mieszkańców i postanowił zakraść się do niej. Tak też zrobił. Pewnego dnia zakradł się do owego domu, schował się w podpiecek i przeczekał tam do wieczora. Po zapadnięciu zmierzchu na stole zapaliła się świeczka, a do domu weszło dwanaścioro młodych ludzi. Zasiedli przy stole i zaczęli radzić, kogo by tej nocy uśmiercić. Po zakończonej naradzie zwrócili się do człowieka, który ukrywał się pod piecem, jakby od początku wiedzieli, że on tam siedzi. Karą za ciekawość było to, iż każdego poranka miał przejść całą wieś i każdego martwego pochować. Tak też robił. Przechodził wieś, zbierał ciała i wiózł chować. Zaś dwanaścioro braci każdego wieczoru pukało w okna mieszkańców i sprawdzali, co robią. Jeśli zastawali domowników w modlitwie, to dom pozostawiali w spokoju. Jeśli jednak rodzina spała, to nie dane jej było więcej się obudzić".

EPIDEMIA W 1892 ROKU

Wiek dziewiętnasty zamyka jedna z najdramatyczniejszych epidemii cholery – z roku 1892. Rozpoczęła się w maju na terenie Persji, skąd przedostała się na Kaukaz i rejony nadkaspijskie. W końcu czerwca zaczęła się rozprzestrzeniać w guberniach nadwołżańskich, zaś od lipca w centralnych i zachodnich, by w sierpniu dotrzeć na Litwę, Łotwę i ziemie polskie. W ciągu niespełna czterech miesięcy, na terenie Imperium Rosyjskiego zachorowało ponad 600 tysięcy ludzi, z czego połowa zmarła.

Wiedziano już w tym czasie, że rozprzestrzenianiu się choroby sprzyja brak dostępu do czystej wody i niehigieniczne warunku bytowo-sanitarne. Dlatego też władze guberni grodzieńskiej i bielski samorząd starały się ograniczyć zasięg epidemii. Na posiedzeniach z 8 i 17 lipca 1892 roku Bielska Powiatowa Komisja Sanitarna podjęła szereg postanowień, które szybko wprowadzono w życie.

Bielsk postanowiono podzielić na 17 rewirów sanitarnych, przydzielając do nich 23 sanitariuszy – wolontariuszy ze stanu mieszczańskiego. Ich zadaniem było egzekwowanie utrzymywania w czystości ulic, podwórzy, sklepów, zajazdów, miejsc targowych, pracowni rzemieślniczych i domów, gdzie kwaterowali żołnierze. Sanitariusze mieli także nadzorować porządek wokół publicznych studni oraz sporządzić spis studni prywatnych z dobrą, zdrową wodą. Ich właściciele nie mogli innym mieszkańcom zabraniać czerpania z nich wody.

Istotną kwestią było także wywożenie nieczystości. W tym celu Komisja Sanitarna wyznaczyła trzy miejsca poza miastem – nieopodal wiatraku przy ulicy Staroruskiej (Litewskiej), przy drodze do Pietrzykowa – na ziemi należącej do senatora **Gartkiewicza** oraz na gruntach Hołowieska, należących do pułkownika **Smulskiego**. Komisja zaleciła przy tym zwiększyć miejski tabor asenizacyjny. Zwróciła także uwagę na potrzebę likwidacji starej miejskiej rzeźni i wzniesienie nowej. Nakazała mieszczanom trzymać zwierzęta gospodarskie w chlewach, aby nie wałęsały się po ulicach. Zwrócono mieszkańcom powiatu uwagę na zwiększenie własnej odporności, poprzez dobre odżywianie się. Rozpoczęto przy tym kontrole jakości produktów spożywczych u handlujących, zniesiono miejską marżę na chleb i wołowinę oraz ograniczono wywóz mięsa poza powiat przez stacje kolejowe: Bielsk, Gregorowce, Kleszczele i Strablę.

Dużym problemem były warunki bytowe. W wielu domach drewniane podłogi nie miały przewiewów, leżały na ziemi, były przegniłe, a do wnętrz izb z podwórzy przesiąkały nieczystości. Komisja zaleciła wymianę podłóg, jak również rozbiórkę nieużytkowanych, drewnianych budynków, będących rozsadnikiem grzybów i bakterii. Komisja poprosiła też policję o niezwłoczne wykwaterowanie i skierowanie do miejsc pochodzenia ludzi bez zameldowania, którzy kątem mieszkali w różnych, bielskich domach. Niestosujących się do tych wszystkich zaleceń policja mogła pociągać do odpowiedzialności karnej.

Komisja zwróciła się do duchownych parafii prawosławnych i katolickich oraz rabinów o aktywny udział w jej pracach i informowanie parafian o zaleceniach sanitarnych. Poproszono proboszczów o zorganizowanie przy parafiach rad opiekuńczych (*popieczytielstw*), sprzyjających walce z epidemią.

Komisja Sanitarna postanowiła zabezpieczyć w kasie miejskiej odpowiednie środki na zakup środków dezynfekcyjnych. Zwróciła się także do władz gubernialnych o wyasygnowanie tysiąca rubli na zorganizowanie przy szpitalu powiatowym oddziału zakaźnego.

Tym razem epidemia cholery do powiatu bielskiego nie dotarła. Oddajmy w tym miejscu głos o. **Andrzejowi Jaruszewiczowi**, proboszczowi Uspieńskiej parafii prawosławnej w Czyżach, tak doświadczonej w czasie epidemii z 1855 roku. Na kartach kroniki parafialnej, pod rokiem 1892, duchowny odnotował: „Cholera, która nawiedziła ojczyznę, naszej parafii nie dotknęła. Jej zbliżanie się do nas wywołało jednak wzrost uczuć religijnych, szczególnie we wrześniu. Wówczas były odprawione liturgie i zorganizowane procesje wokół wsi (Czyże, Rakowicze, Podreczany) lub odsłużone same liturgie (Zbucz, Kojły, Osówka). I Bóg nas wybawił – epidemia tej choroby powiat bielski ominęła".

Widzimy więc, jak ważny był wysiłek modlitewny pokoleń naszych przodków. Liturgie, obchody pól, fundowanie krzyży przydrożnych – wszystko to było wyrazem ich pobożności oraz ufności w Boże miłosierdzie.

Doroteusz Fionik
fotografie **ze zbiorów autora**

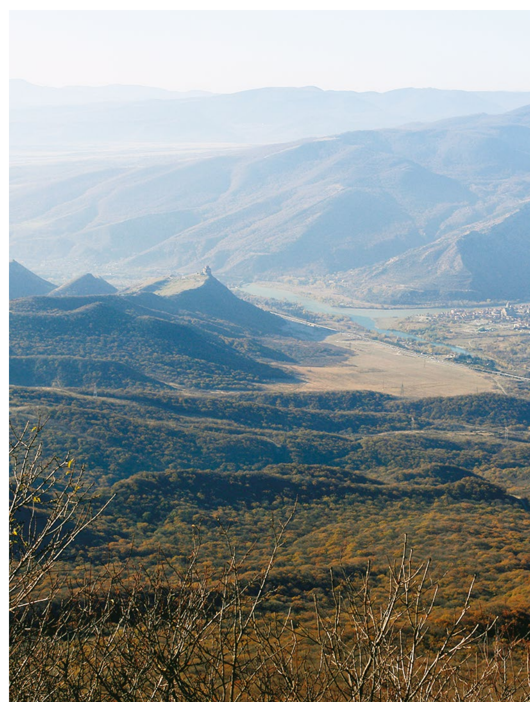
Monaster w diabelskim miejscu



Św. **Jan** urodził się jako Syryjczyk niedaleko Antiochii. I tam przeżył połowę swojego świętego i ascetycznego życia. Drugą zaś w Gruzji (zwanej wtedy Iwerią), sięgając tam szczytów świętości i odciskając na tym kraju niezatarte piętno prawosławnego monastycyzmu. Będąc jeszcze młodzieńcem, złożył śluby mnisze, zamieszkując w odosobnieniu i ascezie, doskonaląc się każdego dnia w poście i modlitwie. Stosunkowo szybko stał się tak dla współbraci, jak i okolicznych mieszkańców wzorem pokory i miłości, obdarzonym przez Boga darem czynienia cudów. Pociągnęły więc ku niemu tłumy. Wtedy, w towarzystwie kilku tylko uczniów, udał się na zupełne pustkowie. Oczywiście po pewnym czasie i tam go znaleźli. Zdecydował więc, by odejść gdzieś na tyle daleko, by nikt już nie był w stanie zakłócać ukochanej ascezy.

I wtedy dostąpił widzenia Przenajświętszej Bogarodzicy, która poleciła mu dobrać sobie towarzyszy i udać się do dalekiej Iwerii. Jan napisał więc imiona swoich współbraci na kartkach, położył je na *prestole*, poczym wszyscy przystąpili do całonocnej, błagalnej modlitwy. Rankiem w cerkwi ukazał się anioł i z całego pliku wybrał dwanaście karteczek: Dawid, Szio, Antoni, Stefan, Tata, Izydor, Michał, Zenon, Piros, Isse, Józef i Abibos. Z czasem wraz z ojcem Janem stali się oni twórcami gruzińskiego monastycyzmu, znanymi tam jako „13 Ojców Syryjskich".

Udali się więc do Mcchety, starożytnej stolicy Gruzji. U bram miasta witał ich król **Parsman**, w towarzystwie katolikosa **Ewlawiusza**, który w nocnym widzeniu został poinformowany o przybyciu świętych ojców. Po niedługim czasie Jan zaczął rozglądać się za miejscem, w którym mnisi mogliby zamieszkać, gdyż ludna i gwarna stolica nie nadawała się do tego. Gdy więc w cerkwi Dżwari, założonej jeszcze przez św. Nino, zobaczył dominującą nad okolicą górę, stwierdził, że tam będzie ich siedziba. Wybór wprawił całą Mcchetę w przerażenie, wszyscy wiedzieli bowiem, że od momentu zniszczenia za sprawą modlitw św. Nino pogańskiej świątyni głównego lokalnego bóstwa Armaza, biesy osiadły na tej właśnie górze – dawniej zajmowanej przez bóstwo Zadeni. Od tego czasu nikt nie mógł wrócić stamtąd żywy. Błagano więc Jana na wszystkie świętości, by zmienił zdanie. On jednak wiedział, co robi.



Wielokrotnie stojąc na platformie widokowej w Dżwari, może i w tym samym miejscu co i św. Jan, spoglądałem na górę Zadeni. Nie tylko ja, wszyscy spoglądają, gdyż jest po prostu piękna. Sam szczyt zaś wieńczy ogromny krzyż, który jak wszyscy tu wiedzą, stoi dokładnie tam, gdzie półtora tysiąca lat temu osiedli pierwsi gruzińscy mnisi. Dziś stoi tam pradawny monaster, zwany Zedazeni, co można przetłumaczyć jako szczyt góry Zadeni. I właśnie z takim przydomkiem – Jan Zedazeni – czcimy świętego, o którym piszę.

Ileż to razy stałem więc na tej platformie, podziwiając górę i marząc o tym, by móc wreszcie dostać się na jej szczyt. Stałem, marzyłem i stałem nadal, bo droga nie nadawała się do jazdy samochodem, a piesza wycieczka zajęłaby cały dzień i zawsze jakoś było nie po drodze, i zawsze brakowało czasu. Podobnie zresztą, jak zawsze jakoś go brakowało na spenetrowanie wszystkich okolicznych gór Mcchety, na których przed wiekami królowały pogańskie świątynie, a dziś królują monastery. Prawdę mówiąc, spokojnie można by spędzić w tej niewielkiej okolicy wiele dni, podążając od jednego ku drugiemu. I wielką mam nadzieję, że kiedyś to się stanie.

Św. Jan, podejmując decyzję osiedlenia się na Zadeni, doskonale wiedział, co czyni. Używając określeń współczesnych, było to swoiste „dwa w jednym". Bo i znalezienie spokojnego miejsca na monaster, i przede wszystkim udowodnienie mocy Bożej, która żadnego biesa się nie boi, co w tamtych czasach wcale jeszcze tak oczywiste nie było. Gdy więc bracia, odprowadzani przez wielki tłum, wyszli z Mcchety, doszli nad brzeg Aragwi. Jan podał swój *posoch* Szio i polecił uderzyć nim w wody rzeki. Szio pomodlił się gorąco i bracia przeszli na drugą stronę suchą stopą, gdyż wody rozdzieliły się na dwoje, jak kiedyś, za czasów biblijnych. Myślę, że w tym momencie mieszkańcy Mcchety





Monaster Zedazeni, widok z monasteru
Ikona wskrzeszenia Łazarza, mogiła św. Jana







zdali sobie sprawę, że przed Mocą, która kieruje świętymi ojcami, również biesy się nie ostaną. I stąd właśnie w tak diabelskim miejscu powstał święty monaster, który do dziś stanowi jedno z centrów gruzińskiego prawosławia.

Trzynaście stuleci później, gdy na naszych ziemiach kończyło się Powstanie Styczniowe, w małej wiosce zachodniej Gruzji na świat przyszedł chłopiec, któremu na chrzcie nadano imię **Eustacjusz**. Gdy miał piętnaście lat, udał się w poszukiwaniu pracy do Kutaisi, a potem do Tbilisi. Znalazł ją. Stosunkowo szybko udało mu się także założyć w ówczesnym Tyflisie coś na kształt teologicznego klubu dyskusyjnego, którego ideą było poznanie oraz przechowanie dla następnych pokoleń starodawnych gruzińskich pieśni cerkiewnych, a także zapoznanie z nimi jak największej liczby rodaków. To szlachetne dzieło uzyskało wsparcie wielu znanych osób, w tym samego **Ilii Czawczawadze**, zwanego już wtedy Wielkim. Przez dwadzieścia pięć następnych lat drukowano więc owe pieśni i bezpłatnie rozprowadzano po całej Gruzji, przyczyniając się tym samym, co już dziś nie podlega dyskusji, do przetrwania i uchronienia przed ostatecznym zapomnieniem starożytnych narodowych *napiewów*.

W roku 1912, mając 47 lat, Eustacjusz postanowił zostać mnichem i udał się do słynnego monasteru Gelati koło Kutaisi. Tutaj przeżył następne dwanaście lat jako Ekwtime, czyli Eutymiusz. Gdy komuniści zajęli Gruzję i rozpędzili mnichów, przeszedł do życia katakumbowego, ale pracy nie zaprzestał. Odnalazł wówczas ponad sto rękopisów, które zrekonstruował, opisał i poddał współczesnej nutowej transkrypcji.

Gdy w roku 1924 bolszewicy zamordowali metropolitę gelackiego, mnich Ekwtime zabrał swoje rękopisy i szczęśliwie dobrnął do Mcchety. Tutaj zakotwiczył w patriarszym soborze Swetichoweli, którego został proboszczem, a ponadto *duchownikiem* sióstr z sąsiedniego monasteru Samtawro, ku czci św. Nino pobudowanego. Pięć lat później postanowiono schować Ekwtime i jego bezcenne skarby w jakimś niedostępnym klasztorze. Wybór padł na Zedazeni.

Dla stuprocentowej pewności, będąc już na miejscu, włożył rękopisy w metalowe futerały i zakopał. Wydaje się, bo jak było na prawdę do dziś nie wiadomo, że po kilku latach znalazł się jednak szubrawiec, który o wszystkim doniósł władzom. Te, na szczęście zdając sobie sprawę, o jak wielkie narodowe skarby tutaj chodzi, zdołały przekonać mnicha do dobrowolnego pokazania miejsca ich ukrycia. I w ten oto sposób 5532 starożytne pieśni oraz kilka rękopisów trafiło do muzeum narodowego, gdzie Bogu dzięki spoczywają do dziś. Kilka zaś innych, wraz z własnoręcznymi opisami, Ekwtime

w tajemnicy przed władzami przekazał do monasteru Samtawro.

W ciągu kilku następnych lat z czterech zedazeńskich mnichów jednego zastrzelono, jednego aresztowano, a jeden umarł. Ojciec Ekwtime został sam. Gdy w czasie bardzo ciężkiej zimy 1944 roku kilka sióstr z Samtawro udało się do swojego duchownika, zastały go już na łożu śmierci. Pochowano go na zewnątrz monasterskiej cerkwi, tuż obok ściany ołtarza.

Muszę się przyznać, że przez wiele, wiele lat myliłem dwóch świętych Ekwtime, uważając ich za jedną postać. Stojąc więc teraz nad grobem świętego mnicha, kanonizowanego w roku 2003, uświadamiam to sobie w całej rozciągłości. Działo się tak dlatego, iż obaj, czyli mnich, o którym teraz piszę – św. Ekwtime (**Kereselidze**) oraz ten, o którym niedawno pisałem w felietonie (ukazał się w marcowym Przeglądzie), nie dość, że nosili takie samo imię, to jeszcze żyli niemalże w tym samym czasie i zasłynęli z niemalże identycznej działalności, która doprowadziła obu na ołtarze. Ten drugi św. Ekwtime za życia ziemskiego był postacią świecką i nosił nazwisko **Takaiszwili**. Wątpię by się znali, bo Ekwtime świecki zaraz po rewolucji bolszewickiej osiadł na Zachodzie, a gdy po drugiej wojnie światowej wrócił do kraju, Ekwtime mnich już nie żył. Ale mogli o sobie słyszeć, w końcu krąg osób zajmujący się takimi rzeczami siłą rzeczy jest niewielki.

Gdy więc tak stoję nad mogiłą świętego mnicha Ekwtime, nie potrafię uwolnić się od rozważań, jak różne jest pojmowanie świętości w różnych miejscach na świecie. No bo przecież nasi Ekwtimowie nie wyróżniali się jakąś nadzwyczajną pobożnością. Nie byli cudotwórcami, ani nic takiego. Można wręcz powiedzieć, że byli „normalnymi ludźmi". Skąd więc nimby nad ich głowami? Ano ze względu na wkład w rozwój, a przede wszystkim w ochronę skarbów kultury – pradawnych narodowych pieśni cerkiewnych w jednym przypadku, a bezcennych manuskryptów literatury narodowej w drugim. A przecież nie sposób też zapomnieć o św. Ilii Czawczawadze, znakomitym pisarzu i działaczu społeczno-politycznym, również kanonizowanym po swej tragicznej śmierci. I to właśnie te aspekty ich życia, zdecydowanie bardziej świeckie jednak niż duchowne, zdecydowały o ich aureolach. Czy w takim układzie, stosując gruzińsko-polską analogię, potraficie sobie Państwo wyobrazić np. św. Zygmunta Glogera lub św. Józefa Ignacego Kraszewskiego? Jeśli tak, to gratuluję, bo moja wyobraźnia nie jest niestety aż tak wybujała.

Trzynaście wieków wcześniej, niemalże w tym samym miejscu co św. Ekwtime, spoczął św. Jan Zedazeni. Zanim jednak to się stało, uczynił z diabelskiej góry święte miejsce Iwerii, do którego wnet udało się wielu mężczyzn, pragnących naśladować Syryjskich Ojców. Pobudowano więc cerkiew w niewielkiej jaskini, a sami mnisi zamieszkali w drewnianych, krytych liśćmi chatkach. Po pewnym czasie św. Janowi znów ukazała się Bogarodzica, polecając, by każdemu z dwunastu syryjskich mnichów dodał Gruzina i takimi parami rozesłał po kraju. Święte pary rozeszły się po całej dzisiejszej wschodniej Gruzji, kładąc podwaliny pod pierwsze kaukaskie monastery. Wszyscy ojcowie z czasem stali się biskupami, po śmierci wszyscy zostali kanonizowani i od wieków ich relikwie stanowią cel pielgrzymek najpierw z Kaukazu, a potem i z całego prawosławnego świata.

Natomiast sam ojciec Jan pozostał na górze tylko w towarzystwie diakona **Eliasza**. Wiedział, że wykonał już swoje zadanie, mógł więc wreszcie zacząć żyć tak jak zawsze chciał, czyli w całkowitej ascezie i odosobnieniu. Nie zapomniał jednak o ludziach i z oddali pomagał im w razie potrzeby, czyniąc nawet cuda. Najbardziej znany jest ten ze źródłem, które za sprawą modlitw świętego wytrysnęło na górze, by ulżyć Eliaszowi w codziennej, niezwykle męczącej wędrówce po wodę aż do leżącej na samym dole rzeki. Źródło owo, mające właściwości lecznicze, bije do dziś. Do początku zaś siedemnastego wieku okoliczni mieszkańcy mogli podziwiać jeszcze jeden cud, związany z mirrą cieknącą z jego świętych *moszczy*, którą zbierano do specjalnego baseniku. Działo się tak w każdą rocznicę śmierci św. Jana, aż do momentu najazdu perskiego szacha **Abbasa**, który zbezcześcił monaster.

Gdy wreszcie święty ojciec odszedł do Pana, postanowiono pochować go w nowym monasterze, zbudowanym na skłonie góry, co jawnie sprzeciwiało się jego woli, wyrażonej jeszcze za życia. Gdy przystąpiono więc do pochówku, ziemia zaczęła trząść się tak bardzo, że w okamgnieniu zaniesiono ciało na górę. I gdy tylko spoczęło w jaskini, trzęsienie ustało. Z czasem dobudowano do niej cerkiew (ku czci św. Jana Chrzciciela). *Moszczy* świętego znalazły się w jej wnętrzu, tuż obok ołtarza, gdzie spoczywają do dziś.

Gdy więc wreszcie po raz pierwszy staję przed monasterską bramą, usytuowaną w prawdziwie zamkowym murze, którym w przeszłości klasztor niejednokrotnie zresztą bywał, spodziewam się ze względu na rangę tego miejsca czegoś wielkości Atosu, Sołowek, Grabarki. A tu po przekroczeniu bramy okazuje się, iż ląduję powiedzmy w… Sakach. Ale już po chwili radość wielka, bo jest tak samo cudownie, jak i u naszych polskich braci!

Przede mną licząca sobie ponad tysiąc lat starożytna bazylika, za nią niewielki korpus monasterski. A gdy

zauważam mogiłę świętego mnicha Ekwtime, promień ciepła rozlewa się po sercu. Prawdziwa zaś jego fala dosięga tuż za progiem. Jest bowiem tak, jak chciałem by było, jak w takim miejscu być powinno. Półmrok niewielkiego wnętrza, kamienne ciosy ścian utkane z ascezy i prostoty, bardzo oszczędny, aczkolwiek piękny, ikonostas, majestat prastarych murów pozbawionych fresków, cisza, spokój, zapach kadzidła. A oczy jakoś tak same biegną na lewo od ikonostasu, gdzie tuż obok, pod ikoną oświetloną łampadką, zauważam mogiłę ojca Jana, na którą padają delikatne promienie mglistopurpurowego słońca. Czyż muszę dodawać coś jeszcze?

Jesteśmy sami, panuje absolutna cisza, którą przerywa jedynie cichusieńki szept modlitwy Jezusowej modlącego się mnicha. Pogrążamy się i my w modlitwie, tracąc poczucie czasu i rzeczywistości. Na szczęście nikt nas nie pogania (tak jak często z krwawiącym sercem zmuszony jestem czynić w stosunku do swoich pielgrzymów), możemy się więc w tym wszystkim zatracić. No ale kiedyś wreszcie wyjść trzeba i wtedy należy podejść do monasterskiego muru, ale tego po przeciwnej stronie od wejścia, by móc spojrzeć na to, co się za nim rozpościera.

Mój Boże…, wiele już w Gruzji widziałem, ale to co widzę teraz, po prostu zwala z nóg. Można było domyśleć się tej panoramy i tych przestrzeni, ale tego, iż ujrzymy tyle piękna, nie spodziewaliśmy się. Wcale nie dziwię się św. Janowi, że nie chciał stąd odchodzić, choć kto wie, czy w ogóle zwracał na to uwagę? Bo jeśli możesz osobiście oglądać Bogarodzicę… Tak czy inaczej chłonę rozpościerający się przede mną bezkonieczny pejzaż, z prastarą Mcchetą, majestatyczną Dżwari oraz ujściem Aragwi do Mtkwari w centrum. A wszędzie wokół góry, góry i góry, aż pod horyzont, aż pod granice wyobraźni, a wszystko w jakiejś takiej niebieskawej i zupełnie odrealnionej poświacie… Zedazeni – przedsionek raju?

Paweł Krysa, fot. **autor**

Zamordowane wsie

Stoją w nich pomniki, przed pamiątkowymi tablicami podczas rocznicowych uroczystości składane są kwiaty, zapalane znicze, ale w powszechnej świadomości osunęły się w niepamięć. II wojna światowa to dla większości ludzi działania zbrojne, rozgrywki polityczne, sporym zainteresowaniem cieszą się akcesoria militarne. A los zwykłych ludzi, takich którzy usiłowali jedynie przetrwać, ale wciągnięci zostali przez machinę zbrodni w jej tryby? Kto poza kręgiem rodziny i sąsiadów o nich pamięta? Kto ich wspomina nie jako zbiorowe ofiary, ale pojedynczych mężczyzn, kobiety, dzieci, których życie zostało nagle, w ich rozumieniu bez przyczyny, przerwane.

O pacyfikacjach wsi niewiele się w Polsce mówiło. Krótko po wojnie zebrano informacje o – najprawdopodobniej wszystkich, bo takie zbrodnie nie umykają świadomości otoczenia – spalonych wsiach i ich zabitych mieszkańcach. Powstały naukowe opracowania, tu wymienić trzeba przede wszystkim obejmujące całą Polskę książki **Czesława Madajczyka**, a w skali Białostocczyzny pracę **Michała Gnatowskiego**, **Waldemara Monkiewicza** i **Józefa Kowalczyka**. Pojawiały się lokalne publikacje, poświęcone jednej czy kilku miejscowościom. I tyle. Powtórzę, miejscowi pielęgnują wspomnienia, społeczeństwo jako całość odsunęło je od siebie.

Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego jest wydawcą niezwykłej książki, „Zamordowane wsie. Pacyfikacje w Bezirk Bialystok w latach 1941-1944". Niezwykłej w wielu wymiarach. Nie jest efektem czynionych przez historyków poszukiwań archiwalnych, ustalania nowych faktów, korygowania przeinaczeń. Przygotowali ją dziennikarze, w większości skupieni wokół „Przeglądu Prawosławnego". Żyjący świadkowie tamtych zdarzeń byli wówczas dziećmi, ale opowieści o tym co się wydarzyło przechowało następne pokolenie, przetrwały spisane relacje. Dziennikarze zatroszczyli się bardziej o przekaz emocji niż suchych faktów, przeżycia ludzi niż przebieg zdarzeń. I tak odbierają ją czytelnicy, jako przejmujące świadectwo, a nie poszerzenie wiedzy współczesnych.

Chociaż i o to poszerzenie autorzy się postarali. Zaczęli od objaśnienia tytułu. Cóż to takiego Bezirk Bialystok? To jednostka administracyjna, Okręg Białystok, utworzona przez niemieckich okupantów po zajęciu tego obszaru, w lipcu 1941 roku. W założeniu po utrwaleniu niemieckiego panowania miała wejść w skład Prus Wschodnich i w teorii za ich część uchodziła. Obejmowała województwo białostockie w granicach II Rzeczypospolitej, bez Suwalszczyzny i północnej części Ziemi Augustowskiej, już w 1939 roku zajętych przez Niemcy, drobnych skrawków Ziemi Łomżyńskiej, za to z fragmentami Polesia czy Ziemi Brzeskiej. Pamiętać przy tym trzeba, że województwo białostockie tworzyły wówczas również dwa powiaty wschodnie, grodzieński i wołkowyski, po zakończeniu działań wojennych odcięte granicą państwową. Dwa powiaty, ale w sumie jedna trzecia obszaru województwa, nigdy nie objęta badaniami przez polskich historyków.

O współpracę poprosiliśmy zatem historyków i dziennikarzy białoruskich. Oni też zauważyli to dziwne wypchnięcie pacyfikacji wsi ze zbiorowej pamięci. Tam również stoją pomniki, płoną znicze, ale ostatnie relacje zbierano w latach pięćdziesią-

Zdjęcia wykonane przez któregoś z Niemców podczas pacyfikacji Kniażewodców





tych. Opowieść o tym, co zdarzyło się na całym obszarze Bezirk Bialystok to też dodatkowy walor książki.

Był to teren wyraźnie zróżnicowany etnicznie. Wsie dzieliły się na polskie, białoruskie i mieszane wyznaniowo. Nie przekładało się to w ogóle na skalę pacyfikacji. Niemców to kryterium nie interesowało. Ludność żydowska, stanowiąca znaczący procent mieszkańców, na kartach tej książki się nie pojawia. Zamieszkiwała głównie miasteczka, ze wsi wypędzano ją w innym trybie.

Ruch partyzancki też był tu specyficzny. Tworzyły go oddziały Armii Krajowej, żołnierze Armii Czerwonej, którym udał się latem 1941 roku wyjść z okrążenia, ale już nie połączyć z własnym dowództwem, tak zwani *okrużeńcy*, nikomu w zasadzie nie podlegający, do których chętnie przyłączała się miejscowa ludność, głównie białoruska, i przenikający ze wschodu radzieccy partyzanci. Partyzantka ogólnie określana jako lewicowa, na przykład Gwardia Ludowa, w ogóle nie została tu zawiązana, historycy uważają, że z braku pewności co do powojennej przynależności tych ziem.

Te uwagi o partyzantce są ważne, gdyż to współpraca z nią była najczęściej podawanym przez Niemców powodem pacyfikacji wsi. Jedynie podawanym, gdyż w istocie chodziło o utrzymanie wśród ludności wiejskiej, zresztą wśród wszystkich mieszkańców terenów okupowanych, wysokiego poziomu strachu. Każde zabicie Niemca, każde działanie zaczepne, każde odbicie więźnia i temu podobna aktywność mogły liczyć na odwet. Czasami dotykał on mieszkańców najbliższej wsi, czasami największej w okolicy, czasem trafiał na wsie „partyzanckie", aktywnie wpierające podziemie, czasem na zupełnie z nim nie powiązane. Strach był z rozmysłem planowanym celem, przy całkowitym pomijaniu kwestii gospodarczych. Okupowane wsie były dostarczycielem tak zwanych kontyngentów, dostaw obowiązkowych, które w zdecydowanej większości przeznaczano na utrzymanie żołnierzy na froncie wschodnim. Pacyfikacje oznaczały spalenie zabudowań, kradzież była, trzody, ptactwa, ale też całkowite zniszczenie upraw i opuszczenie pól, które nie były już uprawiane.

Ten przydługi wstęp służyć ma objaśnieniu, co i dlaczego działo się na wsiach w Bezirk Bialystok. A pierwsze pacyfikacje rozpoczęły się już, gdy w czerwcu 1941 roku Wehrmacht ruszył na wschód i zaczął wcielać w życie „rozkaz o wykonywaniu jurysdykcji wojskowej w strefie Barbarossa". Jakiekolwiek podejrzenie wspierania przez miejscową ludność wycofujących się radzieckich żołnierzy miało spotykać się z natychmiastową, bezwzględną reakcją. Nikt za mordowanie ludności cywilnej nie odpowiadał, była ona uzasadniana „szczególną naturą wroga". Taki los spotkał na przykład Słochy Annopolskie na brzegu Bugu. Zaraz potem nastąpił ciąg dramatycznych wysiedleń z Puszczy Białowieskiej, wcześniej objaśniany wysokim prawdopodobieństwem rozlokowania się w niej oddziałów partyzanckich, teraz wiadomo, że wywołały je plany uczynienia z Puszczy specjalnego obszaru doświadczeń genetycznych.

W 1942 roku szerokim echem odbiło się spalenie i wymordowanie dużej części mieszkańców Rajska w powiecie bielskim – do wsi weszli partyzanci i zaatakowali niemiecki samochód, za co wszyscy zbiorowo odpowiedzieli. Nie został kamień na kamieniu, nawet drzewa owocowe wycięto, bruk wyrwano, studnie zasypano…

Prawdziwe piekło rozpętało się latem 1943 roku. To spalenie małej Popówki koło Gródka i rozstrzelanie wszystkich jej mieszkańców, dużych Puzowicz w Puszczy Grodzieńskiej, Szaulicz pod Wołkowyskiem, wsi Krasowo Częstki, Sikory Piotrowięta

i Wnory Wandy w powiecie wysokomazowieckim, zbudowanych na bagiennych wyniesieniach Grzęd koło Rajgrodu, położonych nad brzegiem Niemna Kniażewodców, Łaźni koło Supraśla, w następnym roku Ziniaków, obecnie na Białorusi, w których żywcem spalono ponad czterysta osób, Jabłoni Dobków w powiecie wysokomazowieckim, gdzie ten sam los spotkał blisko setkę mieszkańców. Nawet ostatniego dnia wojny, która dla wsi w obecnym powiecie łapskim skończyła się w lipcu 1944 roku, wymordowano ludność kilku wsi, w tym Roszek Wodziek.

Autorzy opowiedzieli o losach kilkunastu wiosek, na liście po raz pierwszy ustalonej dla potrzeb tej książki w całym Bezirk Bialystok znalazło się ich dwieście pięćdziesiąt.

Ciekawa jest geneza tej książki. Tak jak większość mieszkańców naszego kraju też osuwaliśmy się w niepamięć o cywilnych ofiarach wojny. Obudziła nas **Barbara Phieler**, pastor z zachodniej części Niemiec, prywatnie przyjaciółka matuszki **Ireny Godun** z Rajska. Tam po raz pierwszy usłyszała, że ludzie mogli ponosić zbiorową odpowiedzialność za nie swoje zbrodnie, że strach mógł być zaplanowanym sposobem utrzymywania podporządkowanej ludności w ryzach, że ludzkie życie nie miało żadnej wartości i że odpowiadają za to jej rodacy. Zaproponowała nam, co wymagało niezwykłej odwagi, przygotowanie tej książki.

Powstała książka, jak wspomniano, przejmująca, przywracająca pamięć, poszerzająca wiedzę, przede wszystkim rozbudzająca emocje. Opowiada o strasznych wydarzeniach, ale nie straszy, ukazując przy tym chrześcijańską perspektywę tamtych zbrodni.

Dorota Wysocka

Michał Bołtryk, Halina Matejczuk, Anna Radziukiewicz, Andrej Waszkiewicz, Aleksander Wierzbicki, Dorota Wysocka, *Zamordowane wsie. Pacyfikacje w Bezirk Bialystok 1941-1944*, red. Dorota Wysocka, Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, Białystok 2020, ss. 224.

Z Bożą pomocą

75 lat temu, w nocy z 8 na 9 maja 1945 roku, Niemcy podpisały akt bezwarunkowej kapitulacji. W Europie (Japonia skapitulowała 2 września 1945 roku) zakończyła się trwająca od 1 września 1939 roku największa w historii wojna światowa, w której zginęło ponad 60 milionów ludzi. O tej wojnie, jej skutkach dla Europy i całego świata powstało wiele naukowych opracowań, książek, filmów. Stosunkowo niewielka ich część dotyczyła prawosławnej Cerkwi i wiary uczestniczących w niej żołnierzy. Zachowując wdzięczną pamięć o milionach żołnierzy, którzy zginęli w tej wojnie, warto pamiętać także o zdarzeniach potwierdzających okazywaną im przez Siły Wyższe pomoc.

Dla chrześcijan, którzy wierzą, że bez woli Bożej nic się nie dzieje, wojna była czasem próby. W tej próbie liczyły się nie tylko liczebność i uzbrojenie walczących armii. Liczyły się, a często miały decydujące znaczenie, determinacja, wiara w zwycięstwo i w Bożą pomoc.

W polskiej historiografii mało jest informacji o wyznaniowym i narodowościowym zróżnicowaniu walczących na wszystkich frontach drugiej wojny żołnierzy. Wiadomo, że po wcieleniu do polskiego wojska Białorusini wraz z kolegami podzielili tragiczne losy broniących ojczyzny żołnierzy września. Szacuje się, że wśród 66 tysięcy poległych w kampanii wrześniowej blisko osiem tysięcy stanowili Białorusini. Pozytywne oceny Białorusinom jako „odznaczającym się dużą ofiarnością” wystawili między innymi generałowie **Juliusz Rómmel**, **Władysław Anders** i **Franciszek Kleeberg**. W broniących Helu oddziałach Białorusini stanowili ponad 10 procent. Wśród nich był białoruski pisarz **Janka Bryl**.

Jak wynika z ustaleń dr. hab. **Jerzego Grzybowskiego** z Uniwersytetu Warszawskiego, w polskich oddziałach, walczących na froncie zachodnim, prawosławnych było ponad trzy tysiące. Przeszło dwustu zginęło i zmarło we Włoszech, Francji, Belgii, Holandii, Anglii, na Bliskim Wschodzie i w Afryce Nie znamy dokładnej liczby prawosławnych mieszkańców Białostocczyzny, walczących w szeregach Ludowego Wojska Polskiego i wcielonych „za pierwszych Sowietów”, i w 1944 roku do Armii Czerwonej. O losach niektórych z nich, o podpułkowniku **Pawle Turonku**, który w szeregach Armii Kościuszkowskiej przeszedł cały szlak bojowy, o **Janie Radziukiewiczu**, tacie naszej redakcyjnej koleżanki, który czteroletnią służbę zakończył – już po kapitulacji Berlina – jadąc na japoński front, pisaliśmy w Przeglądzie. O **Stefanie Kowalewiczu** z Litwinowicz, który walczył pod Monte Cassino, piszemy na stronach 53-57. O losach innych, także o tych, którzy z tej strasznej wojny nie wrócili do swych domów, prosząc naszych czytelników o informacje, będziemy starali się pisać w przyszłości. Ich wszystkich jesteśmy zobowiązani zachowywać w naszej modlitewnej pamięci, gdyż to dzięki ich ofierze wobec naszych narodów nie zostały zrealizowane przygotowane przez „rasę panów” plany.

22 czerwca 1941 roku, w dniu, gdy Cerkiew wspomina Wszystkich Świętych, którzy w Ziemi Ruskiej Zajaśnieli, potężne armie hitlerowskie wraz z sojusznikami uderzyły na Związek Radziecki. Rozpoczęła się wojna, od wyniku której zależały nie tylko





losy bolszewickiej partii i państwa radzieckiego, ale także losy wielu, w tym także polskiego, narodów.

Choć wiedza o tym, co stałoby się z narodami słowiańskimi, gdyby Niemcy, pokonując – co prawie im się udało – Armię Czerwoną doszli do Uralu jest dostępna, to w obecnie realizowanej polityce historycznej o prawdzie tej się nie wspomina. Warto więc przypomnieć, że w 1941 roku w Głównym Urzędzie Rzeszy, pod kierownictwem **Heinricha Himmlera** opracowano i przyjęto do realizacji Generalny Plan Wschodni (*Generalplan Ost*). Plan przewidywał wyniszczenie i/lub przesiedlenie z terytoriów położonych na wschód od granicy III Rzeszy ludności słowiańskiej. Polaków, którzy zgodnie z nazistowską polityką rasową zaliczono do „niższej rasy słowiańskiej – podludzi" miało pozostać około 3-4,8 milionów w charakterze „niewolniczej siły roboczej". Plan, po zakończeniu całkowitej eksterminacji Żydów, przewidywał także zniszczenie 50 procent Czechów i Morawian, 65 proc. Ukraińców, 75 proc. Białorusinów. W stosunku do Rosjan, dla których – jak pisał Himmler – „znaczenie ma tylko ich masa i ta masa musi po prostu zostać rozdeptana, wyrżnięta, zaszlachtowana", zalecano „całkowite biologiczne unicestwienie metodą wstrzymania przyrostu naturalnego".

Wśród ludzi wierzących istniało przekonanie, że straszna wojna – w pierwszych miesiącach Armia Czerwona ponosiła ogromne straty – to kara za odstępstwo narodu od wiary w Boga, za profanację świątyń, za prześladowania Jego Cerkwi.

Rzeczywiście. Prześladowania, jakim w bolszewickiej Rosji poddano wyznawców Chrystusa, można przyrównać jedynie do tych z pierwszych wieków chrześcijaństwa w Cesarstwie Rzymskim. Trwały one z różnorakim natężeniem i w różnych formach od zdobycia przez bolszewików władzy w 1917 roku do gorbaczowowskiej *pierestrojki* lat osiemdziesiątych XX wieku.

Po zdobyciu władzy bolszewicy byli przekonani, że stosunkowo szybko zniszczą Cerkiew i wykorzenią z duszy rosyjskiego ludu jego wiarę. Z rozkazów **Lenina**, **Dzierżyńskiego**, **Trockiego** i ich współtowarzyszy w państwie „robotników i chłopów" wszystkimi dostępnymi środkami propagowano bezwzględny ateizm. Utworzono Związek Wojujących Bezbożników, do którego w latach trzydziestych należało około trzech milionów obywateli. Rosję zalały wydawane w milionowych nakładach, wyszydzające duchownych i uczucia wierzących, przekonujące o potrzebie zniszczenia tysięcy cerkwi czasopisma, książki i plakaty. Osłabieniu Cerkwi miały posłużyć, wspierane przez władze, wewnątrzcerkiewne *raskoły* – podobny mechanizm walki z prawosławiem zastosowano już w 1596 roku, dzieląc wyznawców *wiary greckiej* (prawosławnych) w I Rzeczypospolitej aktem unii brzeskiej. Obecnie jest on stosowany na Ukrainie, gdzie władze wspierają *raskolnicze* struktury.

Gdy, w ocenie bolszewików, zastosowane środki nie przynosiły oczekiwanych rezultatów, wobec hierarchów, duchowieństwa i aktywnych w życiu Cerkwi ludzi świeckich zastosowano bezpośredni terror. Do najokrutniejszych represji doszło w latach 30., gdy w ramach tzw. *pietiletki biezbożia* realizowano plan ostatecznej likwidacji Cerkwi.

Jeden z najbardziej znanych prawosławnych teologów XX wieku, o.

Aleksander Schmemann, zauważył, że na prześladowania przez państwo – tak było w czasach herezji Ariusza czy herezji ikonoklazmu – prawosławna Cerkiew mogła dać i dawała tylko jedną odpowiedź. Było nią męczeństwo. O ile jednak w pierwszych wiekach gotowość przyjęcia męki i śmierci za Chrystusa była dominującą postawą zdecydowanej większości chrześcijan, to z upływem czasu – tak powszechnie sądzono na początku XX wieku – postawy takie stały się czymś wyjątkowym. Historia ruskiej Cerkwi w XX wieku ukazała, że było to błędne przekonanie.

Według oficjalnych danych, przedstawionych przez **Aleksandra Jakowlewa** – przewodniczącego komisji badającej przestępstwa popełnione w czasach radzieckich i rehabilitacji osób niewinnie represjonowanych – w okresie od 1917 do 1938 roku zamordowano ponad 50 tysięcy prawosławnych duchownych, a represjonowano blisko 200 tysięcy. Tylko w latach 1918-1938 zamordowano 130 prawosławnych biskupów. Zburzono około 40 tysięcy świątyń.

Mimo tych prześladowań w przeprowadzonym w 1937 roku spisie powszechnym 56,2 proc. obywateli ZSRR zadeklarowało się jako ludzie wierzący. **Stalin** z pewnością znał wyniki spisu.

Gdy wybucha wojna, Stalin dysponuje informacjami o tym, że idącym na wojnę synom matki dają ikonki i krzyżyki, które często wkładane są za komsomolskie i partyjne legitymacje, o tym, że dowódcy, dając rozkaz do ataku, często przywołują imię Boga, że żołnierzom objawiała się, biorąc ich w opiekę, Matka Boża. Stalin z pewnością znał także wypowiedziane w pierwszym dniu wojny słowa premiera Wielkiej Brytanii **Winstona Churchilla**: „Widzę żołnierzy rosyjskich, stojących na progu swej ziemi ojczystej. Widzę ich broniących swych domów, gdzie ich matki i żony się modlą. Tak, modlą się, bowiem bywają chwile, gdy modlą się wszyscy".

Ujawniona w pierwszym okresie wojny siła niemieckich wojsk uświadomiła Stalinowi i radzieckiemu kierownictwu konieczność mobilizacji wszystkich możliwych, w tym także duchowych, sił narodu. Mając za sobą lata nauki w duchownym seminarium Josif Dżugaszwili swoje pierwsze wojenne przemówienia do narodu rozpoczyna od słów, poprzedzających cerkiewne kazania – „bracia i siostry". Przyzywa także imię świętego Aleksandra Newskiego.

W nowej politycznej rzeczywistości, po zdjęciu cenzury na tematy religijne, w rosyjskojęzycznej, i nie tylko cerkiewnej, publicystyce pojawiły się relacje świadków niezwykłych cudownych przejawów pomocy niebiańskich sił walczącym żołnierzom. O jednym, mało znanym, zaświadczyło wielu żołnierzy, w tym **Michaił Bałajew**, który po wojnie został schiarchimandrytą Troicko-Siergijewskiej Ławry. 14 października 1941 roku, w święto *Pokrowa Bogorodzicy*, grupa żołnierzy, wśród których byli wierzący, próbowała wyrwać się z okrążenia, w jakim pod Wiaźmą znalazło się kilka radzieckich armii (ponad milion żołnierzy). Próby te, z uwagi na huraganowy ogień przeciwnika, kończyły się niepowodzeniem.

W pewnym momencie żołnierze ujrzeli na niebie postać kobiety, która szła nad wierzchołkami drzew, wzdłuż rzeki Kurianowki. Ci, którzy uwierzyli że to nie miraż, pobiegli za nią. Mimo że byli ostrzeliwani, żaden nie został nawet ranny. Gdy przebiegli około pięciu kilometrów postać szybko się oddaliła, a żołnierze zrozumieli, że wyszli z okrążenia. W 2009 roku, dla upamiętnienia tego zdarzenia, została napisana ikona *Wiaziemskaja Ratnaja*, która znajduje się w *Spaso-Bogorodickim* żeńskim monasterze w Wiaźmie.

Objawienia Bogarodzicy w czasie stalingradzkiej bitwy odnotowano nawet w wojskowych dokumentach, m.in. pełnomocnik do spraw Ruskiej Prawosławnej Cerkwi na Ukrainie, towarzysz **Chodczenko**, w kierowanej do swego szefa, pułkownika NKWD **Gieorgija Karpowa**, notatce pisze, że przybyli na Ukrainę spod Stalingradu żołnierze 62 armii „masowo zaświadczają", że byli świadkami „jakiegoś niebiańskiego zjawiska", które ich poraziło. O pojawieniu się Bogarodzicy z Dzieciątkiem nad Stalingradem relacjonował przy świadkach major SMIERSZ (wojskowy kontrwywiad) **Jurij Gołubiew**. Zachowały się relacje znanych z nazwiska innych żołnierzy, w tym niemieckich i włoskich, którzy także ujrzeli Madonnę.

W udzielonym znanemu pisarzowi **Jurijowi Bondarewowi** wywiadzie marszałek **Gieorgij Żukow** przyznał, że na ustny rozkaz Stalina w czasie najtrudniejszych dni stalingradzkiej bitwy wzdłuż Wołgi przeleciał samolot z ikoną Kazańskiej Bogarodzicy. Także w czasie bitwy o Moskwę Stalin miał nakazać oblecieć stolicę z ikoną Bogarodzicy. W Stalingradzie, na lewym brzegu Wołgi, przed tą ikoną duchowni – wśród nich metropolita kijowski i galicki **Nikołaj** (**Jaruszewicz**) – służyli całodobowe molebny.

Radzieckimi wojskami pod Stalingradem dowodził generał, później marszałek, **Wasilij Czujkow** (tekst na stronie 50), który nie ukrywał, że jest człowiekiem wierzącym – w Stalingradzie często zachodził do ocalałej cerkwi Kazańskiej Ikony Bogarodzicy, gdzie modlił się i stawiał świece.

Losy drugiej wojny światowej rozstrzygnęły się na froncie wschodnim, gdzie Niemcy ponieśli największe straty (3,6 miliona zabitych i wziętych do niewoli). W walkach z Armią Czerwoną zginęła także duża część wojsk państw sprzymierzonych z hitlerowskimi Niemcami – tylko w stalingradzkiej bitwie zginęło 109 tysięcy, a 70 tys. dostało się do niewoli, żołnierzy rumuńskich. Straty armii węgierskiej (łącznie zabitych i wziętych do niewoli) wyniosły 105 tysięcy, a włoskiej 84 830 żołnierzy.

„Neutralna" Hiszpania na front wschodni wysłała „Błękitną dywizję" (łącznie 45 tys. żołnierzy). Z okupowanych przez Niemców Francji, Belgii, Holandii na wschodzie walczyły kilkutysięczne oddziały ochotników.

Wszystkich ich, także tych, którzy na żołnierskich paskach mieli wypisane „Gott mit uns" (Z nami Bóg) pokonali oficerowie i żołnierze, z których duża część Boga miała w sercu.

W 1945 roku prawosławna Pascha przypadała 6 maja, w dzień św. Jerzego Zwycięzcy. W Wielkanocny Poniedziałek 7 maja w Reims we Francji Niemcy skapitulowali na froncie zachodnim. Następnego dnia feldmarszałek **Keitel** przed radzieckimi dowódcami podpisał bezwarunkowy akt kapitulacji – w Moskwie było już po północy i dlatego w Rosji dzień zwycięstwa obchodzony jest 9 maja.

Dla prawosławnych radość paschalna połączyła się z możliwością zakończenia tej straszliwej wojny. Dla wielu zbieżność dat nie była przypadkowa. W te paschalne dni – pisze **Andrej Farberow**, autor wydanej w 2006 roku w Moskwie książki „Zbaw i zachowaj – świadectwa, tych którzy doznali Bożego miłosierdzia w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej" – zwycięstwo było nam dane Bożą Opatrznością. To, że było dane, było jasne dla każdego, kto w czasie tej wojny zwracał się z modlitwą do Chrystusa, Bogarodzicy, Świętych. „Z nami Bóg" – pisano na klamrach pasków *ich* żołnierzy, krzyże były namalowane na skrzydłach *ich* samolotów i na *ich* czołgach. Ale Bóg był *z nami*, dlatego że serca wielu naszych ludzi, w tym trudnym czasie były z Nim.

600 tysięcy żołnierzy radzieckich poległo na polskiej ziemi. Ginąc, byli przekonani, że przynoszą nam wolność. O nich, leżących najczęściej w bezimiennych, niekiedy profanowanych przez „nieznanych sprawców", zbiorowych mogiłach, pamiętajmy nie tylko w dniu zakończenia tej strasznej wojny.

Eugeniusz Czykwin

fot. **www.wikimedia.org**

Swój człowiek

Dowodzący obroną Stalingradu, szanowany bardzo przez szeregowych żołnierzy, marszałek i dwukrotny bohater Związku Radzieckiego Wasilij Czujkow – pisze autor tekstu zamieszczonego na stronie Spaso-Andronikowo monasteru – żegnał się kułakiem, a w legitymacji partyjnej nosił modlitwę.

Wasilij Czujkow wychował się w prostej wielodzietnej rodzinie, ukończył cztery klasy cerkiewno-parafialnej szkoły, w wieku dwunastu lat zaczął już pracować. Jego matka była głęboko wierzącą kobietą. A sam Czujkow nosił w legitymacji partyjnej napisaną odręcznie modlitwę.

Ten skrawek papieru już po śmierci ojca znalazł jego syn, Aleksander. On też opowiedział, że ojciec miał zwyczaj żegnać się kułakiem.

– To była modlitwa jego matki – mówi syn marszałka **Aleksander Wasilewicz** i rozwija wyrwaną z zeszytu pożółkłą ze starości kartkę w linię. – Zapisał ją ojciec. Znam dobrze jego charakter pisma. Babcia nie umiała pisać.

Już po wojnie wszystkie dzieci zebrały się w rodzinnym domu. Mężczyźni za stołem wspominali frontowe dzieje. Jak to się zdarza, z odrobiną fantazji – jak wychodzili z opałów, jak gnali Niemców, jak coraz ciaśniej zaciskali żołnierskiego pasa. **Jelizawieta Fiodorowna** słuchała, słuchała, a potem spokojnie powiedziała: „Dzieci, ja was wszystkich u Boga wymodliłam! Dlatego jesteście cali i zdrowi".

Za stołem zapadła cisza. Dwanaście



ścioro dzieci, w tym ośmiu synów, przeszło front i przeżyło!

Jelizawieta Fiodorowna odeszła w wieku 93 lat.

W ich małym miasteczku i okręgu Sieriebrianyje Prudy do lat 30. minionego stulecia stały dziesiątki świątyń. Zamieniono je na magazyny, sale sportowe, składy. Nie zamknięto tylko jednej cerkwi – soboru św. Mikołaja. Jelizawieta Fiodorowna była jego parafianką. Ciekawe, że wybrano ją na cerkiewnego starostę, stanowisko zwykle powierzane mężczyznom. Możliwe, że gdy duchownych rozstrzelano albo zesłano, mężczyźni się przestraszyli. Ona – nie. Kiedy doszły wieści, że cerkiew mają wysadzić w powietrze, pieszo poszła do Moskwy, to ponad 160 kilometrów. A miała już ponad siedemdziesiąt lat. I dopięła swego – na Kremlu przyjął ją sam **Michaił Kalinin**. Cerkwi nie tylko nie wysadzono w powietrze, ale i nie zamknięto.

Taka matczyna aktywność mogła się zakończyć ciężkimi konsekwencjami dla syna. W latach 30. pracował w wywiadzie w Chinach, dowodził wojskami wkraczającymi na Zachodnią Ukrainę i Białoruś, uczestniczył w radziecko-fińskiej wojnie….

Ale represje szczęśliwie ominęły rodzinę.

Zimą 1943 roku Czujkow osobiście sprawdzał linię frontu i trafił pod ogień. Niedużą lepiankę, w której skrył się słynny już wówczas generał, bombardowało 9 niemieckich szturmowców.

„Wyskoczyłem, a wokół pole, schować się nie ma gdzie" – wspominał dowódca. „Wtedy po prostu przylgnąłem do ściany, nawet się nie schylałem. Wystałem tak cały nalot. Oderwałem

się od ściany, a na niej ani nieuszkodzonego miejsca – wszystko poryte odłamkami. Całe jest tylko to miejsce, gdzie stałem. Napięcie ogromne, nie jestem w stanie rozprostować rąk i nagle czuję, że uratował mnie Bóg. Chcę się przeżegnać, a kułak się nie rozprostowuje: ręce od napięcia złapał skurcz. A może ze zdenerwowania. Wtedy przeżegnałem się kułakiem. Potem stało się to już moim zwyczajem – nad Dnieprem, nad Wisłą, w Berlinie”.

I kiedy dowodzącemu zachodnią grupą wojsk Wasilijowi Czujkowowi w 1946 roku urodziło się trzecie dziecko, nadał mu imię ku czci Suworowa – Aleksander. W tym samym roku chłopca ochrzczono – w prawosławnej cerkwi św. Aleksandra Newskiego w Poczdamie.

Później jego syn **Aleksander Wasiliewicz** (rzeźbiarz z zawodu) pomagał w budowie świątyni. Nie ma wątpliwości, że siła modlitwy babci także jemu pomaga.

Wasilij Czujkow nie został bohaterem filmów dokumentalnych czy fabularnych, jak **Żukow** czy **Rokossowski**. Ale wiadomość o jego śmierci w 1982 roku obleciała wszystkie niemieckie gazety: umarł generał szturmu.

Tak nazwano go w latach wojny za opracowaną przez niego taktykę prowadzenia walki z udziałem małych szturmowych grup. „Wdzierajcie się do domu, we dwóch, ty i twój granat. Obaj bądźcie lekko ubrani – ty bez torby, granat bez ubrania. Wdzierajcie się tak: granat na przedzie, ty za granatem” – uczył żołnierzy.

Sprawił, że neutralny pas, oddzielający strony wroga, w Stalingradzie, był szeroki na odległość rzutu granatem. I to nie przypadek: wyłączył w ten sposób z działania niemieckie lotnictwo, które bało się zbombardowania własnych pozycji. Sam z żołnierzami siedział na pozycjach bojowych, stanowiskach ognia… Jadł z ich kotła.

Przed śmiercią Czujkow poprosił, by pochowano go we wspólnej mogile na kurhanie Mamaja. Był jedynym radzieckim marszałkiem, który dosłużył się w latach pokoju stanowiska wiceministra obrony, pogrzebanym nie u kremlowskich murów czy na Nowodiewiczym cmentarzu.

Kiedy żałobny kondukt szedł ulicami Wołgogradu, mieszkańcy miasta zdejmowali czapki, dla nich był swoim i bliskim człowiekiem.

tłum. **Ałła Matreńczyk**

Jak ocalała Jasna Góra

Znają państwo historię o cudownym ocaleniu Jasnej Góry przez wojska marszałka Iwana Koniewa? Przeczytałam ją najpierw w rosyjskiej broszurze, później napotkałam na polskich stronach internetowych z odesłaniem do książki ks. Józefa Marii Bartnika SJ „Matka Boża Łaskawa a cud nad Wisłą” i katolickiego tygodnika „Niedziela”.

Otóż według tego przekazu, w styczniu 1945 roku marszałek **Iwan Koniew** w drodze na Berlin przegrupowywał swoje wojska pod Częstochową. Gdy przy stole zasłanym mapami obmyślał strategię kolejnych walk, niespodziewanie pojawiła się przed nim kobieta, cała w czerni i z czarnym szalem na głowie. „Natychmiast rozpocznij ofensywę na Częstochowę” – zwróciła się po rosyjsku i momentalnie zniknęła. Marszałek wybiegł za nią. – Gdzie jest ta kobieta? – zapytał strzegących jego kwatery wartowników, ale oni nikogo nie widzieli. Koniew nie namyślał się długo, cofnął poprzedni rozkaz, wydał kolejny – niezwłocznego wymarszu na Częstochowę.

16 stycznia 1945 roku wojska Frontu Ukraińskiego pod jego dowództwem zdobyły miasto. Atak był tak niespodziewany, że hitlerowcy nie zdążyli niczego zburzyć.



24 stycznia marszałek Iwan Koniew w otoczeniu sztabu oficerów wkroczył do sanktuarium. Stanął przez ikoną Matki Bożej. – To Ona tamtego dnia była u mnie – powiedział, a zdziwionym oficerom opowiedział całe zajście.

Tę historię zamieszczono także na oficjalnych stronach jasnogórskiego klasztoru z adnotacją, że nie ma pewności co do jej wiarygodności. Ja też nie jestem pewna, nie zamierzam więc polemizować. Ale z tym, że Armia Czerwona uratowała jasnogórski klasztor, polemizować się nie da. Ostatnio przypomniał o tym **Eugeniusz Guz** w tekście „Ocalenie Jasnej Góry” (Przegląd Tygodniowy 5/2020).

Już na początku zwrócił uwagę, że w najnowszych publikacjach dotyczących losów tego klasztoru lata drugiej wojny światowej niejednokrotnie są pomijane, bogatą ich kronikę można za to znaleźć w niskonakładowym wydawnictwie zakonu paulinów z 1991 roku „Jasna Góra w latach okupacji hitlerowskiej” o. **Janusza Zbudniewka ZP**.

Z klasztornej dokumentacji wynika, że w latach wojny i okupacji sanktuarium odwiedziło 12 tys. oficerów

Wehrmachtu, z ministrem spraw wewnętrznych **Wilhelmem Frickem** (4 listopada 1939), gubernatorem **Hansem Frankiem** (25 lutego i 17 września 1940; „Gdy wszystkie światła dla Polski zgasły, to wtedy zawsze była jeszcze święta z Częstochowy i Kościół" – wpisał do księgi), **Heinrichem Himmlerem** (27 października 1940).

Już na samym początku wojny Jasną Górą zainteresował się także minister propagandy Trzeciej Rzeszy **Joseph Goebbels**. I to w niecodziennych okolicznościach. Oto 3 września 1939 roku w odległości 200 mil na zachód od Irlandii Niemcy, prawdopodobnie przez pomyłkę, storpedowali angielski statek pasażerski Athenia z ponad 1400 osobami na pokładzie. Goebbels starał się ze wszystkich sił przekonać opinię międzynarodową, że to nie Rzesza stoi za tą zbrodnią. Podważył więc rzekomo podaną przez Polaków informację o zbombardowaniu Jasnej Góry przez Luftwaffe. O tym, że jest to kłamstwo, miał zaświadczyć m.in. ściągnięty z Berlina do Częstochowy znany ze swego krytycznego stosunku do Rzeszy amerykański korespondent **Louis P. Lochner**. Niemcy zażądali od przeora, o. **Norberta Mohylewskiego**, pisemnej deklaracji, że klasztor od początku wybuchu wojny nie doznał żadnych szkód, jej tekst sfotografowali i wraz ze zdjęciem Lochnera w kaplicy przed obrazem Matki Bożej zamieścili w wielu dziennikach, przekazali do wielu agencji prasowych na całym świecie, zrzucili w formie ulotek z samolotów. Ciekawe, że do dziś nie wiadomo, kto przekazał nieprawdziwą informację o rzekomym zbombardowaniu Jasnej Góry. Sztab główny naczelnego wodza 3 września poinformował jedynie o zajęciu Częstochowy.

Pod koniec wojny Wehrmacht ponownie zainteresował się Częstochową – miasto miało stać się jednym z filarów obrony Rzeszy. W końcu 1944 roku w jego okolicach zbudowano wielkie umocnienia fortyfikacyjne. Gdy nadciągał front, rząd polski w Londynie i jego przedstawiciel przy Watykanie, ambasador **Kazimierz Papee**, niejednokrotnie prosili papieża o interwencję u władz niemieckich, by Kraków i Częstochowa zostały uznane za miasta otwarte, w przeciwnym razie losy Jasnej Góry mogły być zagrożone. I nuncjusz papieski w Berlinie, **Cesare Orsenigo**, takie kroki podjął. Gdy kilka miesięcy później okazało się, że oba miasta wyszły z wojny bez szwanku, Watykan oznajmił, że to dzięki jego zabiegom.

Ale tak naprawdę Niemców niewiele obeszły te interwencje. Jak wspominają ojcowie paulini, komendant niemiecki poinformował zakonników, że otrzymał rozkaz spalenia klasztoru. Żołnierze niemieccy rozlali kilkanaście beczek z benzyną, a tuż obok beczek ustawili wiadra z naftą i wiórami. Dodatkowo podjechali także ciężarówką z kocami i papierami. Podłożyli ogień, ale niespodziewany atak czerwonoarmistów spowodował ich ucieczkę i pożar udało się ugasić.

„Częstochowa ani Kraków nie stały się areną wojny, choć nad obu miastami wisiała groźba walk. Według dotychczasowych opinii historyków oba miasta ocalił śmiały manewr wojsk radzieckich" – konkluduje o. Janusz Zbudniewek ZP.

I wspomina.

„Odejście Niemców z Jasnej Góry przypominało bezwładną i tchórzliwą ucieczkę na samochodach, motorach, a nawet i pieszo. Pierwszy popłoch wyrządziły trzy czołgi radzieckie, które wdarły się do miasta 16 stycznia 1945 roku, spośród których jeden podjechał pod plac klasztoru. Nie mogąc wjechać pod jego mury, wystrzelił i trafił prosto w parter budynku klasztornego, poniżej okna apartamentów generalskich zakonu. Rosjanie tego dnia nie opanowali jeszcze miasta, za to Niemcy w popłochu niszczyli swoje kancelarie, a na Jasnej Górze około godz. 16 podpalili ciężarówkę załadowaną kocami, maszynami i sprzętem laboratoryjnym, co spowodowało niebezpieczeństwo pożaru. Kiedy ogień ugaszono przy pomocy kleryków, wszyscy stwierdzili, że są wolni. Wokoło nie było już ani jednego Niemca, drzwi do ich pomieszczeń były otwarte, na stole stała niedojedzona kolacja, na wałach leżała broń i amunicja, wszędzie panował bałagan. Wokół klasztoru wszyscy czuli, że nadchodzi upragniona wolność, Niemcy uciekali, a za nimi biegli już Polacy do kaplicy, a potem do magazynów, gdzie o. Sawicki rozdawał poniemieckie koce".


Oficerowie niemieccy pod klasztorem na Jasnej Górze

Również inne wydawnictwo jasnogórskie, „Jasna Góra. Informator rok 1991", wydany przez zakon paulinów, donosi: „Nadszedł wreszcie dzień 16 stycznia 1945 roku. Niespodziewany atak czołgów radzieckich na Częstochowę wywołał panikę wśród uciekających wojsk niemieckich. Pod wieczór tego dnia żołnierze niemieccy w popłochu opuścili Jasną Górę, podpalając samochód i wylewając wokół niego benzynę, która ściekała aż do magazynu wojskowego, umieszczonego w dawnym arsenale. Tylko przytomność umysłu zakonników, wśród których znalazł się przypadkowo komendant Straży Pożarnej Częstochowy, uratowała Jasną Górę".

To samo twierdzą mieszkańcy. W liście od redakcji „Przeglądu Tygodniowego" z 18 marca 1998 roku **Stanisław Przywara** z Krakowa pisał:

„Nie wszyscy wiedzą, a część Polaków może nawet nie chce wiedzieć, że klasztor jasnogórski w czasie II wojny światowej został ocalony dzięki czerwonoarmistom. Częstochowa została przygotowana przez Niemców do długotrwałej obrony, stanowiąc ważny punkt oporu. Częstochowski garnizon wojsk niemieckich składał

Stefan Kowalewicz w 1946 roku

się z oddziałów 608 dywizji do zadań specjalnych oraz pododdziałów różnych jednostek rozbitych w czasie walk. Załoga dysponowała silnym wsparciem lotnictwa oraz artylerii i wojsk pancernych. Z informacji uzyskanych przez radziecki wywiad i polskich partyzantów wynikało, że Niemcy zamierzali zniszczyć klasztor na Jasnej Górze. W jego podziemiach zainstalowali 200 bomb lotniczych, które miały eksplodować po zajęciu miasta przez wojska radzieckie. Odpowiedzialność za zniszczenie Częstochowy miała spaść na Armię Czerwoną. Te haniebne plany zostały unicestwione dzięki szybkiemu, odważnemu i zdecydowanemu działaniu oddziału wydzielonego z 7 korpusu pancernej gwardii, a szczególnie 2 batalionu czołgów, dowodzonego przez mjr. **Siemiona Chochriakowa**. Wdarł się on do miasta, obchodząc Częstochowę od północy i południa, a po nadejściu oddziału pod dowództwem płk. **Dudziaka**, 17 stycznia po krótkich, ale zaciętych walkach ulicznych ostatecznie zdławiono opór Niemców. Niemal równocześnie z walkami o miasto na wzgórzu klasztoru działała grupa saperów pod dowództwem lt. **Aloszy Kapustina**, która z narażeniem życia unieszkodliwiła zapalniki opóźnionego działania zainstalowane w bombach. Duże umiejętności saperów zapobiegły ohydnej prowokacji, w konsekwencji której prócz klasztoru na Jasnej Górze ległaby w gruzach co najmniej połowa zabudowań Częstochowy".

Ałła Matreńczyk
fot. **www.google.com**

Z zapisków żołnierza

A kiedy będę umierać, skoro umierać mam, Ty nie bądź przy tym i nie radź, ja już potrafię sam (…) Niechaj złożą mnie w ziemię czerstwą, Tam gdzie padnę, na świecie gdzieś, Niechaj wspomną moje żołnierstwo i niepodległą pieśń – pisał w swoim wierszu kapral Stefan Kowalewicz. Był rok 1943, wokół rozciągała się Palestyna, a on od czterech lat był na wojnie.

Urodził się we wsi Leśna pod Hajnówką, w rodzinie Aleksandra i Głafiry Kowalewiczów, 23 grudnia 1901 roku. Od ósmego roku życia mieszkał we wsi Litwinowicze (parafia Telatycze). Tu się ożenił, tu gospodarzył na szesnastu hektarach, tu na świat przyszło sześcioro jego dzieci. Swoją żołnierkę rozpoczął od czynnej służby w wojsku polskim, w 1922 roku ukończył szkołę podoficerską w Komorowie i w stopniu kaprala został przeniesiony do rezerwy.

Na wojnę wyruszył 3 września (został zmobilizowany do 9 DT w Brześciu). Miał przed sobą krótką kampanię wrześniową, sowieckie łagry, służbę w Armii Andersa. Cały czas nie rozstawał się ze swoim zeszytem, w którym prowadził niemal codziennie zapiski. Zapiski, choć miejscami nieczytelne albo niezrozumiałe, z uwagi na wojskowe skróty, także kontekst zdarzeń, są rzadkim pisemnym świadectwem z pierwszej linii wojennych wydarzeń. Kończą się 14 lipca 1946 roku, na powrocie do kraju. Ten powrót też był podszyty dużym lękiem. Po pierwsze do końca nie był pewien, po której stronie granicy znalazły się Litwinowicze, po wtóre w nowym ustroju mógł się obawiać o swój los. Obawy nie były bezpodstawne. Latem 1948 roku, po donosach życzliwych ludzi z rodzinnej wsi, zainteresowała się nim bezpieka, ale że w kwietniu 1945 roku zginął pod Kaliningradem, wówczas Kőnigsbergiem, wcielony do Armii Czerwonej jego najstarszy syn, dała spokój. Pogarszający się stan zdrowia i przebyte na Bliskim Wschodzie choroby przyczyniły się do przedwczesnej śmierci. Odszedł 18 marca 1950 roku. Prezentujemy fragmenty jego dziennika.

ROK 1939

3 IX Sobota. Trzeci dzień mobilizacji. Mój odjazd z domu do Brześcia, godz. 8.30.

4-5 XI Bombardowanie. Dostaliśmy umundurowanie. Swoje cywilne ubranie oddałem dla Kuźmy Kiryłowogo.

12 IX Uciekł koń. Razem z Nikiforem Dziewaszukiem otrzymałem rozkaz odnaleźć konia. Przez trzy dni szukaliśmy konia.

15 IX Idziemy do Brodów. Silne bombardowanie lotniska. Dziesięć samolotów zniszczonych, zapalony



transport z amunicją, miasto puste, ludność się ukryła. Przy Czerwonym Krzyżu dostaliśmy sucharów i herbaty. Szpital zbombardowany. Przy kościele leżą zabici ludzie i konie. W krzakach zbombardowani Cyganie ze swoimi budami. Od oficera informacyjnego otrzymuję wiadomość, że nasza kolumna transportowa znajduje się w lesie koło Radziwiłowa. Dołączyliśmy.

17 IX Miałem służbę. Zawiadomiono, że wojska sowieckie idą z pomocą dla Polski. Kierunek nazad przez Brody, na Halicz, do Rumunii.

19 IX Sasów. O północy rozbroje-

nie. Niewola. Dwa dni pędzono nas do tyłu, miejscowych – z paskiem na rękawie – zwolniono. Wóz odebrano. Pieszo maszerujemy do Brodów. Ja przy Iwanie Zińczuku ze skaleczoną nogą, odstaliśmy od kolumny. Chciano mi odebrać buty.

23-25 IX Szepetówka. Na polu wygruzka, rewizja, po 30 do wagonu. Dwie noce w lesie przy ogniskach – biały mróz.

25 IX Przeszliśmy do koszar, spanie na cemencie, reumatyzm w plecach i krzyżu. Bardzo marne wyżywienie, pogłoski, że puszczą do domu.

1 X Wieczorem załadowali nas w wagony – Żytomir-Kijów.

4 X Nowogród Wołyński. Barak nr 5. Rewizja, spisanie.

8 X Sprzedałem jedną parę bielizny za 8 rubli. Dałem Janowi Sułkowskiemu 450 kopiejek. Kupiliśmy chleb we dwóch – zamieniliśmy za jego szelki.

19-22 XI Rozsyłanie po robotach. Chleb – 10 rubli, gotują obierki i buraki pastewne. Jadłem po śmietnikach cebulę i surowe buraki.

23 XI Odjazd z Nowogrodu Wołyńskiego. Dano zepsute mięso, wszyscy mamy biegunkę.

26 XI Marganiec. Robota w lesie. Kilogram chleba na dzień, zupa na obiad, kasza i porcja mięsa – 100 gr. Do nowego roku nie było źle.

ROK 1940

1 I-28 III W trzecich koszarach. Oddzielili 105 ludzi i mnie. Dają 400 g chleba i raz zupy owsianej 0,5 litra na dzień.

14 IV Zabroniona praca w kopalni. Nie wypuszczono. Jedzenie dwa razy po 400 g chleba, rano zupa 0,5 l, na obiad zupa i kasza (kutia).

22 V Odjazd z Margańca na wschód. Wcześniej rewizja szczegółowa, po 70 osób do wagonu. W Charkowie staliśmy dzień i noc. Przybyły jeszcze dwa transporty, z Zaporoża i Krzywego Rogu.

24 V Połączono trzy transporty w jeden. Reflektory, telefon, kierunek na północ przez Moskwę.

5 VI Przybyliśmy do łagru Lesopunkt Komi SSR w liczbie 200 osób, zostałem w I punkcie.



7 VI Poszliśmy do pracy, wyładowywanie desek z barki – doki. Po 5 miesiącach i 15 dniach zacząłem palić machorkę.

3 VII Przemaszerowaliśmy do 12 punktu do swoich 700 ludzi. Robota przy budowie kolei, wożenie ziemi taczkami. Norma 100%: 900 g chleba i II kocioł jedzenia. 125% normy – 900 g chleba i III kocioł, zezwolenie na zakup 200 g chleba; od 25% do 60% normy 500 g chleba i I kocioł, 60% do 100% – 700-800 g chleba i I kocioł.

31 VIII Wymarsz na 11 punkt. Skaleczyłem łomem głowę nad okiem – 10 dni zwolnienia.

fon ogłoszono, że między sowieckim prawitielstwom a rządem polskim w Londynie został zawarty dogowor. Amnestia dla polskich grażdan. Po paru dniach wyjechaliśmy do Tatiszczewa (saratowska obłast’).

29 VIII Tatiszczewo. Wstąpiłem do wojska.

15 IX Formowanie 5 Dywizji, zostałem przydzielony do 15 batalionu artylerii piechoty, życie w namiotach.

ROK 1942

12 I Wyjazd 5 Dywizji Piechoty do Dżałał Abat.

13 II W drodze. Kzyl-Orda, pachnie



17-28 IX Byłem naradczykiem (odpowiedzialnym). Trzy razy moja brygada dostała premię.

17-28 X Po zmianie punktu pracowałem jako telefonista, dyżur 24 godz. i 24 godz. odpoczynku.

18 XI Roboty leśne: stawianie metrów i palenie gałęzi. Odśnieżanie drogi, torów, kopanie rowów odwodnych.

ROK 1941

15 VII Odjazd z północy.

20 VIII Łagier pod Wiaznikami (314 km od Moskwy). Przez mikro-

wiosną, śnieg znika stopniowo, pustynia porosła wielką trawą, ludzie jeżdżą na wielbłądach i osłach.

14 II Taszkient, zakupy – jabłka, rodzynki, fistaszki orzechy, dynie susz. 40, 50 rubli za kilogram. Z Taszkientu pojechaliśmy na zachód, wagony z cywilami w innym kierunku.

18 II Dolina Fergańska między górami Pamiru i Tienszanu (5700 m) – budowa namiotów, zachorowałem na grypę.

27 II Fasowanie umundurowania angielskiego.

28 II Ćwiczenia „strzelanina ostra", 8 rannych, 4 ciężko.

24 IV Dnie bardzo gorące, a noce zimne, czasami szron. Otrzymujemy dziennie 600 gram chleba, 20 gram cukru, rano i wieczorem pół a na obiad litr zupy. Ceny miejscowe u Uzbeków i Kirgizów (lepioszka – 5-10 rubli, jajko 5-10 rubli, szklanka siomuszek 3 kopiejki, 1 kg chleba 40 rubli, orzech włoski 1 sztuka 20-25 kopiejek, mleko 4-5 rubli, machorka samosiejka szklanka 5-7-10 kopiejek).

5 V Potrącenie 5 procent dla rodzin cywilnych z Polski.

1 V – do 21 VI Trzytygodniowy kurs dokształcający dla podoficerów, chodzę. Kilka słów po uzbecku: Salem-alejkum – dzień dobry, nicz pól – ile kosztuje, bodryń – ogórek, iszak – osioł.

7 VII Przyjeżdżał Jego Ekscelencja ksiądz biskup Gawlina.

10 VIII W drodze. Stacja Kagan. Wielka rzeka Amu-Daria. Pustynie piaszczyste, diuny (wydmy) porośnięte krzakami drzew saksaułowych, które z dala wyglądają jak jałowiec, a z bliska jak skrzyp.

11 VIII Wciąż pustynie, sto kilometrów od Aszchabadu, silnie nagrzane powietrze wygląda jak woda, jest to złudzenie (miraż). Od miasta Kokand do samego Krasnowodzka mieszkają „Turkmeny". Kobiety pod brodą, na ubraniu noszą okrągłe blaszki (wyglądają jak kwiat). Od Aszchabadu do Krasnowodzka spotyka się czasami tereny zaludnione i półpustynie niemal bez zarośli. 80 km od Krasnowodzka widać wodę, po lewej stronie toru zatoka.

12 VIII Wyładowaliśmy się pięć kilometrów od Krasnowodzka.

13 VIII Maszerowaliśmy ze wszystkimi rzeczami do portu, zdaliśmy rosyjskie pieniądze. Załadowaliśmy się na statek. Odjazd godz. 9.30 wieczorem.

14 VIII Płyniemy w kierunku południowo-zachodnim, od obiadu w południowym. Pod wieczór widzimy brzeg. Z początku drzewa, jak słupy telefoniczne. O godz. 9 stanęliśmy w odległości 2 km od brzegu, przeładowano nas na dwukrotnie mniejsze statki. Zachorowałem na czerwonkę (dyzenterię).

15 VIII Przemaszerowaliśmy pod sześcioosobowe namioty z merli.

16 VIII Dostaliśmy żołd 128 riali (1 funt angielski). Port, do którego przyjechaliśmy, to Pahlawi (Persja, Iran). Przyjechaliśmy do takiego kraju, że wszystko czego dusza zapragnie w każdym miejscu możesz nabyć. Przekupniów wielka ilość i handlarzy moc. Wieczorem słyszymy krzyki szakali – krzyczą jak małe dzieci, zaczynają naraz wszystkie. We dnie szakale siedzą w norach po zaroślach. Jajka, kiełbasa i wszystkie południowe smakołyki a przeważnie żubrówka idą w ruch…

19 VIII Otrzymaliśmy nowe kolonijne drelichy i kapelusze. Zdaliśmy stare drelichy i sukienne umundurowanie, dostaliśmy cztery pary skarpet. Po łaźni przeprowadziliśmy się do 5 obozu. Czysty. Różnica czasu między Warszawą i Teheranem wynosi 2,5 godziny. Waluta irańsko-perska: toman – 10 riali. Funt angielski – 128 riali.

27 VIII Wyjechaliśmy z Pahlawi. Szoferzy perscy, 21 żołnierzy w jednym wozie, kierunek wschód, przeszło 250 km. Bardzo marna górzysta droga z ostrymi skrętami i przepaściami – tylko dla miejscowych szoferów. Drzewa oliwkowe podobne do wierzby albo łozy, drobne liście, owoce jak żołądź, w środku duża pestka. Dalej w górach znika zadrzewienie.

28-29 IX Droga lepsza, miejscami szosa asfaltowa. Nocowaliśmy w Chamandin, angielskim punkcie przejściowym. Drugie samochody większe, po 25-35 ludzi. Wspaniałe widoki, straszne wzniesienia do trzech kilometrów wysokości i zakręty wariackie.

30 IX Bardzo wysokie góry, strome skręty. Dużo wilków i dzikich świń. Dzieciom ropieją oczy, muchy naczepne jak u bydła. Jazda od obiadu strasznie męcząca, powietrze jak w gorącym piecu. Dużo wojska kolonialnego – Anglicy. Pod wieczór, godz. 5, przejechaliśmy granice Iraku. Nad rzeką widoczne lasy palmowe, śliczne widoki. Dwadzieścia kilometrów od granicy obóz angielski, nocleg, wiatry z piasku.

5 IX Kanakin. Po kwarantannie przemaszerowaliśmy 2 km w inne miejsce za rzekę.

6 IX Kupiłem zegarek za 3 funty.

11 IX Defilada 5, 6 i 7 Dywizji przed gen. Andersem.

24 IX Pogadanka księdza kpt. o ślubach i rozmnażaniu.

28 IX Silny huragan piaskowy – poprzewracał namioty.

7 X Defilada przed gen. angielskim, dowódcą 10 armii na Wschodzie.

16 X Przemowa gen. Szyszko-Bogusza. Siatki od komarów i moskitów, falangi skorpiony i węże.

7 XI Przejście do wkopanych, przygotowanych na porę deszczową namiotów. Setny dzień walki pod Stalingradem.

8 XI Dostaliśmy działa wypożyczone.

26 XI Przegląd ćwiczeń przez głównodowodzącego na Wschodzie, gen. Wilsona. Jeszcze kąpiemy się w rzece.

22 XII Rozpoczął się kurs przygotowawczy dla kierowców samochodów, ja też zostałem wyznaczony.

25 XII Po nabożeństwie przemowa gen. Andersa. Nazwał 5 Dywizję Piechoty pierwszym swoim dzieckiem stworzonym w Tatiszczewie w bardzo ciężkich warunkach, mówił o swojej opiece nad 5 DP i obronie przed wciągnięciem do wspólnych działań z Sowietami.

ROK 1943

13 III Koniec kursu kierowców samochodowych – ja 4.

22 VI Otrzymaliśmy działa i działa przeciwlotnicze.

8 VI Zwiedziłem Bagdad. Rynek ulice kryte, każda z innym towarem.

4 VII Wypadek śmiertelny gen. Sikorskiego po starcie z Gibraltaru do Wielkiej Brytanii. Zginęło 17 osób. Żałoba 2 tygodnie.

27 VII Nowy rozkład zajęć. Pobudka dla dział. służbowych 4.15, ćwiczenia przy działach na stanowisku od 4.30 do 6.00. Dla reszty baterii o 6.00, 6.15 modlitwa, 6.30 herbata. 6.50 zbiórka i raport poranny, 7-8 zajęcia, od 8 rano do 5 wieczorem przerwa tropikalna, 5-7 zajęcia. Upały do 80 stopni i chamsiny (trąby powietrzne).

Wrzesień 1945, na przepustce w Kairze, Stefan Kowalewicz stoi po prawej
Na stronie obok El-Kabiz (Egipt), styczeń 1946 roku, po nabożeństwie, w środku biskup generał Sawa (Sowietow)

13 IX Trzytygodniowy kurs techniczno – samochodowy.

27 IX Wyjazd z Habbanijji do Palestyny – Hil 609 (Julis).

14 X Wycieczka religijna (prawosławna) do Jerozolimy.

29 X Wycieczka do Jerozolimy z kapelanem.

14-15-16 XI Przepustka do Hajfy – wydałem 8 funtów na zakupy.

24 XI Wstawiłem ząb i koronę (6 funtów).

27 XII Wspólna wigilia w YMCA. Chodzę na kurs zwiadowczy.

ROK 1944

6-8 I Przepustka prawosławna do Jerozolimy z ojcem kpt. Sawiczem, wspólna kolada w cerkwi Marii Magdaleny w Getsemani z siostrami i o. Serafinem, także śniadanie.

18 I Przepustka do Jerozolimy. Jeździliśmy nad Jordan.

25 I Odjazd z Palestyny do Egiptu, miejsce postoju Kassasin.

5 II Wypadek na rowerze, dwa tygodnie zwolnienia.

15 III Skradziono mi 4 dinary, zegarek (10 funtów), obsadkę, ołówek.

21 III Żołd wypłacony na miesiąc na przód, do 20 kwietnia. Pakowanie i przygotowanie do wyjazdu do Europy.

7 IV Odjazd z Port Saidu 9-piętrowym statkiem. Spanie w hamakach.

16 IV Prawosławna Wielkanoc, na przepustkę do Bari (80 km).

28 IV Wyjazd z działami na stanowisko pod Cassino. Kopanie działobitni. Ogień nękający przeciwnika.

3 V Święto, wolne od kopania schronów i odwodów. Dalsze przygotowanie do ofensywy.

11 V Godz. 23.15 Ofensywa na Monte Cassino. Całe niebo jak łuna, ziemia drżała jak piersi, huk bez przerwy do 5 rano. Wystrzelono 84 pociski artyleryjskie.

12 V Samoloty i rzadsze strzały (dziś wystrzelono w nocy 494 pociski armatnie).

13 V Trochę spokoju. Godz. 20.45 ogień nawałowy z naszej artylerii.

14 V Samolot nasz uszkodzony, zapalił się i z wyciem spadł. Pilot wyskoczył na spadochronie. Nocny nalot nieprzyjaciela.

16 V Lotnictwo nasze poszło na robotę (…), nawałowy ogień od 19 do północy. I od 5 rano powtórnie.

18 V Godz. 10.30, polskie oddziały weszły na górę Monte Cassino (2015 m n.p.m.). Wsparcie naszej piechoty – artyleria. Od dnia 11 do 17 nie było czasu na spanie, a o jedzeniu nikt nie myślał, tylko o spaniu. Trzy pociski padły w to miejsce, gdzie miało być pierwsze działo.

19 V Wróg okłada, także po moim budynku.

21 V Godz. 5, duży ogień naszej artylerii dla wsparcia piechoty. Przed południem wróg silnie okłada, potem my, to on, to my.

22-23-24 V To my, to on, to on, to my. Nocami jego naloty.

25 V Zajęta góra Monte Cairo, wróg stracił piękne oko i spokój.

27 V Zupełny spokój. Otrzymałem zawiadomienie z 14 sądu w sprawie mojej kradzieży.

31 V Odjazd na odpoczynek.

15-16 VI Służba i raport karny za nieobudzenie ordynansa kpt. Różyckiego, który spał w mieście.

20 VI Wyjazd na front, 135 mil, posterunek w Casalbordino.

28 VI Front. Strzelamy między miastami Ferno, Macerata, Camerano. Obrona przeciwlotnicza, z brenem, na stanowisku ja i Sajkowski. Bieżeńcy biegną w naszą stronę.

2 VII Zajęcie nowego stanowiska przed wschodem słońca. Jeden zabity, dwóch rannych. I działo obsługa. Katastrofa. Reginia – złamane żebra, Piekiełko – ręka, Pluta – ślepa kiszka, Golonko – skaleczona ręka. Po południu zmiana stanowiska. Silnie strzelamy, nocami naloty nieprzyjacielskie. Wino na froncie od 10 do 50 lirów, jajka od 5 do 15 lirów.

10-17 VII Ciężkie boje. Wróg bije artylerią ciężką i moździerzami, my odpowiadamy.

17 VII 6.25. Ofensywa pod Ankoną na Łysą Górę. Silne działania lotnicze. Zginął dowódca 6 batalionu, jeden żołnierz ciężko ranny, i dwóch lekko.

18 VII Ankona zdobyta, front przesuwa się na północ.

23 VII Pamiętna noc. Mikołaj Sajkowski, mój wspólnik, został ranny



w plecy. Dwa metry od jego głowy wybuchł pocisk, wszystko wyrwało spod jego głowy, koc podrzuciło i przestrzeliło kilkanaście razy.

28 VII Nad ranem natarcie wroga, nieudane. Bije ciężka nowozelandzka i nasza, wróg po linii ognia. My do ogólnego wsparcia.

30 VII Nasz nalot, 12 bombowców i 4 myśliwce.

3 VIII „Via strada" jazda – droga. Naprzód. My też naprzód. Trzy osoby zginęły, cztery ranne. Za nami Anglicy.

18 VIII Silna wymiana ognia artyleryjskiego, nocą jeszcze wzmocniona.

19 VIII Pewien Polak zmuszony do służenia w armii niemieckiej (najprawdopodobniej chodzi o Ślązaka – am), nosił jedzenie dla oficera na posterunku, przebrał się za Włocha i zgłosił się do nas w niewolę.

29 VIII-2 IX Naprzód siedem mil. Artyleria wali całe dnie i noce.

5 IX Wyjazd na odpoczynek do Monte Granave.

10 IX Nabożeństwo i odznaczenie Krzyżami Walecznych.

17 IX Wycieczka do Rzymu na pięć dni.

28 IX Dentysta, 3 koronki i ząb biały metalowy 1200 lirów.

2 X Odebrałem mundury sukienne po przeróbce.

3 X Odjazd na front adriatycki. Stanowisko wozów i kuchni za Rimini.

5 X LKM zajął pozycję przy baterii pod stogiem. Dostarczono amunicję po



400 na działo. Wróg silnie nas okłada z przodu, z lewa i z tyłu. Zginęło dwóch żołnierzy, czterech rannych. Nocami oświetlają reflektorami.

9 X Wyjazd na stare miejsce postojowe, do Monte Granave.

12 X Powrót na front środkowo-adriatycki.

23 X Potrójna ofensywa, biją przez całą noc, noc i dzień walą.

24 X Pod wieczór kanonada, nad rankiem trzykrotna kanonada.

25 X Biją i biją, dzień, noc i rano.

28 X Skok przez góry i skręty sakramenckie. Stanowisko nad samą rzeką z tyłu, wozy w dolinie rzecznej. Śpimy, w dziesięciu, w oborze. Dobrze, strzela się mało.

31 X List z Rechowodu – biuro pomocy radzieckich wojsk. Cztery funty z dn. 1 IX 1944 roku na list wysłany z pieniędzmi do domu dnia 29 II 1944. Silny deszcz do północy – wozy zalane, wyciąganie do dnia.

2 IX Skok 7 km, przed Predappio, miejsce urodzenia Mussoliniego.

3 XI Śpimy w modelarni dla szybowców – dobrze.

4 XI Strzelamy, wróg też. Chodziłem do kościoła, widziałem pochówki rodziny Mussolinich.

13 XI W kościółku w Predappio pochowany por. Dyl i kapr. Bykowski z łączności.

15 XI Wieczorem wróg puścił 3 serię, ostatnia trafiła w ciągniki 6 batalionu, spaliła cztery wozy i amunicję, 200 metrów od nas.

10 XII Nalot na Forli. Dwa samoloty niemieckie, jeden zbity. Trzy bomby zrzucono, 40 żołnierzy i 40 cywilów zabitych.

11 XII Nasz bombowiec został zbity, sześciu z jego obsługi wyskoczyło na spadochronach.

12 XII Na oszczędności wpłaciłem 5000 lirów, konto 25 741. Pogadanki polityczne, weneryczne, śpiewy kościelne, prawa konstytucyjne.

22 XII Wyjazd na front. Monte Mauro. Naloty.

23 XII Śnieg. Mikołaj Sajkowski wyleciał na minie.

31 XII Nasze lotnictwo i my jak zwykle służba przy wysuniętym LKM. Śpimy w małym namiocie. Ognisko przed namiotem pali się od 7 do 18.

ROK 1945

15 I Wyjazd na stanowisko ruchome „Zakopane" pod Monte Mauro. „Poco spalare" propaganda, dobę strzelamy, druga odpoczywamy.

2 II Przejazd na nowe stanowisko po Anglikach. Śnieg ginie, deszcz, wielkie błoto, pachnie wiosną. Pije się wino.

12 II Zakończenie obrad Wielkiej Trójki, rozwiązanie na naszą niekorzyść.

13 II Komisja lekarska sprawdzenie kategorii – C.

4 III Nabożeństwo prawosławne w Predappio.

5 III Naprzód, objęcie stanowisk po Nowozelandczykach. Zgubiłem plecak. Zawartość: ubranie przerobione sukienne, dwie pary skarpet białych, dwa ręczniki, osiem drogich chusteczek do nosa z Palestyny, dwie pary bielizny i sweter, dwie pary skarpet cywilnych z Port Said w Egipcie, maszynka do golenia, 12 razy po 5 żyletek, 3 zęby złote, funty: 1 iracki, 2 palestyńskie, 2 egipskie, 2 angielskie i dwa po 5 złotych z domu. Pamiątki z pudełeczka najdroższe – religijne, medalik, krzyżyk, łańcuszek.

19 III Kwitną śliwy w ogrodach, teatr Forli – Faenz.

4 IV Przyjazd na wysunięte stanowiska dla nękania.

13 IV Miasto Castel – Bolonezo całkiem zniszczone, pod działobitnią jego bunkry – prawdziwe koszary.

17 IV Naprzód 4 km przed Castel San Pietro. Strzelamy dużo. 140 pocisków.

20 IV Naprzód 8 km za San Pietro, 16 km od Bolonii. Widowisko straszne – silnie zniszczone, palące się budynki.

23 IV Czyszczenie dział, czyszczenie wozów, zwiedzanie Bolonii.

26 IV Przegląd dział. Podpadłem za niewyczyszczone działo. Raport – ustna nagana.

5 V Prawosławna spowiedź, 10 km od Bolonii.

6 V Wielkanoc. Nabożeństwo prawosławne w garnizonie, 4 km od Castel San Pietro. Obecni trzej generałowie.

7 V Urlop we Florencji na pięć dni.

27 V Nabożeństwo prawosławne Grotte Mare. Otwarcie szkoły podoficerskiej.

4 VI Do Ankony na badania (liszaj).

22 VIII Wymiana pieniędzy na odjazd do Egiptu – trzy miesiące żołdu 22 funty i 10 funtów na podróż.

17 IX Wycieczka do grot w Castellano.

11 X Przyjazd do Port Saidu nad kanałem w Egipcie.

16 X Przepustka do Kairu na dwa dni, kupiłem walizkę i buty.

20 X Przeniesiony do Batalionu Wartowniczego.

15 XII Zachorowałem na isjasz, zostałem zabrany do izby chorych.

18 XII-12 II 1946 19 Szpital wojskowy El Kantara, koło Kairu, neurologia.

ROK 1946

14 VII Powrót do Polski statkiem z Włoch.

oprac. **Ałła Matreńczyk**

Zaproszenie do jedności czy zniszczenie jedności Cerkwi?

To tytuł wykładu greckiego duchownego o. Anastasija Gocopulosa, który miał być wygłoszony 8 stycznia tego roku w Patrze, jednak z powodu interwencji ważnych osobistości został zdjęty z programu. Opublikowała go strona pravoslavie.ru. Wykład ma trzydzieści stron komputeropisu, dlatego na potrzeby PP jedynie omówię jego podstawowe tezy. Wytracona przez to zostanie obrazowość mowy, zostaną jedynie podstawowe argumenty.

O. **Anastasios** zadaje pytanie: – Czy pozwolilibyście na soborowanie i spowiedź przed śmiercią waszego ojca u pewnego duchownego, dobrze wykształconego, mającego wspaniałe kontakty, ale po zaproszeniu go do domu dowiedzielibyście się, że został wyświęcony przez biskupa nowo utworzonej przez patriarchę konstantynopolitańskiego Prawosławnej Cerkwi Ukrainy (PCU) **Wiktora** (**Czekalina**), zatem pseudobiskupa. Był on diakonem kanonicznej prawosławnej Cerkwi, ale pozbawiono go święceń, został osądzony i osadzony w więzieniu z powodu pederastrii. Po więzieniu przeszedł do *raskolników*, gdzie przedstawił się jako biskup, choć takich święceń nigdy i od nikogo nie otrzymał, nie miał nawet święceń kapłańskich i zaczął innych wyświęcać na kapłanów i biskupów. Przeszedł do unitów jako biskup. Ale unici szybko wyjaśnili sytuację i przegonili go. Wtedy Wiktor stał się anglikańskim pastorem. Po „kościelnej" karierze znalazł się w Australii, gdzie podawał się za psychiatrę. Szybko jednak go tam aresztowano i osądzono na cztery lata i trzy miesiące za fałszowanie dokumentów.

Powiecie – mówi o. Anastasios – że takich sytuacji nie ma, że to owoc mojej fantazji. Ale dokładnie to zdarzyło się w nowej autokefalicznej Cerkwi, utworzonej w ubiegłym roku na Ukrainie przez patriarchę Konstantynopola **Bartłomieja**. Tam cała grupa „biskupów" nie ma śladu apostolskiego następstwa, ponieważ chirotonię otrzymali od pseudobiskupa Wiktora Czekalina. I takich ludzi uznał patriarchat ekumeniczny i niestety grecka Cerkiew oraz patriarchat aleksandryjski.

Dlatego płaczemy i cierpimy z bólu. Chrystus przecierpi to, że my grzeszni służymy przy Jego ołtarzu, ale myślę, że nie zniesie, by ktoś nie mający biskupiej chirotonii nazywał siebie biskupem i żeby wyświęcony przez niego „duchowny" oszukiwał Jego naród. To kpina i szyderstwo z ludu Bożego! To niedopuszczalne, by garstka niewyświęconych *raskolników* bez apostolskiego następstwa kalała prawosławny episkopat konstantynopolitańskiej Cerkwi.

Duchowny zastrzega, że nie jest ani rusofilem, ani wykonawcą dyrektyw rosyjskich centrów, nie otrzymuje za to rubli, ani nie zdradza hellenizmu. Uświadamia, że Pan nasz Jezus Chrystus, apostołowie, święci Ojcowie Cerkwi, cała cerkiewna tradycja jak źrenicy oka strzegła jedności naszej Cerkwi w prawdzie. I w tym kontekście uformowała się cała kanoniczna tradycja, przestrzegająca jedności i kontaktów w prawdzie między lokalnymi Cerkwiami. To samo dotyczy autokefalii. Ona też służy cerkiewnej jedności.

Grecki duchowny rozważa problem nadania autokefalii Cerkwi na Ukrainie przez patriarchę ekumenicznego. Pierwsze kluczowe pytanie – czy Cerkiew na Ukrainie podlega patriarsze ekumenicznemu? Odpowiada, że tak było po chrzcie Rusi w 988 roku w Kijowie, ale w XVII wieku patriarcha ekumeniczny Dionizy IV przekazał Ukrainę w jurysdykcję ruskiej prawosławnej Cerkwi. I ten fakt był potwierdzany przez trzy i pół wieku, do 2018 roku, także przez patriarchę ekumenicznego Bartłomieja, który oficjalnie uznawał, że Ukraina stanowi kanoniczne terytorium ruskiej Cerkwi. Mieszkańcy Ukrainy aktywnie uczestniczyli we wszystkich przejawach cerkiewnego życia ruskiej Cerkwi, w życiu monastycznym, parafialnym, teologicznym. I cierpieli wraz z nią za wiarę.

I najważniejsze – czy ukraińska Cerkiew jest częścią ruskiej Cerkwi? Odpowiedź wszystkich autokefalicznych Cerkwi bez wyjątku była jednoznaczna – jest, mając przy tym status szerokiej autonomii. I wszystkie Cerkwie, bez wyjątku, uznawały **Onufrego** za jedynego kanonicznego metropolitę kijowskiego. Tylko z nim i jego synodem wchodziły w kontakt podczas Liturgii czy prac komisji. Taka jednomyślność wyraża ogólnoprawosławną cerkiewną świadomość, której nikt nie może naruszać bez poważnych konsekwencji.

To jednomyślne i nieprzerwane doświadczenie Cerkwi uformowało to, co w tradycji nazywamy „cerkiewnym obyczajem", przestrzeganym podobnie jak prawo kanoniczne. Na przykład na cerkiewnym obyczaju opiera się autokefalia cypryjskiej Cerkwi, którą zatwierdził trzeci sobór powszechny.

Wyprowadzenie Wschodniego Illirika (Kreta, Achaja, Tessalia, Epir, Albania, Macedonia) z jurysdykcji Rzymu i podporządkowanie Konstantynopolowi nie odbyło się na mocy tomosu, tylko cerkiewnej tradycji. W 731 roku imperator ikonoklasta **Lew III**, nie zważając na ostry sprzeciw papieża, wtedy prawosławnego, **Grzegorza III**, oddzielił Wschodni Illirik i podporządkował patriarsze Konstanty-



Petro Poroszenko i „metropolita” Epifanij z tomosem

nopola. W ten sposób ukarał papieża rzymskiego za jego sprzeciw wobec niszczenia świętych ikon.

Jeśli więc Wschodni Illirik podlega Konstantynopolowi bez tomosu, to tym bardziej kijowska metropolia podlega moskiewskiemu patriarsze, uzyskując ten tomos, zgodnie z decyzją patriarszą i synodalną w 1686 roku. Decyzja została przyjęta w Konstantynopolu i w całej Cerkwi prawosławnej, ustanawiając tym samym cerkiewny obyczaj na 332 lata.

Ekumeniczny patriarcha, przestrzegając cerkiewnego kanonicznego porządku, nie miał żadnego prawa wtrącać się w sprawy Ukrainy bez zgody ruskiej Cerkwi.

Wszystko w prawosławnej Cerkwi odbywa się w oparciu o cerkiewną Tradycję i kanoniczny porządek. I to samo dotyczy nadawania autokefalii. W przypadku Ukrainy nie zachowano podstawowych warunków Tradycji i porządku. Gorzej, ekumeniczny patriarcha nie tylko nie zachował zasad, ale i sam sobie zaprzeczał. W ciągu dziesięcioleci gorąco podtrzymywał jedno, a na Ukrainie postąpił dokładnie na odwrót. Również współpracujący z patriarchą historycy i kanoniści do kwietnia 2018 roku jednomyślnie i jednogłośnie ogłaszali, że cerkiewna Tradycja i porządek ogłoszenia autokefalii tej lub innej Cerkwi jest obwarowany całym szeregiem warunków. Po czym te warunki podeptali. Jakie?

Autor referatu wylicza cztery podstawowe: **1.** Nie wpłynęła do nikogo prośba o autokefalię samej Cerkwi na Ukrainie, liczącej 53 eparchie, 90 biskupów, 12 tys. parafii, 250 monasterów, 5 tys. mnichów. Na odwrót – około 400 tysięcy obywateli Ukrainy okazało swój sprzeciw wobec autokefalii na piśmie i wysłało petycję do Konstantynopola. **2.** Nie otrzymano niezbędnej zgody na autokefalię od Cerkwi-Matki. **3.** Nie zwrócono się z tym problemem do innych Cerkwi i nie przedyskutowano go. Żadna lokalna Cerkiew nie wystąpiła z prośbą o autokefalię dla Ukrainy. Nacisk ze strony Ameryki na lokalne Cerkwie, wymuszający przyznanie autokefalii, nie przynosi chwały tym, którzy mu ulegli, na odwrót – to wstyd dla tych Cerkwi i ich pasterzy. **4.** Sposób w jaki patriarcha ekumeniczny działał na Ukrainie, nie wyrażał ogólnoprawosławnego konsensusu, tylko zaprzeczał kanonom i obyczajowi.

Kogo posłuchał?

Dwóch ugrupowań politycznych – odpowiada o. Anastasios – reprezentowanych przez ówczesnego prezydenta Ukrainy **Petra Poroszenko** i przewodniczącego ukraińskiego parlamentu **Andrija Parubija** – obu unitów (deklarujący się jako prawosławny Poroszenko pod koniec kadencji przyjmował komunię w unickich cerkwiach – przyp. red.) i dwóch ugrupowań pseudoduchownych *swiaszczennosłużytielej*, twórców *raskolniczeskich* organizacji, które nie znalazły znaczącego odzewu w narodzie, choć były z całej siły wspierane przez władze.

Czy autokefalia tworzona na takich podstawach przyniesie duchowe owoce? – pyta. Oczywiście, że pociągnie za sobą same problemy.

Mamy do czynienia ze zlekceważeniem istoty chrześcijańskiego *swiaszczenstwa* (kapłaństwa) tajemnicy przekazywania Bożej *błagodati* (łaski) poprzez nieprzerwaną apostolską sukcesję (następstwo), którym władają prawosławni biskupi. Zderzyliśmy się z naruszeniem nie jakiegoś jednego kanonu, ale dogmatycznego nauczania Cerkwi o *swiaszczenstwie*, które nieustannie jest przekazywane od apostołów do naszych dni. Patriarcha niesłychanym aktem ustanowił w *sanie* (godności) biskupa **Filareta** (**Denysenko**), na którego sobór biskupów ruskiej Cerkwi nałożył anatemę i była ona uznawana przez wszystkie autokefaliczne Cerkwi i samego patriarchę ekumenicznego przez 26 lat. To samo uczynił z **Makarijem Maleticzem** (zwierzchnik tzw. Prawosławnej Autokefalicznej Ukraińskiej Cerkwi – przyp. red.), który nigdy nie otrzymał kanonicznego wyświęcenia na biskupa.

Nowa autokefaliczna Cerkiew ma około 50 biskupów. Dwie trzecie z nich otrzymało chirotonię od pozbawionych święceń raskolniczeskich biskupów, a jedna trzecia od samego Wiktora Czekalina! Nie było ze strony *raskolników pokajanija*, dlatego Filaret w dowolnej chwili może uczynić kolejny *raskoł* (czego już dokonał, wyświęcając siedmiu nowych biskupów kijowskiego patriarchatu, który – jego zdaniem – nie wszedł w skład utworzonej w grudniu 2018 roku PCU). Heretyków i *raskolników* wprowadzono do Cerkwi. A przecież podstawą, fundamentem tego, by zadziałała Boża *błagodat'*, jest *pokajanije raskolników* i heretyków. Nie może go zastąpić żaden administracyjny akt podpisany przez oficjalną instytucję. Przy braku *pokajanija błagodat'* działać nie może.

Raskolnicy nie wykazali najmniejszej gotowości, by wrócić do Cerkwi, od której odeszli. Tymczasem kontakty z całą Cerkwią odbywają się jedynie poprzez Cerkiew lokalną, inaczej narusza się fundamentalną zasadę cerkiewnej Tradycji.

Kontakty z *raskolnikami*, nazywanie ich „przyjaciółmi”, nie wyleczą *raskołu*, na odwrót – kontakty z nimi w sakramentach podlegają cerkiewnemu sądowi za naruszenie świętych kanonów, co już jasno sformułował sobór antiocheński. Tak więc nawiązanie relacji z *raskolnikami* następuje jedynie poprzez lokalną Cerkiew, od

której oni się oddzielili, albo na soborze powszechnym, a nigdy poprzez inną lokalną Cerkiew.

O. Anastasios tym, którzy weszli z *raskolnikami* w łączność kanoniczną, stawia kłopotliwe pytania. Nikt, póki co, nawet oficjalne osobistości, nie odpowiada na te zarzuty, na pytanie gdzie i w jaki sposób otrzymali święcenia, ale w pewnym momencie ich sumienie stanie się naszym sojusznikiem, pociesza się autor.

I wylicza, kto milczy. Między innymi:

– nowa „autokefaliczna" Cerkiew
– patriarcha ekumeniczny
– patriarcha aleksandryjski
– arcybiskup ateński
– sobór biskupów greckiej prawosławnej Cerkwi

Milczą tak, jakby nigdy i nigdzie nie spotkali się z problemem pogwałcenia cerkiewnej Tradycji i kanonów. Mają natomiast pretensje do tych, którzy zadają „zbyt dużo pytań". Ale „zbyt dużo pytań" zadają także biskupi, metropolici i patriarchowie innych lokalnych Cerkwi. Czy można w tej kwestii mieć pretensje do np. arcybiskupa Tirany i całej Albanii **Anastasiosa**?

Autor zwraca uwagę – jak to nazywa – na groteskową sytuację, kiedy w jednym mieście funkcjonuje kilku równoległych biskupów obok biskupa kanonicznego. Tymczasem już podczas I soboru powszechnego ustalono „niech nie będzie dwóch biskupów w mieście".

Interwencja Fanaru na Ukrainie – z gorzką ironią stwierdza autor – uczyniła dla całego prawosławia niemożliwe możliwym – w jednym mieście służy czterech biskupów tej samej narodowości i dla tego samego ludu Bożego – kanoniczny, należący do autonomicznej Cerkwi pod zwierzchnictwem metropolity Onufrego, dwóch z poprzednich *raskolnickich* struktur Filareta i Makarego, funkcjonujących przed tomosem i jeden nowy, obecny po stworzeniu przez Filareta kolejnego *raskołu*. Tragiczne jest to, że Fanar mówi o jedności Cerkwi na Ukrainie. Tragiczne jest to, że Fanar podarował autokefalię ludziom, którzy duchowo rodzili się i formowali przez ćwierć wieku w *raskole*. Teraz zaczyna się zbierać owoce nierozumnych działań, które zawstydzają Cerkiew.

I jeszcze patriarcha Bartłomiej wzywa metropolitę Onufrego, by ten zaprzestał używania tytułu „kijowski i całej Ukrainy", jaki uznają wszystkie prawosławne Cerkwie.

Według jakich zasad ma zejść z mapy świata duża Cerkiew, uznawana przez wszystkie lokalne Cerkwie? By dać miejsce dla „nowej" Cerkwi? – pada pytanie.

Autor przyznaje, że ma duże wątpliwości, czy ci którzy kierują nową Cerkwią są osobami wierzącymi. Ale i Fanar nie dowierza tym „chłopcom" – zauważa. Nie dał jej prawa kanonizacji świętych. O tym ma decydować Konstantynopol. Żadna autokefaliczna Cerkiew nie ma takich ograniczeń. Ukraińska Prawosławna Cerkiew moskiewskiego patriarchatu takie prawo ma, a autokefaliczna nie ma!

Dziesięć dni po otrzymaniu tomosu, 6 stycznia 2019 roku, zwierzchnik PCU **Epifaniusz**, jako zwierzchnik nowej Cerkwi pospieszył, w towarzystwie prezydenta Poroszenki, uczcić pamięć **Wasila Lipkiwskiego** w Czerkasach na Ukrainie, gdzie odsłonił jego pomnik. Lipkiwskiego wyobrażono w biskupich szatach. Kim był Lipkiwski? Urodzony w 1864 roku ukraiński duchowny, który potem siebie ogłosił „metropolitą kijowskim i całej Ukrainy", za co pozbawiony został święceń kapłańskich. Dał biskupowi możliwość pozostawania w małżeństwie, duchownym zezwolił na drugi i trzeci ślub, zlikwidował monastycyzm. Ugrupowanie Wasila Lipkiwskiego już po dwóch i pół roku funkcjonowania liczyło 30 biskupów, około 1500 duchownych, którzy służyli w prawie 1100 parafiach, utworzono diasporę w Europie i Ameryce.

Epifaniusz nazwał go „apostołem ukraińskiej Cerkwi".

I jeszcze LGBT! *Hospodi pomiłuj!* – wzdycha autor artykułu. Wyjaśnia. Nowa Cerkiew jako oręże amerykańskiej polityki, nie może zostawić z boku spraw ruchu homoseksualnego. Dlatego Epifaniusz powiedział w jednym ze swoich pierwszych wystąpień, że niezbędne są szybkie reformy Cerkwi, odchodzenie od ruskiej tradycji, budowa Cerkwi otwartej, dlatego że zmierzamy w stronę Europy, należy więc odejść od konserwatywnej ruskiej tradycji.

A urzeczywistnianie planów? Na zebraniu synodu autokefalicznej Cerkwi pracował jako tłumacz **Iwan Riabczij**, członek zarządu ruchu LGBT, jeden z głównych inicjatorów parady gejów w Kijowie. Już wcześniej został wprowadzony w kręgi cerkiewne przez „patriarchę" Filareta, który nadał mu swoją cerkiewną nagrodę.

I oczywiście kontakty z unitami! – kolejny problem autora artykułu. Mówi, że skrajnie niepokoją go coraz bardziej zacieśniające się i ciepłe kontakty „nowych" Cerkwi z unitami. Najlepszym przyjacielem Epifaniusza jest unicki arcybiskup **Szewczuk**, głoszący słodkie wypowiedzi typu: Nie będziemy zapominać o słowach papieża: „Ukraina to laboratorium ekumenizmu". Fanar chce, byśmy przełknęli i bratanie się z unitami, po czy jeszcze jeden krok i znajdziemy się w objęciach papieża. Powiedzą nam wtedy: I co z tego, że unici uznają papieża, przecież oni są jak prawosławni. Będziemy wszyscy razem w miłości i zgodzie! Cóż w tym złego?

Jesteśmy bardzo zaniepokojeni postawą tradycyjnych greckich biskupów i teologów, którzy uznali ukraińską autokefalię. Czy nie odczuwają oni ostrych ataków sumienia z powodu tego, że dokonali przestępstwa wobec ukraińskiego narodu, przyzywając takich ludzi na pasterzy i taką Cerkiew nazywając Matką?

Ukraińska sprawa przeradza się w ogromny problem eklezjologiczny, którego następstwa w tej chwili trudno ogarnąć. Po raz pierwszy patriarcha ekumeniczny przypisuje sobie pierwszeństwo władzy na kształt papiestwa – przyjmuje rolę koordynatora w sprawach międzynarodowych i podejmuje decyzje, zastrzeżone dotychczas tylko dla autokefalicznych Cerkwi. Patriarcha ekumeniczny daje sobie prawo ingerowania w dowolne sprawy poza granicami swojej jurysdykcji w całej Cerkwi. Jego działania przypomina-



ją dyktat papieża **Grzegorza VII** z 1075 roku, w którym biskup Rzymu domagał się przedstawienia mu do rozpatrzenia wszystkich najważniejszych spraw każdego Kościoła. Teraz wiadomo – komentuje o. Anastasios – w jakim kierunku zmierza nasza prawosławna eklezjologia.

Nowa Cerkiew na Ukrainie ma służyć, według greckiego duchownego, wyłącznie celom geopolitycznym, podyktowanym przez antychrześcijańskie zagraniczne centrum władzy, którego celem jest podeptanie wszystkich świętych kanonów i doprowadzenie do eklezjologicznych odstępstw. To nie może przynieść naszej Cerkwi dobrych rezultatów. Duchowe prawa, jak powiedział św. Paisjusz, obowiązkowo zadziałają. Oto rezultat:

Pogorszyła się cerkiewna sytuacja na Ukrainie. Nie ma tam pokoju, za to nasiliła się przemoc – zabieranie cerkwi, sądy, waśnie, podziały. Jak więc my duchowni i świeccy możemy być obojętni wobec bólu naszych braci Ukraińców, którzy pragną zostać przy swojej Cerkwi-Matce i za to są prześladowani? Jak to możliwe, żebyśmy my, prawosławni Grecy, stanęli po stronie ich prześladowców?

Na brak Bożego Ducha i działanie ducha złego wskazuje to, że autokefaliczna Cerkiew sama rozdzieliła się. *Raskoł* w *raskole*! Filaret z kilkoma biskupami oddzielił się od raskolników i zaczął sam wyświęcać nowych biskupów. Dziś już stworzył swój synod z ośmioma „metropolitami". Jego duchowe dziecko, Epifaniusz, obwinia go, a Filaret mu z kolei grozi. Fanar, który nadał Filaretowi tytuł „honorowego patriarchy", teraz Ruskich obwinia, że to oni są winni tego sporu. Śmiech przez łzy!

Wszystkie sytuacje, którymi kierują nieczyste siły – komentuje autor – nie poddają się kontroli, tworzą podziały na międzynarodowym poziomie i to właśnie ma miejsce w ukraińskiej Cerkwi.

W Afryce trzydziestu duchownych z czterech metropolii opublikowało posłanie, w którym sprzeciwiają się decyzji patriarchy aleksandryjskiego, uznającej nową Cerkiew Ukrainy. To zjawiska dla Afryki bez precedensu. Istnieje niebezpieczeństwo, że jeśli miejscowi biskupi nie przejawią ostrożności, to utracą cały kler, wtedy i rezultat misji może być opłakany. Na Cyprze trafiła do publikacji ostra wymiana zdań między arcybiskupem i kilkoma biskupami. A co się odbywa w Grecji! Ukraińska autokefalia coraz bardziej dzieli naszą Cerkiew – pisze o. Anastasios.

Powołuje się na słowa arcybiskupa Anastasiosa, który mówi, że zwolennicy autokefalii stworzyli „specjalną uderzeniową grupę", wyśmiewając i obarczając winą, wdeptują w błoto wszystkich, którzy krytykują działania Fanaru, „pod kierunkiem wysoko postawionych osobistości".

Chcąc być uczciwymi, odnosząc się z szacunkiem jako duchowe dzieci, powinniśmy powiedzieć, że nasi duchowi przywódcy, z niewielkimi wyjątkami – i osobiście, i jako sobór biskupów – rozczarowali nas.

Czy ktoś nie rozczaruje się, obserwując jak jest niszczona sama istota soborowości, z powodu braku zgody na postawienie problemu autokefalii pod głosowanie. Czego się przestraszyli, uciekając od głosowania? Może tego, że obawiali się, że nie zdołają w ten sposób doprowadzić do uznania autokefalii, a potem trzeba będzie dać odpowiedź tym, którym obiecano problem rozwiązać?

Oczywiście problemu nie udało się w pełni rozwiązać. Na soborze niektórzy biskupi podnieśli bardzo ważkie zarzuty – że wszystko działo się w niezwykłym pośpiechu, że problem nie dojrzał do rozwiązania, było dużo powierzchowności i niedokładności a wszystko jest pełne sprzeczności i nieprzemyślane.

Martwi greckiego duchownego ton wypowiedzi części episkopatu, tych hierarchów, którzy milcząc o najważniejszych kanonicznych i teologicznych problemach, chwalą „dzielną hierarchię" greckiej Cerkwi, która „nie pozwoliła Ruskim odebrać od nas Patriarchatu", ganią złą Moskwę („otrzymała od Bartłomieja według zasług").

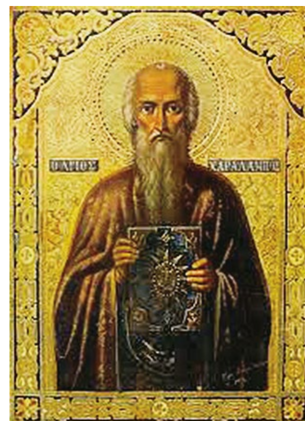
Martwi to, że Cerkiew stała się zakładniczką cerkiewnej polityki. Wyjaśnia sytuację, jak patriarsze Konstantynopola zależało na tym, by na soborze na Krecie w 2016 roku były reprezentowane wszystkie lokalne Cerkwie. Na nim chciał potwierdzić swój wyjątkowy status, pierwszeństwo w prawosławnym świecie. Podczas spotkania przygotowawczego w Chambessy do tego wyjątkowego spotkania, zwrócił się w kuluarach, przy świadkach, innych władykach, do patriarchy ruskiej Cerkwi Kiryła, przekonując go, by przyjechał na Kretę na sobór i powiedział: „Przyjeżdżaj na Kretę, a ja nie ruszę Ukrainy!".

Patriarcha **Kirył** nie przyjechał. Czara goryczy patriarchy Bartłomieja się przelała. Fanar rozpoczął pospieszny proces wprowadzania autokefalii na Ukrainie.

O. Anastasios komentuje, że autokefalia była tylko grą polityczną, nie było w niej żadnej troski o ukraiński naród, ani o wyleczenie *raskołu*. Jeśliby obok ruskiej i inne Cerkwie (antiocheńska, bułgarska, gruzińska) swoją obecnością na Krecie potwierdziły wiodący status Konstantynopola, nikt by Ukrainy nie ruszył.

omówiła **Anna Radziukiewicz**
fot. **pravoslavie.ru**

Święci ku pomocy



...Ty bowiem, za twe ciężkie męki i cierpienia przyjąłeś od Boga łaskę i moc wielką, aby wszędzie i we wszystkim nam pomagać, a najbardziej tam, gdzie pamięć o tobie uczczona będzie czuwaniem, śpiewem i gorliwą modlitwą. Takowa łaska daną ci biskupie-męczenniku Chrystusowy od objawiwszego się tobie Pana Króla Chwały na twoją prośbę. Gdy osądzono ciebie na ścięcie mieczem, usłyszałeś najmilszy i pełen słodyczy głos wołający do ciebie: „Przyjdź Charalampiuszu, druże Mój, wielkie męczarnie z Mego powodu przecierpiałeś i proś u Mnie to czego pragniesz i Ja dam tobie". Ty zaś wielki Pasterzu powiedziałeś do Chrystusa Pana swoimi usty: „Panie mój, wielkim mi zaszczytem od Ciebie, Światłości Niegasnącej, jest dar ten. Jeżeli taka wola Twego Majestatu, błagam Ciebie, zechciej obdarzyć mnie takową swą łaską. Tam, gdzie położone będą me relikwie i czczona będzie pamięć o moich mękach, nie będzie ani głodu, ani pomoru, ani zaraźliwego powietrza niszczącego plony, ale niech będzie na tym miejscu pokój, zdrowie ciałom i duszom zbawienie, dostatek pszenicy wina i oliwy, i rozmnożenie zwierząt potrzebnych ludziom".

To fragment modlitwy do świętego Charalampiusza, czytanej w czasie zarazy. Święty urodził się pod koniec pierwszego wieku, jest bliski wielu współczesnym, zwłaszcza Grekom, którzy dosyć często mają go za swojego patrona.

Mieszkał w Magnezji, w Azji Mniejszej. Był duchownym oddanym Chrystusowi, za co postawiono go przed sądem.

Działo się to w czasach cesarza Seweriusza, kiedy przyszły święty miał ponad sto lat. Przypalano go ogniem, nakłuwano ostrymi narzędziami, a on trwał w wierze. Wszystkiemu stawił czoła. Wierzył w Boga, ufał Mu, miał w sobie wiele cierpliwości i pokory. Kiedy go torturowano, miały miejsce cudowne wydarzenia – niewidomi odzyskali wzrok, chromi zaczęli chodzić, opętani zostali oczyszczeni ze złych duchów, a cierpiący na nieuleczalne choroby uzdrowieni. Obserwujący to byli zdumieni. – Czy jesteś Chrystusem? – pytali. – Jestem sługą Chrystusa – wyjaśniał. – Te cuda dokonane są przez Jego łaskę.

Skazano go na ścięcie mieczem, jednak z powodu zadanych ran zmarł wcześniej.

W opowieściach o świętym często jest przywoływane bardziej współczesne wydarzenie. Zimą 1944 roku w okupowanej przez Niemców Grecji święty Charalampiusz pojawił się we śnie Johannowi Kunsterowi, dowódcy niewielkiego oddziału, który otrzymał rozkaz rozstrzelania dwudziestu mieszkańców miasteczka Filiatra na Peloponezie. Święty obiecał, że jeśli żołnierz nie wykona polecenia, dzięki jego modlitwom przeżyje wojnę. Tak też się stało. Mieszkańcy miasta zostali uratowani, a niemiecki dowódca zmarł dopiero kilkanaście lat po wojnie.

W słowiańskich modlitewnikach są też modlitwy „od zarazy" do świętego cudotwórcy Mikołaja, który jest bliski wielu osobom na całym świecie, do którego ludzie od setek lat zwracają się z różnymi problemami. W żywocie świętego dzieciątka Gabriela Zabłudowskiego też jest opisana sytuacja, gdy w okolicach Zabłudowa szalało morowe powietrze i zmarłych zaczęto chować w pobliżu grobu zamęczonego dziecka. Zaraza ustała, a ludzie odczuwali, że stało się tak za wstawiennictwem świętego Gabriela.

Natalia Klimuk

Preswiataja Bohorodice spasi nas!

To wezwanie tak częste w modlitwach wiernych stanowi też refren w *paraklisie*, kanonie modlitewnym do Bogarodzicy, „śpiewanym w każdym bólu duchowym", jak głosi podtytuł. To najnowsza pozycja wydawnicza, przygotowana przez siostry z monasteru w Zaleszanach. Podobnie jak kilka poprzednich, to rzecz niewielka, skromna wręcz, ale cenna duchowo.

Słowo *paraklis* pochodzi z języka greckiego i oznacza błaganie. Tekst nabożeństwa to głównie kanon, składający się z ośmiu pieśni, a każda z nich zaczyna się irmosem, po którym są cztery tropiarony, przedzielone wezwaniem: Najświętsza Bogarodzico, zbaw nas! Tekst kanonu opublikowano w języku polskim (tłumaczenie o. **Henryk Paprocki**), słowiańskim i w transliteracji.

Paraklis można kupić w monasterze w Zaleszanach, w sklepiku „Galilea" w Bielsku Podlaskim, w monasterze św. Dymitra w Sakach, dostępny jest także drogą elektroniczną (zaleszany21@gmail.com) lub pod telefonem 505 593 347. Koszt: 10 zł plus wysyłka. **(nk)**

W uzupełnieniu informacji poświęconej „Akatystowi do Przenajświętszej Bogurodzicy ku czci Jej Ikony Starokornińskiej", która została opublikowana na łamach „Przeglądu Prawosławnego" 4/2020, s. 44-45, informujemy, że autorem tego akatystu jest proboszcz parafii prawosławnej w Narwi, o. mitrat **Bazyli Roszczenko**. Wiedza co do autorstwa nie była znana autorowi informacji w momencie jej przekazywania do redakcji. Przepraszamy za to, oddając równocześnie należny szacunek autorowi, którego twórczość literacka jest wysoko ceniona.

■ Prof. **Andrzej Gładysz**, specjalista chorób zakaźnych, internista: „Jako społeczeństwo nie jesteśmy przygotowani na żadną epidemię, dlatego że nadal nie wykształciła się u nas wysoka kultura higieniczno-sanitarna, obowiązująca na co dzień. Przywiązujemy dużą wagę do formalnych standardów, a zaniedbujemy np. wychowanie dzieci i młodzieży w przekonaniu o ważnej roli higieny w utrzymaniu zdrowia. W obliczu epidemii zwołuje się narady w ministerstwie i w Sejmie, tymczasem znacznie ważniejsze jest, by w placówkach medycznych, urzędach, szkołach oraz innych instytucjach publicznych i prywatnych na stałe zainstalowano dozowniki środków do dezynfekcji rąk. Społeczeństwo powinno być nieustająco informowane, jak minimalizować ryzyko zakażenia. (...) Od strony praktycznej nie jesteśmy przygotowani na zagrożenia epidemiologiczne, ale jeśli spojrzeć od strony formalno-papierkowej, to podobno wszystko gra".

■ **Jakub Bierzyński**, socjolog, publicysta ekonomiczny i polityczny: „Zastanówmy się, dlaczego kraje Azji tak dobrze sobie radzą z koronawirusem. Z bardzo prostego powodu, oni już przeżyli trzy epidemie, ta jest kolejna, w związku z tym mają opanowane procedury, wiedzą, co działa. (...) Problem polega na tym, że w Polsce bardzo szybko załamie się służba zdrowia. Już przy tej niewielkiej liczbie pacjentów ledwie dycha i będzie tylko gorzej. Jest mało lekarzy, no i przede wszystkim nie są chronieni. Nie ma obowiązkowych testów dla personelu medycznego. A to on jest najbardziej narażony na wirusa. I on, jak wiemy z innych krajów, choruje najczęściej. A ponieważ nie ma testów, to gdy jeden lekarz zachoruje, zamyka się cały oddział, szpital, laboratorium. Zamiast sprawdzić natychmiast, kto jest chory a kto nie, chorego izolować, a resztę posłać do pracy, zamyka się wszystko. W ten sposób wyłączane są kolejne elementy systemu, który rozpada się w oczach. Na to nakłada się jeszcze jeden proces – to proces rozwoju epidemii. Polska idzie dokładnie według tego samego wzoru co Hiszpania, Włochy, Wielka Brytania... Rośnie liczba zarażonych, system staje się niewydolny i zaraz się rozsypie".

■ **Jan Truszczyński**, dyplomata, główny negocjator członkostwa Polski w Unii Europejskiej: „Dla mnie zdumiewające było to, że taka fala krytyki wylała się w sposób nagły, skoordynowany, jakby za naciśnięciem guzika postanowiono rzucić się sobie do gardeł w sprawie mitycznej „Brukseli" i tak zacząć ją krytykować za to, co robi i czego nie robi w sprawie koronawirusa. Albo robi niewystarczająco, źle, niedostatecznie i nie tak, jak krytykujący by sobie tego życzyli. Przy czym głosy te były nieskażone analizą czegokolwiek, co od stycznia do dziś faktycznie w tej sprawie się wydarzyło i wciąż się dzieje. (...) Gdy krytyka wynika z przesądów i uprzedzeń, należy protestować. Każdego można krytykować za to, co w ciągu ostatnich ponad dwóch miesięcy zrobił i czego nie zrobił: Donalda Trumpa, Borisa Johnsona, Mateusza Morawieckiego, Ursulę von der Leyen. Do Brukseli, instytucji europejskich, również można mieć uwagi – szczególnie *post factum* – na temat tego, co można było zrobić wcześniej lub lepiej. Jednak patrząc na realia tego, co instytucje europejskie mogą robić w tej sytuacji, to wykonują one swoje zadania przyzwoicie. W dziedzinie ochrony zdrowia i bezpieczeństwa publicznego instytucje UE mają wobec państw członkowskich kompetencje doradcze. Jeśli chodzi nie o regulacje – w sprawach leków czy standardów sanitarnych – ale o sytuacje nagłe i straszne, jedynie kraje członkowskie mogą decydować".

■ **Jurij Kariagin**, prof. nauk ekonomicznych, prezes Międzyzakładowego Związku Zawodowego Pracowników Ukraińskich w Polsce (Przegląd, 23-29.03.2020): „W Niemczech już w tej chwili jest około 100 tys. Ukraińców. Po 100 tys. jest w Hiszpanii, w Portugalii i w Czechach. We Włoszech było około 500 tys. W sumie poza krajem jest od 3,5 mln do 4 mln Ukraińców. W Polsce w okresie letnim liczba pracujących Ukraińców wzrasta do 2 mln. Polska będzie potrzebować dużo ludzi do pracy. (...) Migracja rodzi wiele pytań i problemów, które trzeba szybko i konkretnie rozwiązywać. Politycy to wykorzystują. Są partie i organizacje, które propagują faszyzm, rasizm, występują przeciw migrantom...".

■ Prof. **Bronisław Łagowski** o przemocy symbolicznej: „Wiele zalet polskiej demokracji ulega zniweczeniu wskutek przemocy symbolicznej. Ta przemoc nie jest nowością wprowadzoną przez PiS. To dziwne, jak ludzie szybko zapominają. Główna instytucja przemocy symbolicznej, IPN, została wprowadzona wspólnie i zgodnie przez obie partie postsolidarnościowe. W ustawie o szkolnictwie wyższym minister Gowin lustrację zaliczył do badań naukowych i nikt z Platformy się nie sprzeciwił, podobnie jak cała klasa polityczna poparła „dekomunizację" nazw ulic i wszystkich miejsc symbolicznych. Te różne formy przemocy symbolicznej ludziom gruboskórnym nie szkodzą, ale nie wszyscy są gruboskórni. Inteligencja cierpi z powodu zacierania śladów przeszłości już nie tylko w miastach, ale nawet w lasach. Ma ona poczucie, że kraj został najechany przez jakieś plemię barbarzyńskie i nie trzeba dziwić się ludziom, którzy mówią, że czują się jakby pod nową okupacją. Okupacja to broń Boże nie jest, ale panujący obóz sugeruje nam, że jest".

■ Prof. **Aleksander Dugin** (Myśl Polska z 29 marca-5 kwietnia 2020 za: geopolitica.ru): „Czy można liczyć, że jeśli ludzkość poradzi sobie z koronawirusem, wyciągnie prawidłowe wnioski: wycofa się z globalizacji, porzuci liberalne przesądy, zatrzyma imigrantów, skończy z wyzywającymi nowinkami technicznymi, pogrążającymi ludzi coraz głębiej w nieskończonych labiryntach materii? Jest całkiem oczywiste, że nie. Wszyscy niezwłocznie wrócą do starych nawyków. Bez mrugnięcia okiem, nie zdążywszy jeszcze pochować wszystkich trupów. Jak tylko rynki znów ożyją i Dow Jones dojdzie do siebie, wszystko wróci w stare koleiny".

ATOS

Modlitwy o obronę przed pandemią

O wprowadzenie stanu wyjątkowego na półwyspie Atos poprosili mnisi i cywilna administracja Świętej Góry.

W ciągu ostatnich dni nawiedziły ją katastrofalne ulewy. Znaczna część monasterów, pustelni i *kielii* została odcięta od świata, deszcze uszkodziły bowiem drogi, zwłaszcza szosę łączącą Dafni ze stolicą „republiki mnichów", Karies. Strat na razie nie oszacowano. Rozmiary klęski żywiołowej mają ocenić przedstawiciele greckiego ministerstwa obrony obywateli, których wizyta spodziewana jest w najbliższym czasie.

Mimo złej pogody mnisi obeszli *krestnym chodem* z ikoną Bogarodzicy „Dostojno jest" budynek Protatu – „rządu" Świętej Góry, modląc się o obronę przed pandemią koronawirusa.

BIAŁORUŚ

Świętości obleciały kraj z modlitwą o ustanie epidemii

Oblotu kraju z największymi białoruskim świętościami – kopią krzyża św. Eufrozyny Połockiej, Żyrowicką Ikoną Bogarodzicy a także relikwią Krzyża Świętego dokonał 2 kwietnia metropolita miński i zasławski **Paweł**. Na pokładzie samolotu razem z towarzyszącymi mu duchownymi modlił się o ustanie epidemii koronawirusa. Dzień wcześniej wezwał do tego wszystkich wiernych.

O dzwonach na Białorusi

Międzynarodowa konferencja poświęcona tradycjom cerkiewnego dzwonu na Białorusi odbyła się w końcu lutego w Mińsku. Przybyli na nią duchowni, wiodący białoruscy, rosyjscy i litewscy kampanolodzy. Swoim doświadczeniem podzielił się także starszy dzwonnik soborów Moskiewskiego Kremla i Świątyni Chrystusa Zbawiciela. Konferencja uświetniła 20-lecie szkoły dzwonników i 20-lecie profesjonalnego odrodzenia dzwonienia na Białorusi.

– Po wielu latach jedna z parafianek przyznała, że pewnego wieczoru wyszła ze znajdującego się nieopodal naszej parafii budynku, żeby popełnić samobójstwo – wspominał **Igor Korestielow**, proboszcz parafii Ikony Wszystkich Strapionych Radości w Mińsku. *– Mroźny dzień, cisza. I nagle usłyszała dzwon. Zdziwiła się i poszła w jego kierunku. Zobaczyła naszą cerkiew, pałatkę, weszła do środka i od tej pory jest naszą parafianką. Oto jak ważne jest oddziaływanie dzwonu na duszę.*

Mińska parafia jako jedna z pierwszych zaczęła odradzać sztukę dzwonienia.

Z błogosławieństwa o. Igora Korestielowa już w 1995 roku zostały otwarte kursy dla dzwonników. Z czasem kursy te przekształciły się w oddział dzwonników Mińskiej Szkoły Duchownej. Być może dlatego specjalne lekcje dzwonienia, które znalazły się w programie drugiego dnia konferencji, odbyły się właśnie w tej parafii.

Swoim doświadczeniem dzielił się **Igor Konowałow**, dyrektor muzeum dzwonów, starszy dzwonnik moskiewskiego Kremla i Świątyni Chrystusa Zbawiciela.

Pierwszego dnia konferencji wysłuchano wykładów o tradycji i symbolice dzwonienia, o utraconych i zachowanych dzwonach, o roli dzwonów w sztuce.

– Staramy się ukierunkowywać człowieka nie na dzwon, a na jego duchowe życie – podkreślił o. **Ioann Zadorożin**, dyrektor Mińskiej Duchowej Szkoły. *– I wtedy dzwonienie będzie żywe, nie mechaniczne.*

– Dźwięk dzwonów to nie tylko wezwanie na modlitwę – mówi o. **Aleksander Czernych**. *– Przede wszystkim pobudza wiarę. Ludzie, którzy są poza murami cerkwi, dzięki jego dźwiękom przestąpią próg świątyni.*

– Dzwon podnosi na duchu, dodaje otuchy – przyznaje **Alesia Biełajczuk**, mistrzyni Europy w kolarstwie, uczennica oddziału dzwonników Mińskiej Szkoły Duchownej. *– Podzwonisz i wszystko wydaje się w porządku.*

CHORWACJA

Trzęsienie ziemi uszkodziło cerkiewną polichromię

Trzęsienie ziemi nawiedziło 22 marca stolicę Chorwacji. Wskutek wstrząsów, najsilniejszych od 140 lat, mieszkańcy niektórych dzielnic Zagrzebia zostali bez wody i elektryczności. Biskupi katoliccy poinformowali, że zniszczeniu uległo zwieńczenie południowej wieży katedry w Zagrzebiu, ucierpiały także dwa inne kościoły.

Poważne uszkodzenia nie ominęły też soboru Przemienienia Pańskiego, należącego do prawosławnej metropolii Zagrzebia i Lubliany. Odpadła znaczna część polichromii, uszkodzeniu uległ wystrój cerkwi.

Sobór Przemienienia Pańskiego położony jest w samym centrum Zagrzebia.

Obecny budynek pochodzi z drugiej połowy XX wieku.

Serbska Cerkiew Prawosławna w Zagrzebiu liczy kilka tysięcy wiernych, w ostatnim spisie przynależność do narodowości serbskiej zadeklarowało 17 tys. mieszkańców.

CYPR

Akafist z balkonów

Tysiące prawosławnych mieszkańców Limassol wieczorem 3 kwietnia wyszło na balkony, żeby uczestniczyć w akatyście do Bogarodzicy. Z balkonów, ze świecami w rękach, przyłączyli się do modlitwy rozlegającej się z radiowych głośników. W cerkwiach bowiem, w związku z koronawirusem, mogli znajdować się jedynie duchowni, chórzyści i *ponomar*.

Do akatystu w tak niezwykłej scenerii doszło z inicjatywy grupy aktywistów, którzy wystąpili do wiernych z przesłaniem: „Wirus nie zwycięży nas, nie zachwieje naszą wiarą". Inicjatywę pobłogosławił metropolita Limassol **Atanazy**.

Teraz Cypryjczycy przygotowują się do zaocznego udziału w nabożeństwach Wielkiego Tygodnia i Paschy.

Sobór Bogojawleński w Jełochowie, Moskwa
Patriarcha Kiryl objeżdża z ikoną rosyjską stolicę

GRECJA

Pogrzeb bohatera

Pogrzeb narodowego bohatera Grecji **Manolisa Glezosa** (1922-2020) odbył się 1 kwietnia na Pierwszym Cmentarzu w Atenach. *Otpiewanije* i panichidę odsłużył arcybiskup Aten i całej Grecji **Hieronim**. Hierarcha podkreślił, że zmarły, znany ze swych lewicowych poglądów, poprosił o prawosławny pogrzeb jeszcze za życia.

Manolis Glezos regularnie spotykał się ze zwierzchnikiem greckiej Cerkwi, ostatnie rozmowy dotyczyły problemów, wywołanych niekontrolowaną imigracją do Grecji i krajów Unii.

Grek przyłączył się do ruchu oporu przeciwko włoskiej okupacji wysp Dodekanez i dyktatury **Metaksasa** już w wieku 17 lat. W nocy na 31 maja 1941 roku razem z towarzyszem **Apostolosem Santosem** zerwał zawieszoną nad Akropolem nazistowską flagę. Był to pierwszy akt sprzeciwu wobec nazistowskich okupantów w Grecji. Za ten czyn **Charles de Gaullle** nazwał Glezosa „pierwszym partyzantem II wojny światowej".

Glezos przeszedł przez niemieckie i włoskie więzienia okupacyjne, w 1944 został aresztowany przez greckich kolaborantów. Po wyzwoleniu, znany ze swych komunistycznych przekonań, był dwukrotnie skazywany na śmierć, później wtrącany do więzienia. Jako wieloletni grecki parlamentarzysta prowadził aktywną działalność polityczną. W 1984 roku wygrał wybory do europarlamentu, po dwóch latach zrezygnował z mandatu. Wrócił na rodzimą wyspę, działając na rzecz jej mieszkańców.





ROSJA

Patriarcha o epidemii koronawirusa

Do epidemii koronawirusa nawiązał w kazaniu wygłoszonym w dzień *Błagowieszczenija* w katedralnym soborze Chrystusa Zbawiciela patriarcha **Kirył**.

– Obchodzimy dzisiaj wielkie święto Zwiastowania Bogarodzicy. Jest to wydarzenie, które otworzyło nową erę w historii ludzkości, które legło u podstaw wielkich zmian. Dzisiaj nierzadko słyszymy słowo kryzys – ludzie wykorzystują to słowo, nie zawsze rozumiejąc jego pierwotne znaczenie. Kryzys to zmiana, w starożytności słowo to oznaczało zmianę, przy czym niekoniecznie na gorsze.

Żyjemy bez wątpienia w czasach kryzysu, a więc żyjemy w czasach zmiany. Co to za zmiana? Wielu obawia się o swoje życie, zdrowie i te obawy nie są bezpodstawne. Na całym świecie rozprzestrzenia się straszna infekcja, przy czym ogarnia ona nie oddzielne regiony czy kraje, a cały świat. (...)

Wszyscy powinniśmy się bardzo poważnie zastanowić, co oznacza ta globalna napaść? Co oznacza ta choroba, przed którą nie ma gdzie się skryć?

Bóg posyła choroby za karę albo dla poprawy, a często jedno związane jest z drugim. I bardzo ważne, żeby ta choroba, ten strach przed śmiercią, posłużyły wszystkim do poprawy. Powinniśmy uświadomić sobie prawdę, która jest oczywista dla człowieka, żyjącego według prawd wiary, ale absolutnie niezrozumiała dla ludzi niewierzących. Nadszedł czas, żeby się zastanowili! Jaka to prawda? Taka, że Bóg jest Stwórcą świata i od Niego zależy ludzki los.

Wydawało się, że olbrzymi rozwój nauki, który rozpoczął się w końcu XIX

Так минулорічну Вербну неділю святкували в Чижах

wieku, objął cały wiek XX i początek XXI, doprowadził do umocnienia autonomii człowieka, w tym także od Boga. Wszystko możemy, jesteśmy wielcy i silni, znaleźliśmy się w centrum świata, człowiek jest w centrum bytu. (...)

Antropocentryczna cywilizacja, wypierając Boga na peryferie bytu, popełniła straszny błąd. Dlaczego? Dlatego, że człowiek to przemijające zjawisko. Człowiek zmienia upodobania, zwyczaje, przekonania, nawet system moralnych wartości i w związku z tą zmiennością nie jest zapewnione duchowe dziedzictwo pokoleń, nie jest zapewniona pełnia ludzkiego życia. Tylko Bóg jest niezmienny, tylko w Bogu jest absolutna prawda i jeśli jest On w centrum ludzkiego bytu, to zadanie człowieka polega nie na tym, żeby walczyć z Bogiem i wyprzeć Go z centrum, ale żeby przyjąć Go do swego serca i rozumu i przez to stać się nowym człowiekiem, żyjącym według Bożego prawa, według tego prawa urządzającym swoje życie. (...)

Ileż jeszcze musimy doświadczyć, żeby uświadomić sobie prostą prawdę – wyrzeczenie się Boga natychmiast stawia w centrum bytu człowieka z jego niedoskonałościami, zmiennością, grzechami, preferencjami politycznymi, duchowymi, kulturalnymi? I nie można zjednoczyć rodzaju ludzkiego wokół tego nadczłowieka, bo zawsze znajdą się inni, którzy powiedzą: „Chcę być na jego miejscu”. Przecież historia uczy nas, że właśnie tak było. Historia zna krwawe przewroty, kiedy niektórzy liderzy, często porywający i charyzmatyczni, starali się zająć centralne miejsce w życiu ludzi, a potem znajdywali się inni, którzy ich obalali. (...)

Niech pomoże nam Pan zrozumieć ten kryzys, a lepiej powiedzieć, czas zmian, które powinny stać się zmianami na lepsze dla każdego z nas, dla naszego narodu, rodu ludzkiego. A jeśli nie skorzystamy z tej możliwości, po raz kolejny nastąpimy na grabie, jak mówi nasze przysłowie. Daj Boże, żebyśmy wszyscy dzisiaj nabrali mądrości, postarali się otworzyć serce i umysł na spotkanie z Bogiem.

Ikona toczy mirro

W zniszczonej cerkwi św. Arcystratega Michała we wsi Ursowo, należącej do parafii Objawienia Pańskiego w Waniewie, zaczęła wydzielać mirro XVIII-wieczna ikona Matki Bożej *Znamienije*. Zjawisko, które rozpoczęło się 8 lutego, powtarza się co kilka dni.

Ikonę tę przed trzydziestu laty odnalazł na strychu porzuconego domu pewien parafianin. Zwrócił uwagę na jej odwrotną stronę – tę z wizerunkiem Matki Bożej *Nieupiwajemaja Czasza*. Prosił bliskich, by po jego śmierci przekazali ikonę do cerkwi. Odszedł jesienią 2019 roku.

Biblia po osetyjsku

Biblia po osetyjsku ma zostać wydana z okazji obchodów 1100-lecia chrztu Alanii (Osetia Północna), poinformowała służba prasowa władykaukaskiej i alanskiej diecezji. W czerwcu 2020 roku tłumaczenie ksiąg Nowego Testamentu i kanonicznych tekstów Starego Testamentu na język osetyjski powinno dobiec końca. Wtedy rozpocznie się przygotowanie do druku. Projekt realizują Instytut Przekładu Biblii i Rosyjskie Stowarzyszenie Biblijne. Tłumacze i teologowie pracują nad nim 3,5 roku.

– To duża i skomplikowana praca. Trzeba doprowadzić do wspólnego mianownika dwie różne koncepcje tłumaczeń, nie mówiąc o kwestii technicznej, należy osiągnąć jednakowe brzmienie biblijnych terminów – podkreślił **Wadim Ziżin** z Rosyjskiego Towarzystwa Biblijnego.

Język osetyjski należy do podgrupy irańskiej języków indoirańskich, którymi mówi się na Kaukazie. Obecnie we Władykaukazie, gdzie mieszka ponad połowa ludności Północnej Osetii, jedynie 10-20 procent pierwszoklasistów włada rodzimym językiem.

Prezydent Rosji **Władimir Putin** wydał dekret o państwowych obchodach 1100-lecia chrztu Alanii. Z tej okazji planowane jest wyświęcenie cerkwi Aleksandra Newskiego, największej w północnokaukaskim rejonie.

Pierwsi Alanowie przyjęli chrześcijaństwo w II wieku.

Modlitwa o ustanie epidemii

Jutrznię z czytaniem akafistu do Bogarodzicy i dodatkową modlitwą o ustanie epidemii koronawirusa przed cudowną Ikoną Matki Bożej odprawił w przeddzień święta Pochwała Bogarodzicy w katedralnym soborze Moskwy patriarcha **Kirył**. Do wspólnej modlitwy przyłączyły się pozostające w domach tysiące wiernych, a przed jej rozpoczęciem patriarcha z ikoną objechał rosyjską stolicę.

Ikonę tę odnalazł św. Serafin z Sarowa w lesie. Nazwał ją „Radością wszystkich radości”. Cudowny wizerunek znajdował się w jego monasterskiej *kielii*. Właśnie przed tą ikoną odszedł do Pana 2 (14) stycznia 1833 roku.

We wspomnieniach mu współczesnych ikona pojawia się w ostatnim okresie jego życia, kiedy święty po wyjściu z *zatworniczestwa* w 1815 roku zaczął przyjmować łaknących rozmowy i pouczeń ludzi. Po wspólnej modlitwie i błogosławieństwie św. Serafin zwykle kreślił znak krzyża na ciele odwiedzającego olejem z łampadki płonącej przed *kielejną* ikoną.

Po śmierci św. Serafina ikona została przekazana do *Diwiejewskiego* żeńskiego monasteru, cudowny obraz stał się główną świętością wspólnoty. Wierni, żeby się jej pokłonić, pokonywali pieszo setki i tysiące kilometrów.

W 1927 roku monaster został zamknięty, ale święty wizerunek udało się potajemnie wywieźć, przez kilkadziesiąt lat strzegli go pobożni ludzie. W czerwcu 1991 roku ikona została przekazana patriarsze **Aleksemu II**. Obecnie na stałe przebywa w patriarszej rezydencji w Czystym Piereułku. Raz w roku, na święto Pochwały Bogarodzicy (obchodzone w piątą sobotę Wielkiego Postu), ikona przewożona jest do *Bogojawleńskiego* katedralnego soboru Moskwy.

na podst. pravoslavie.ru
sobor.by, sedmitza.ru
oprac. **Ałła Matreńczyk**
fot. **patriarchia.ru**

ISSN 1899-9018
Nr indeksu 371416

сами о собі
сами о себе
самі про себе
самі пра сябе

samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny /138-139/ maj-czerwiec 2020



Як колись на Підляшші святкували Великдень

Сьогорічні Великодні свята проходять у тіні пандемії коронавірусної хвороби, яка охопила ввесь світ. Це зумовлює наше святкування, яке й не є таким урочистим, яким повинно бути. Тому й варто нагадати барвисті звичаї, пов'язані з Великоднем, які побутували, а деякі із них побутують далі, на підляських селах.

ПЕРЕД ВЕЛИКОДНЕМ. ВЕРБНА НЕДІЛЯ

Великдень – найбільше християнське торжество, яке припадає на час пробудження природи, тому й у народних звичаях досить присутні обряди, пов'язані з вітанням весни. В українських великодніх звичаях дуже помітні сліди культу роду, культу весняного сонця і культу Ісуса Христа. Знайшло це віддзеркалення у святкуванні Великодня на Підляшші.

Великдень це не лише три дні врочистого торжества, але ціла низка вірувань і звичаїв, які попереджують найбільше православне свято. Це Великий піст, який підготовляє людей до святкування. Це також Вербна неділя, яка починає Великий або Страсний тиждень. Отже, варто почати від цього празника, коли відзначається вхід Ісуса Христа в Єрусалим.

Вербна неділя багатьма мовами світу називається Пальмовою, проте в українській традиції вона нерозлучно пов'язана з освячуванням вербових гілок. Чому верба? Тому що це весняна рослина, гілки якої першими пробуджуються до нового життя. Вони символізують не лише прихід весни, але й Воскресіння Господнє.

– Вербочок не вбіралі, оно звезували лєнточкамі – пояснює **Зінаїда Степанюк**, родом з Шостакова. – Ми ціели час светілі чирвони вербочкі, не тия з котухамі. У колєжанкі в городі корч руос, вже ми вирижемо вербочкі, вони хороше розвінуться, і ідем до церкви.

Освячення вербочок у церкві це досить добре збережений елемент святкування Вербної неділі як на селах, так і в містах. Зараз із гарно прикрашеними вербочками ідуть до церкви також міські нащадки колишніх жителів сіл.

Ще в деяких сім'ях тримається звичай, щоб ударити вербовими гілочками членів сім'ї, зокрема дітей. На Підляшші говорили при тому коротенькі віршики, та їхній зміст бував різним у залежності від села. Для прикладу в Поличній казали:

Верба б'є, не заб'є,
За тиждень Вилікдень.
Чирвоне яєчко.
Будь здорови як висна,
Будь висьоли як зора.

З черги в Клениках був популярний такий варіант:

Верба б'є, не заб'є,
За тиждень Велікдень.
Будь здорови як верба,
Будь бігущи як вода,
Будь весьоли як весна.

Освячена в церкві верба мала лікувальні властивості. Вона охороняла дім, господарство, худобу. Її несли на могили близьких, нею виганяли вперше худобу на пасовисько, а висушену вербочку додавали через рік до печеної паски. Застосувань верби дуже багато. Усі вони пов'язані із вірою в силу священних вербових гілочок. От, для прикладу в Клениках казали:



– Як віетьор зриває дахи, то треба заткнуті вербу священу. Коб груом не вдирив, то затикалі – пояснює **Віра Федорук**.

СТРАСНИЙ ТИЖДЕНЬ

Особливо важливий як у релігійній, так і народній традиції останній тиждень – Великий або Страсний, а зокрема останні три дні перед Великоднем – Великий четвер, п'ятниця та субота, коли на службах читаються уривки з Євангеліє, які розповідають про страждання Ісуса Христа.

Великий четвер на Підляшші – це *Жильнік* або *Жильник*. Того дня в церквах запалюються свічки. Давніше люди старалися донести таку запалену страсну свічку додому та обійти з нею всі будинки. Це мало забезпечити щастя і достаток.

Слово «жильник» походить від архаїчного українського «жилний», тобто «твердий, жорстокий». Назва пов'язана з тим, що саме у Великий четвер після пісної вечері найбільш віруючі починали дуже суворий піст без їжі і пиття, який продовжувався до самого Великодня. Говорилося на Підляшші, що вони *жильнікуют* (*жильникуют*).

П'ятниця – це в православній традиції виніс плащаниці з вівтаря на середину церкви. На селах того дня закінчувалися усі господарські роботи, а деякі господині починали вже пекти паску.

ВЕЛИКОДНЯ ПАСКА

Паска як символ Великодня досі залишається важливою обрядовою стравою на святковому столі. На Підляшші розрізняли колись два сорти великодного хліба – паску, яка була звичайним пшеничним печивом, а також мазурка, що його господині пекли з більшою кількістю жовтків та прикрашували зверху літерами ХВ, хрестиком та різними квіточками. Зараз слово «мазурок» щораз менше популярне на Підляшші, почуємо тут передусім «паска».

Паску та всі страви в кошичках освячують у суботу. Це дуже мальовничий елемент свята, коли люди групками збираються у визначених місцях у селі, куди приїжджає батюшка та святить великодні страви. Зараз щораз частіше освячується паску в церквах або коло них.

Що святили колись люди?

– Клалі в копаньку паску або пириг – розповідає **Валентина Климович** із Добриводи. – Вертяху мняса наварат. У другу



посуду ще кубасу кладут, шинку кладут. І сир, і масло святилі.

Зараз святять властиво ці самі страви, хоча у меншій кількості.

ЯЙЦЕ – СИМВОЛ ВЕЛИКОДНЯ

У коничку не може не бути великодніх яєць – писанок і крашанок. Техніки їх виготовлення були різними. От, для прикладу, так готували яйця в Збучові:

– Робілі пісанкі – згадує **Олександра Куптель**. – Машинка такая била, што там восок жешкі, і пісалі уперуч по іцьові. Взори билі, пісалі «Христос Воскрес», і такії гілочкі робілі. І вкідалі у цібульнік. Найлєпі цібульніком, бо іцє в середіні не красіться. Сієялі ячміень у місочці і як вуон буде зо три центиметри, то туди яйця положиш – гоже виглядало.

Яйцями люди розговлялися, дарували близьким, зокрема хресні батьки дарували своїм хресним дітям кольорові писаночки або крашанки, тобто так зване волочебне. Яйця люди несли також на могили близьких. Досі в багатьох місцевостях Підляшшя живі звичаї, пов'язані з культом великоднього яйця.

ХРИСТОС ВОСКРЕС!

Великодня Служба, на Підляшші – *всюнуочня* – триває ці-лу ніч. Як згадують старіші підляшани, колишні всеношні буди доволі довгими:

– Як я била малая, то ішлі на вечур до церкви і там Читаніє било. Хусткі розстілалі і сідіелі діеті, спаті не хотіелосьо. Довго служилосьо, тяглосьо довго.

Найурочистіший момент настає опівночі, коли батюшка сповіщає «Христос Воскрес» та всі вірні відповідають «Воістину Воскрес». Звичайно, в підляських церквах почуємо церковну форму «Христос Воскресе» та «Воістіну Вокресе», проте на підляських селах довший час люди віталися аж до свята Вознесіння Господнього, уживаючи народної форми «Христос Воскрес».

ОСЬ І ВЕЛИКДЕНЬ!

Після святкової літургії всі верталися додому. У деяких селах, наприклад у Курашеві, несли зразу освячені яйця на могили близьких.

Великдень – це сімейний настрій та врочистий сніданок із освяченими, запашними стравами. Фактично всюди на Підляшші починали його з освяченого яйця. Олександра Куптель розповідає, як було Збучові: – Прийшевши з церкви розговляються – іцьом найперуч. З хреном береш, з маслом. А мазурок то уже поїевши, з компотом. То найсвятіейше лічиться. Освечаного не можна било викідаті. Скоролупкі по яйцях виносілі колісь на загоруодє. То правє коло каждого все купкі на загоруоді билі.

Перший день люди проводили лише в сімейному колі, заборонялися всякі танцювальні забави, щойно з другого дня починалися веселощі, діти грали в крашанки і писанки. А вже на третій день або й після Великодня на селах починали співати весняні пісні – призабуті обрядові рогульки (огульки) про весну і любов.

ПРОВОДИ

Цикл великодніх свят пов'язаний також із поминанням померлих. Уже третього дня моляться за усобших, між іншими, на цвинтарях в Орішкові, Пасинках або Гределях. У Новому Березові, Щитах, Старому Корнині, Курашеві, Дубичах-Церковних, Дуб'яжині поминають померлих у Провідну неділю. Як у неділю, так і в понеділок моляться на цвинтарі в Чижах.

З Провідним понеділком пов'язаний був колись звичай споживання яєчні. Саме того дня, а не на другий день Великодня, обливалися водою. Найстаріші згадують також про обов'язкове бігання навипередки.

– Хто попереді повечерає, біжит напопередкі – то хучиєй жито вижне – згадує Віра Федорук з Кленик.

Цьогорічні підготування до найголовнішого християнського празника та й цілий цикл Великодніх свят – інші, ніж нам наказує багатовікова традиція, без багатьох елементів релігійного культу та й нерідко без сімейних зустрічей та радісного настрою. Маймо надію, що через рік знову буде можна провести це свято так, як проводили його наші діди-прадіди – з повною присутністю головних елементів нашої релігійної та народної традиції.

Людмила Лабович
фото **авторки**

Вэсновые корогоды на цэнтральным пляцові в Рогачах; на фоні цэрква

Пасхальные колокола

Быстро-быстро промчались впечатления вчерашнего дня и Великой ночи: плащаница в суровой холодной темноте собора, воздержание от еды до разговения, дорога в церковь, в тишине и теплоте апрельского синего вечера, заутреня, крестный ход, ликующая встреча восставшего из гроба Христа, восторженное пение хора, подвижная, радостная служба, клир в светлых сияющих парчовых ризах, блеск тысяч свечей, сияющие лица, поцелуи; чудесная дорога домой, когда так нежно сливаются в душе усталость и блаженство, дома огни, добрый смех, яйца, кулич, пасха, ветчина и две рюмочки сладкого портвейна; глаза слипаются; в доме много народа, поэтому тебе стелят постель на трех стульях, поставленных рядком; погружаешься в сон, как камень падает в воду.

Утром проснулся я, и первое, еще не осознанное впечатление большой — нет! — огромной радости, которой как будто бы пронизан весь свет: люди, звери, вещи, небо и земля. Побаливает затылок, также спина и ребра, помятые спаньем в неудобном положении на жесткой подстилке, на своей же кадетской шинельке с медными пуговицами. Но что за беда? Солнце заливает теплым текучим золотом всю комнату, расплескиваясь на обойном узоре. Господи! Как еще велик день впереди, со всеми прелестями каникул и свободы, с невинными чудесами, которые тебя предупредительно ждут на каждом шагу!

Как невыразимо вкусен душистый чай (лянсин императорский!) с шафранным куличом и с пасхой, в которой каких только нет приправ: и марципан, и коринка, и изюм, и ваниль, и фисташки. Но ешь и пьешь наспех. Неотразимо зовет улица, полная света, движения, грохота, веселых криков и колокольного звона. Скорее, скорее!

На улице сухо, но волнующе, по-весеннему, пахнет камнем тротуаров и мостовой, и как звонко разносятся острые детские крики! Высоко в воздухе над головами толпы плавают и упруго дергаются разноцветные воздушные шары на невидимых нитках. Галки летят крикливыми стаями... Но раньше всего — на колокольню!

Все ребятишки Москвы твердо знают, что в первые три дня Пасхи разрешается каждому человеку лазить на колокольню и звонить, сколько ему будет удобно. Даже и в самый большой колокол!

Вот и колокольня. Темноватый ход по каменной лестнице, идущей винтом. Сыро и древне пахнут старые стены. А со светлых площадок все шире и шире открывается Москва.

Колокола. Странная система веревок и деревянных рычагов-педалей, порою повисших совсем в воздухе, почти наружу. Есть колокола совсем маленькие: это дети; есть побольше — юноши и молодые люди, незрелые, с голосами громкими и протяжными: в них так же лестно позвонить мальчугану, как, например, едучи на извозчике, посидеть на козлах и хоть с минуту подержать вожжи. Но вот и Он, самый главный, самый громадный колокол собора; говорят, что он по величине и по весу второй в Москве, после Ивановского, и потому он — гордость всей Пресни.

Трудно и взрослому раскачать его массивный язык; мальчишкам это приходится делать артелью. Восемь, десять, двенадцать упорных усилий и, наконец, — баммм… Такой оглушительный, такой ужасный, такой тысячезвучный медный рев, что больно становится в ушах и дрожит каждая частичка тела. Это ли не удовольствие?

Самый верхний этаж — и вот видна вокруг вся Москва: и Кремль, и Симонов монастырь, и Ваганьково, и Лефортовский дворец, и синяя изгибистая полоса Москва-реки, все церковные купола и главки: синие, зеленые, золотые, серебряные... Подумать



только: сорок сороков! И на каждой колокольне звонят теперь во все колокола восхищенные любители. Вот так музыка! Где есть в мире такая? Небо густо синеет — и кажется таким близким, что вот-вот дотянешься до него рукою. Встревоженные голуби кружатся стаями высоко в небе, то отливая серебром, то темнея.

И видишь с этой верхушки, как плывут, чуть не задевая за крест колокольни, пухлые серьезные белые облака, точно слегка кружась на ходу.

А.И. Куприн (1928)



На проводы

Вэсна на Пудляшу співае разнымі голосамі. Шчэбэчут пташкі, співают і людэ. Всё Божэ створыенэ хочэ вуслав'яті Воскрэсшого Хрыста і дяковаті за тое хоровство, што Господь створыв. Стаеш і здівляешся, як трава раптом зэлёнее, сады зацвітают, лісточкі розпускаюцце, всё дыхае тэплом. А пасхальны гімны пэрэклікаюцце з вэсновыямі песнямі, в якіх радость, мудрость і простота.

Вэсновые песні на Пудляшу і Полессю называют по разному – *огулькамі*, *рогулькамі*, *гаікамі*, *розгулонькамі*, *бородайкамі*, *конопелькамі*, *зозулінымі песнямі*, *садонькамі* чы *вэснушкамі*. А то шчэ нэ всіе тэрміны. Наш люд любів тые песні і так мілогучно іх называв, як бы то былі найбліжчы сэрцю особы. Особліво хорошы нашы пудляшскі огулькі, якіх співаецце чэрэз ціелы вэлікодны тыждэнь, до *Проводнуй нэдіелі*.

Огулькі пэршы раз я почув в 1998 рокові в Огородніках коло Бельска од **Ліды Багінскуй**, котора народіласе в 1935 рокові в Лішчынах. Росказувала вона, што колісь на Вэлікдэнь кажды выходів на гуліцю і ціелы вэлікодны тыждэнь дівчынята ходілі за вёску на вэчуркі. Там співалі *огулькі*, танцёвалі. Былі в сэліе две гармошкі і барабан. – Як почуют нашы спевы – вспомінала бабуля Ліда – то з Гуковіч і з Піліпкув прыезджалі до нас хлопці і дівчынята. І нэ то, коб зараз любов, просто бавілісь і файно. Бывало, што стіенка зыходіт, пэрэд зыходом сонця, тогды росходімсе.

Сіеты казочны свет нашых бабуль і дедув, одышов, здаецце, в гісторыю. Але всё такі хотіелося его одтворыті, ожывіті, даті молодым нашым людём хотя троху в ім окунутіся. І так повстала ідэя сустрэч “Там по маёвуой росіе”, якіе од 2004 року проводім в жыцце.

Вэльмі важным месцём для нашых вэсновых сустрэч е тэрэн прыхода Рогачы, што в мілейчыцкуй гміні. В 2007 рокові познаёміліся мы тут з **Ніною Токаюк**, выдатною спевачкою з Мікуліч. Вона посля нэ раз прыезджала до Студзівуод співаті *рогулькі*; іх запісы можэм почуті на плыті “Огулькі для Ганулькі” (2010). Веды пані Ніны про вэсновые традыцыі – песні, *гульні*, корогоды былі так богаты, што захотіелося іх в Рогачах ожывіті. І так в 2012 рокові впэршэ трафілі мы тут з нашою “Жэмэрвою” і “Антрактом”, а таксамо “Світанком” з Дзятловіч коло Лунінца. Рэшылі, што прыбудэм тут в *Проводную нэдіелю*, колі по традыцыі кунчаецце час співаня *огулёк*.

Была з намі тогды і Ніна Токаюк, якая росказала, як колісь робілі вэсновые корогоды. Іх в Рогачах называлі “городамі”: – Выходілі на Вэлікдэнь з цэркві, з вэчэрні, і пароваліся. Бэруцця за рукі. Хлопэць або дівчына стоіт на пэрэді, а тут всі парамі – хто з кім ходіт, як бы нажэчэнство – хлопэць і дівчына. І тая задня пара біжыт – той з тэйі, тая з тэйі. І топір як хлопэць стараецце жэб дівчыну злапаты – выклікае, а як дівчына – то хлопця выклікае. А як обіжат і взялісь за рукі, то вжэ трымаюцце. Часом бегают довго, довго...

Співалі пры тым разны *рогулькі*, напрыклад такую:

Ој, хто, хто
Ој, хто, хто ж по саду ходіт
Ој, хто, хто ж
Каліну ломіт
Каліна зэлёная
Чырвона, обшчыкана
Ранэнько.

Дывчына по саду ходыт
Дывчына каліну ломіт
Каліна зэлёная...

Ој, хто юй допомогае
Ој, хто юй кветкі рувняе
Каліна зэлёная...

Володя юй допомогае
Володя кветкі рувняе
Каліна зэлёная...

І так, дякуючы Ніне Токаюк, удалосе нам той і іншы “городы” вэрнуті в рогацьку простору. На вэлікум пляцові посэрэд Рогач, коло цэрквы, обновлялі мы іх вусім ліет. Сходілісе людэ, коб поглідеті, як молодёж корогодіт.

Світліця в Мэдвэжыках – над молодою з Хотіслава (Юля Кравчук) співают дружкі з Санкт-Петербурга

Корогод з "рогулькою" направляецце на рэчку Нурчык





Выходів і настоятель цэрквы св. Антонія Печерского о. **Мірослав Аўксентіюк**, запрошаючы нашых гості поглянуті храм.

На самым початкові подумалі, што нэ будэм ограничатіся одно Рогачамі, а пуойдэм з вэсновымі корогодамі і по іншых вёсках прыхода. Почыналі всэ з Мэдвэжык, дэ заховалася дорога-брукованка. Тут проходілі вёску яко *волочэбнікі*. Там дэ в брамах стоялі господарые, іх мы віншовалі, співалі *огулькі*, воділі корогоды, гралі і танцёвалі. Часом хто і стуол со святочнымі прысмакамі выносів.

В 2016 рокові коло світліці в Мэдвэжыках нагнав нас дождж і мы сховаліся пэрэчыкаті его до будынку. З **Сергеем Оленкіном**, кіровніком студыі "Ілінская Пятніца" з Рыгі договорылісе – будэм робіті традыцыйнэ вэселе. І так пошло – каждого року робім прыстанок в мэдвэжыцкуй світліці на вэсіеле. Душою сустрэчы е тутэйша господыня **Марыя Савчук**, якая стараецце, разом з іншымі жыхарамі вёскі, як сліед, прыготовіті дом вэсіельны. В світліці проходіт часть вэсіеля "вдома молодэйі". Тут ейі убірают, дружкі співают песні, а капэля грае пуолькі, обэркі і іншы танці.

По традыцйі, молоды всэ з Пудляша, а молодая з Полесся чы іншого рэгіёну Беларусі. Два разы пудрад – в 2018 і 2019 рокові, молодая была з Хотіслава коло Малорыты. Але вэсельны песні гучалі і з Полоччыны (група "Варган" з Полоцка) і со Смоленшчыны (група "Лад" з Петербурга). Со світліці вэселе пэрэносіцце до сэла Рогачы, дэ **Анатоль Матуевіч** одыгрывае ролю батька молодого. Раней прымав нас на пудвуркові своіх батькув, а тэпэр устроів спецыяльнэ месце коло свого дому. Сэрдэчность Анатоля і его жуонкі, іх акцёрскі талент, одданость нашуй белорускуй культуры, додают нам – організаторам тэйі вэлікуй імпровізацыі – крылув. А што мы нэ обтяжароны ніякуй электроннуй апаратурою, нэпотрэбнымі рэквізытамі, нэ огранічоны сцэнамі, то можэм элястычно достосоватіся і до погоды, і до людi.

Як вэсіеле закунчылосся, мы далей вэндруем *волочэбнікамі* по вёсках. Раней, колі жыла пані Ніна Токаюк, одведувалі Мікулічы. После едэмо до Левошув, дэ сэрдэчно нас вітае родня солтыс вёскі **Марыі Баран**. Раз добраліся таксамо і до Боровікув, што ліжат коло чыгункі на трасі Чэромха – Седльцы. Проходім таксамо і чэрэз самые Рогачы, а тут нас всэ выглядае **Іоанна** і **Адам Алексеюкі** со своімі штырома дітьміма – леснікова, вэліка сем'я, оддана православнуй, белорускуй культуры. То меновіта в рогацькуй леснічувці зроділася вусім лет тому назад думка організаваті тут один дэнь сустрэч "Там по маёвуой росіе". Од самого початку з намі таксамо **Моніка Балут**, кіровнік Гмінного цэнтра культуры в Мілейчычах, якая вэльмі добрэ розумее вартосць жывуой, традыцыйнуй культуры.

Кунчаем нашы *Проводы* в Рогачах так, як колісь нам росказала Ніна Токаюк: – А вже в суботу перед *Проводамі рогульку* топылі. Робылі балвана якого і в озёрко вкыдалі. Тогды співалі остатню *рогульку*, посля якеі росходіліся до хатув.

Положу кладку вэрбову, вэрбову
Час вам діевонькі додому, до дому.
А ты Ніночко зостанься, останься,
Прыдэ Колечка забався, забався.
О што ж я маю ему бавітіся,
Колі нэ дае батэнько жэнітіся.

Рогульку з соломы детi вкідают до рэчкі Нурчыка, котора нэдалеко Рогач бэрэ свуой початок. А шчэ тут хлопці облівают дівчынят водою. Бо у нас на Пудляшу тая традыцыя звэзана меновіто з *Проводамі*.

Дорофей Фіонік
фото **Веслава Панасюка** і **Юрка Раецкого**



„Wiersze spod lasu" to najnowszy poetycki tomik Miry Łukszy, który powstał w ramach stypendium prezydenta miasta Białegostoku za 2019 rok.

Spod lasu

Zawiera 68 wierszy pisanych po polsku głównie, co nietypowe dla poetki, i po białorusku. Niektóre przypominają poetyckie opowiadania, które są jak światło skondensowane w soczewce. Tym światłem rozświetla choćby miłość Iwana z Narewki, który ma teraz 92 lata, i Sprincy Złotnikówny, starszej od niego o pięć lat i starozakonnej, która „znikła, przepadła, wyblakła w pamięci, pewnie ją spalili". Ale ten wiersz („Złoty ząb") jest o sąsiadach („byli dobre ludzie i mówili po naszemu") prowadzonych na rzeź, o wyrwanym staremu Złotnikowi z Narewki złotym zębie (kto wyrwał?), o Bożej sprawiedliwości, która dosięgła i dosięgnie, choćby do ich piersi przybijali ordery i jak psiekrwie skonają, niechby i w brzęku dzwonów".

W wierszach-opowiadaniach pojawiają się i bohaterowie współcześni Mirze Łukszy, choć zawsze sklejeni z krajobrazem, wrośnięci weń, pijący z niego soki życia. Z poetką Tamarą Bołdak-Jankowską wędruje w wierszu „Koszarka" na koniec świata albo tylko Europy – do Zubek, dawniej kolejowych, tam „gdzie droga zagina się w łuk" – jakże poetycka sugestia krągłości świata, jej świata – gdzie kwitnie jak oszalała „starodawna Jabłoń", gdzie dawny świat kolejowy się sypie, gdzie „Liliowy bez bez opamiętania (…) wpycha się do poczekalni zawalonej gruzem, a „fotel urzędniczy w krzakach kaliny" (Mira jest mistrzynią gry słownej, jak *bez bez, fotel urzędniczy*, szczególnie w wierszach pisanych dla dzieci, których tu nie ma, na przykład o żubrze, co trafił do miasta – *żubr na zebrze nie żebrze*).

Wędruje po Białymstoku z „Ziną,



siostrą Niny", już jako emerytką, „wolną wreszcie", „z wózeczkiem na kółkach", która jest „po tysiącach kilometrów na polu, na łące, w lesie". „Bolą ręce i nogi, a co mają nie boleć, kiedy człowiek żywy."

Są i zupełnie osobiste wędrówki, jak w wierszu „Syn błyskawicy", to o ojcu Janie, którego poraziła błyskawica, „Przebiła go aż do jądra ziemi, spowinowaciła (…) z chramem zapadniętym w puszczy, dzwoniącym w symfonii owadów". Umierając w hajnowskim szpitalu westchnął tylko: „Dychać ciażko, Mira…" i odszedł, młody, na wschód, do drzew co tlen dają".

Jest i wiersz „Lustro", skondensowana historia rodziny po tej i po tamtej stronie, na jawie i we snach, z najdłuższym snem babci, co patrzyła w „lustrzane odbicie / w Wołdze, kromka białego chleba dla brata, / wyproszona u dobrych ludzi, sól jak łza (…)". I pyta gruszy: „Czy widziałaś dzikie gęsi, co uniosły mego brata, ojca, dziadka do baśni. / Do snu śnionego pięciokroć?".

Ach, jakież u Miry jest wtopienie w przyrodę, także w tym wierszu „Zaproście mnie do stołu". Czyjego? Mrówczego! Mira pochyla się nad mrowiskiem, proponując: „Będę się trudzić w gromadzie, może, dziatwę niańczyć, / coś tam upichcę, zanucę, mogę i zatańczyć, / choć moje odnóża nie są sprawne teraz / (…) ale domek wasz cały schowam od ulewy/bo jestem taka wielka, jak całe mrowisko".

Mira w poezji i rzeczywistości zawsze ma dystans wobec siebie, pełen humoru, czasem prześmiewczy.

A w wierszu „Chmura" jest już całkowite zanurzenie się w przyrodę, to bieg „na przełaj przez poletka chmur", z dotykaniem gałęzi „czułych drzew", z nogami zwieszonymi nad domami, nawet nad wieżowcami, „co wyrosły po wyrwach od korzeni". Z tej wysokości czyjeś wypiętrzone ego wygląda jak podbite chmurą gradową.

A wszystko jest jak tysiąc lat temu. „Informacja w kroplach, / bitach, milach, miłościach / łączy nas z glebą / i niebem".

„Ptasi szlak", to ukłon ptakom, „które widzą wyżej, szerzej (…) A przelatujące przez świat, znają swój szlak do domu". Tymczasem człowiek strzyże kwietną łąkę, porośniętą tysiącem ziół, „do czarnej krwi". Czegoś tam ptaki szukają? Albo w wierszu „Wybaczenie" jest o oczach bezgłowych drzew, które ściął głupi wróg.

Wiersz z innej niż przyrodnicza półki, bo obrachunkowo-historyczny, chcę zacytować w całości – mocny, „oburzony".

Wezwanie

Wezwano mnie na apel
tych co powinni milczeć
przed plutonem durniów, nieuków,
zabójców, walących drzewa jak ludzi
i ludzi jak drzewa, choć słowo boże
niosą dumnie na spienionych wargach.
Cicho, mówią matki, jeszcze raz
nas stratują, zechcą wyrżnąć w pień
za inny krzyż na którym Go
sami ukrzyżowali.
Pustoszą Słowo,

Rozum,
Wiarę,
Nadzieję,
Miłość.
Ja do lasu muszę.
Gwiżdżę na wasze apele jak kos.

W tomiku są i wiersze króciutkie, one go otwierają i zamykają. Są jak błysk jednej myśli. Czasem Mira odkrywczo zagra w nich na słowach i ucieszy czytelnika, jak w wierszu „Echo”, ale przeważnie jest to błysk refleksji nad światem, jakaś czułość wobec przyrody i niedowierzanie człowiekowi, choćby w trzystrofowym wierszu

Żubr

przyszedł do Basi
w Siemianówce stary żubr
już go zabili.

Albo *Wierzba*

Idąc do szkoły
mijałam starą wierzbę
żyje tak samo

Jakże prosta refleksja nad niezmiennością trwania!

Inny wiersz:

Mikołaj

szukam was wszędzie
batiuszko Mikołaju
wasza twarz w chmurze

To zapewne o zmarłym o. Mikołaju, długoletnim proboszczu parafii w rodzinnej dla Miry Siemianówce. I oto w niespełna dziesięciu słowach jest o przywiązaniu, tęsknocie, o życiu wiecznym, jego nieprzerwalności tu na ziemi i tam w niebie.

Nawet jeśli dziś człowiek jako czytelnik poezji, umiera, dobrze jest, gdy żyją jeszcze poeci. Może zrodzą swych czytelników w przyszłości? Mira Łuksza to ziarno zasiewa, poetyckie, opierające się czasowi.

Anna Radziukiewicz

Поўная хата

На падворку аднаўленай хаты, што леваруч ардэмантаванай пазалетась святліцы – горбы цацак. Хату я ледзь пазнала. Ведаю, што ў ёй жывуць Іван Тарасэвіч (1928), шмагдадовы солтыс вёскі Случанкі, са сваёй жонкай Надзеяй (1931). Пасля шлюбу яны ўжо шэсцьдзесят гадоў! Пад святліцай ужо клубіцца тлум гасцей, што прыехалі і прыйшлі на чарговую гмінную імпрэзу. А ў Тарасэвічавай хаце – таксама поўна. З другога пакоя раздаецца плач малечы. Надзя Тарасэвіч супакойвае шостую праўнучку, Настусю. А ў хаце яшчэ і дачка Ірэна, і яе дочкі з дзецьмі, і, вядома, гаспадар. Іван таксама збіраецца на свята. А тут заглядае яшчэ і зяць дачкі Ірэны, які неўзабаве паедзе ў Беласток, на працу. У каго выхадныя, свята, а каму – да работы.

Вёска поўніцца час ад часу, найбольш у святы і пад гмінныя івенты. Аднаўляецца памяць у Гарадоцкай гміне, табліцы ставяць, хто адкуль родам у вялікія людзі пайшоў. А Случанка цяпер найбольш вядомая **Ігнасем**.

– У таго Ігнася Карповіча яшчэ двух братоў было. Ягоны бацька Мікалай – будаўлянец. Цяпер у Заблудаве жыве, – кажа **Іван Тарасэвіч**, адзін з тутэйшых старажылаў.

– А яго дзядзьку **Віціка**, я ведаю, бо маёй сястры з сынам быў у адым класе, – дадае дачка. – Ігнася маці **Галіна**. А бацькаў брат у нас у Случанцы жыве, каля рэчачкі, з жонкай **Крысяй**. Ну, дык з нашай Случанкі, лічыцца, Ігнась самы слынны хлопец. Адзін з самух лепшых сучасных пісьменнікаў у Польшчы.

– Кажуць, раманы ў яго? – пытаецца ўнучка. – Пры выхадзе яго першай кнізе напісалі, што ён народжаны ў Случанцы, хоць, як і мы ўсе, у Беластоку у бальніцы. Калісь у нас казалі – „Случанка-сталіца”!.. А ў нашага дзедкі таксама свята – 60 гадоў мелі па вяселлі! 24 лістапада – у яго самога – 85 гадоў. Добрых крэмаў дзядуля ўжывае! Мамка ягоная **Вера** жыла 54 гады, татко **Іван** – 62, а прабабка **Вера** – 104, хоць трыццаць гадоў не хадзіла, – унучка мае добрую памяць да сямейных дат...

КОЛЬКІ НАС УСІХ!

– Цярпівасць мы мелі адно да аднаго! – смяецца Іван. – Тыля часу!

– Пыталіся мы ў дзедка, які рэцэпт маё на такое даўгалецце ў пары. Бо ў нашай бабулі спецыфічны характар! Добры, спакойны.

Іван Тарасэвіч быў солтысам у Случанцы 36 гадоў. У сваёй кадэнцыі, пакуль дамовіўся, дык адзін тэрмін прапусціў. Радным быў шмат гадоў, старшынёй салэцкай рады.

– У мяне дзве дачкі і сын, а ўнукаў маем ужо шасцёра. Дык Іван і **Надзя** маюць тры праўнучкі і трох праўнукаў. Праўнуку найстарэйшаму 14 гадоў, а наймейншай, **Анастасіі** – чацвёрты месяц. **Давід-Крыстыян**, **Якуб-Хрыстафор**, **Натаніель**, **Каміля-Габрыеля**, **Ніка-Амелія**, ну і **Анастасія**. На 15 чалавек радзіна, – пералічвае Іван.

– Бабця, дай булучку, – загла-



дае у кош са свежаспечанымі румянымі булкамі Каміля. – Гарачая, падзьмухай крышачку.

– З бацькамі хто тут жыве? Ніхто, я тут прапісана, але ў Беластоку. Унукі ва ўікэнды прыязджаюць я часцей, што дватры дні сюды еду.

– Як яшчэ і Гарадок прыедзе, то ў хаце аж цесна! – цешыцца ў разагрэтай печчу і ўсмешкамі кухні Іван. – А яшчэ ж і ў Гарадку маю ўнукаў. Як наедзя ўсіх! І хату элегантную ў Гарадку маюць.

– Аддала яе сыну, – кажа **Ірэна**. – І сама ўжо ў Беластоку. Мне ўжо 58, а да смерці трэба рабіць. Калі б па-старому, ужо пайшла б толькі ўнукі пільнаваць… Але наш хазяін яшчэ і карову, і шасцёра свіней трымае, плойму курэй… Мелі дваццаць бройлераў...

– А калі чалавек мае многа работы, не мае калі ўміраць, – дадае Іван. – І блізкія блізка. Двух братоў – за дарогаю. Беглыя мае праўнукі. Гэты меншы, калі я прывёз палікі да памідораў, узяўся ён іх караваць: „Будзе чысты кіёк, будзе чысты і памідор, менш вады да мыцця!” Гаспадарыў я. Малая гаспадарка была ў міне. Два гектары ворнага, пяць гектараў лонкі. Але я ўвесь час рабіў на дзяржаўных работах. Пенсію маю ЗУСоўскую. Работы хапала – і там работа, і дома работа. Кароў мы многа не трымалі, часамі чатыры-пяць дойных, цялят-маладняку больш. Калісь з усяго быў прыбытак, а цяпер... Цяпер такія малыя гаспадаркі ўсе паліквідавалі. Калі б і хацеў, не дасць рады ўтрымацца. Трэба мець з пятнаццаць кароў, каб свой танк мець на малако. Яшчэ кароўку адну маем, але гэта ўжо апошняя. Не было ўж дзе малака дзяваць. Збожжа трохі ёсць, дык свіней пару гадуем. То ж сееш не для дзікоў? Сееш, хай расце.

– ... Як мне жылося з Надзяй столькі гадоў? Не было калі задумоўвацца...

РАБОТА БЫЛА

Рабіў, рабіў, рабіў. Як ажаніліся жыў там за дарогаю, у бацькоўскай хаце. А патом перайшоў сюды, хлеў, стадолу, хату паставіў. Прайшло яшчэ пару гадоў, стаў ставіць хату ў Гарадку. І так усё работа была. Не было калі нудзіцца. І былі грошы! Як у Гарадку ставіў хату, дык адразу там тры лазенкі рабіў. Перспектыўна. Піўніцу ўжытковую, партэр. На паверсе тры пакоі, калідор... На ўсіх паверхах – лазенкі... Цяпер збярэмся, сядзем, кажуць – бяды няма. Але стань ты цяпер пабудуй хату! З адной лазенькай не дасі рады. А я будаваў! А скуль узяў грошы? Ведаеш, красці не краў. Грошай хапала. Выдумоўвалі, што хацелі, як на калісні час, што было найноўшае.

– А скуль вы жонку знайшлі?

– З-за рэчкі. З Каралёўшчыны. Напрасткі згэтуль будзе з трыста метраў. Ведаліся мы ўжо раней, бо мая сястра была за яе братам. Як добра быць разам? Ці слухаць адзін аднаго? Часам не чуць чаго-небудзь. Усяляк у жыцці бывала. Шлюб мы мелі ў 1953. Важкі год. Але мяне ў войску доўга пратрымалі, 37 месяцаў, бо тады ў Карэі замешкі былі, дык нам год войска прадоўжылі. З войска прыйшоў я ў 1952 годзе. 36 гадоў салтысавання. Калісь у нас былі грамадскія рады, у нас у Валілах-Станцы была. Ад нас калега быў старшынёй. Ён угаварыў мяне, каб я згадзіўся быць солтысам, бо я не хацеў быць. Адзін клопат. Цяпер, то калі солтыс пойдзе на сесію, дык яму і заплацяць. А калісь усё тыя начежнікі былі, секвестратары, і мусіш іх пераначаваць. Дык дзялоў было! І солтыс быў застрахаваны, але ўжо радзіна – не. Калі ўжо Грамадскай рады не было, была Гмінная рада ў Гарадку. І зноў мяне зрабілі солтысам, але сям’я ўжо была застрахаваная. І я згадзіўся. Дык тое цягнулася, і калі кончылася, дык ужо спакайней. Падаткі, грамадскія пачыны, амаль штонядзелю. Тры разы ў сезон пошукі стонкі-каларадскага жука. А як солтыс не пойдзе на пачын – дык хто пойдзе? Прыклад трэба даць. А як калёніі рабілі (1963), усяго было пры тым! Мелі прэтэнзіі, але не было асаблівых спрэчак пры камасацыі. Пасля святло, ваду зацягвалі... Электраток тут зацягнулі ў 1967 годзе. Зацягалі святло былі на Станцыі-Валілы ў 1951 годзе, прапанавлаі і Случанцы, але тады залежала ад гаспадаркі – хто меў больш гектараў, больш плаціў. І пару асоб не згадзіліся. І так доўга пасля чакалі, вымэнчыліся. А водаправод зацягнулі ў 1997 годзе, пры маёй кадэнцыі. Але я меў ваду яшчэ без водаправода, на гідрафор. І лазенька ў нас была. Цягнулі, а ахвотных было



толькі пяць чалавек. А калі сталі падключаць, ужо тады ўся вёска схацела. Хадзіў я, спісваў – тада ўжо ўсе згадзіліся. Але трэба было складчыну за лінію плаціць. Толькі дзевяць чалавек дало па тысячу злотых. Пасля адна яшчэ дала пяцьсот злотых, а пасля іх вярнуць хацела... Спачатку было па тры ці чатыры тысячы. Кажу войту: дзесяць тысяч для гміны гэта слабыя грошы, а камусь і тысяча гэта непасільна. Зменшылі. Тады 27 згадзілася. І каб лінія была кожнаму да хаты, на адзін кран. Тады ў нас поўных хатаў было з трыццаць шэсць. Цяпер у нас іх палова пустых, або па адным чалавеку. Нумароў у нас было тады 42. Цяпер у нас солтыс **Оля Тарасэвіч**.

...Калі ў нас

СВЯТЛІЦУ ПАСТАВІЛІ...

Калі сам той дом – не памятаю. У гэтым месцы жыла сям'я, у 1944 годзе, 24 лістапада паехалі ў Расею згэтуль. Хата засталася. Адзін стары чалавек пачаў жыць у гэтай хаце **Ясько Давыдаў**, **Сашкаў** бацька. Яго сын ажаніўся, у другой хаце стаў жыць. У сына быў, і гэту трымаў. Як Сашко прыйшоў з войска, і **Зінка** прыйшла, пажаніліся, дык вяселле яшчэ тут было, і ўжо Зінка пайшла ў сваю хату, бацькоўскую. А ў старой хаце танцавалі, забавы рабілі штонядзелю. Па хатах рабілі мы тады забавы, у каго большая. Столік адсунеш, ложак – і ёсць дзе круціцца. Ды мы раз пазычылі ў Яські ключ, аддалі, другі раз, а пасля дайшлі да вываду з солтысам, Варфаламеем, каб у гэтай хаце зрабіць святліцу. Кажа, пагавару ў гміне, няхай застанецца на цэлую вёску. І мы той ключ Яську ўжо не аддалі. Спяшра развалілі сцяноўку. Прайшло пару месяцаў, ніхто нічога не сказаў, пасля ўсе печы развалілі. Я тады ўжо з войска прыйшоў, здаецца. Мы перастаўілі хату, зрабілі яе большую, прадоўжылі, накрылі інačай, бо ўжо рамонту патрабавала. Праз нейкі час папраўляла яе, малявала наступнае пакаленне.

– Наша кадэнцыя там гуляла! – дадае дачка Ірэна. – У сямідзесятыя гады штосуботу ў нас забава была.

– Ашалявалі яе, выбілі ў сярэдзіне пільсняй, пачысцілі. Рабілі забавы па білетах. Паўвёскі збіралася, у святлцы не памяшчаліся.

– А як Засцянкі яшчэ прыедуць, як яшчэ і біліся! Нават штыкеціны ішлі ў рух!

– У 2012 годзе яе аднавілі, і гэта цяпер уласнасць гміны. Тыя людзі, што выехалі, у СССР, там пэўна атрымалі нейкую магчымасць жылля. Тады ў нас шмат вёску пакінула, ехалі такі пружныя сем'і, дзе дарослых было многа, пазаставаліся старэйшыя, або з малымі дзецьмі. Было дзіка, калі яны паехалі, пустыя хаты засталіся ад іх. У большасці яны ў Беларусі спыніліся, некаторыя хацелі далей ехаць, але іх не пусцілі. У Навагрудку жывуць, каля Навагрудка. Упярод часта прыязджалі тыя, у каго засталася радзіна, цяпер слабей. Ці хацелі вярнуцца? Тут у Гарадку быў



адзін такі, ужо памёр, небарака, Пшэсмыцкі, то быў тутака агентам: агітаваў, намаўляў, запісваў, каб ехаць. Паехаў, пабачыў, але тут было ляпей чым там. А нам тут было добра. Увогуле ў Польшчы за тае „камуны" было не фэ. Заехаў Пшэсмыцкі туды. Быў Канстанцін, зрабіўся Казімеж. Прыехаў назад. Яшчэ адзін таксама прыязджаў, казаў: „А чаго ехалі? За санацыі, яшчэ да 1939 года, перад панам трэба было шапку скідаць. Думалі, што і цяпер гэтак будзе. Але цяпер ужо ніц не зробіш, не вернешся". І ніхто не вярнуўся, апрача агента...

З суседняй хаты пасля еўрарамонту даляцеў песенны гул – пачалася вечарына. Рушыў дзед Іван з праўнукамі на свята...

Міра Лукша, фота **аўтаркі**

Іван Тарасэвіч з унукам Натаніелем. У аднаўленай святліцы ў Случанцы ў Гарадоцкай гміне. Справа Нядзея Тарасэвіч

Справа Рыгор Скроцкі з жонкай Стэфаніяй (справа), побач Іван Годун з жонкай, фота к. 1910 года



Падзяка за дар дзяцей

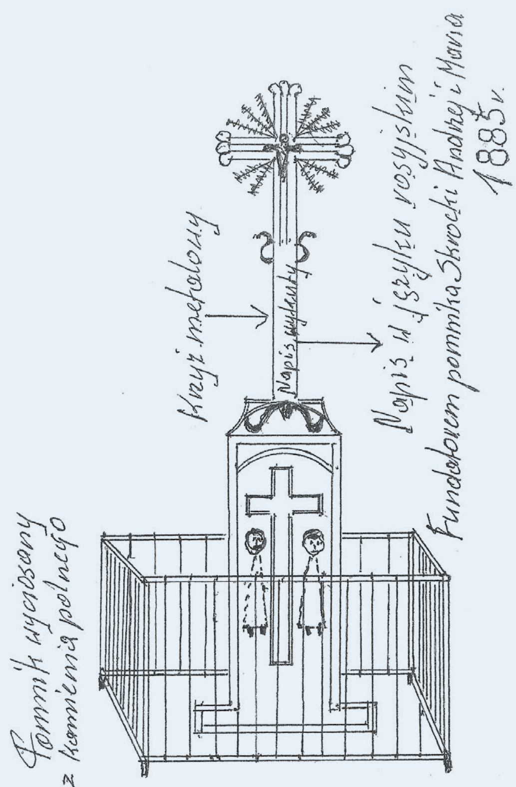
Паміж вёскамі Чорная Царкоўная і Сямёны ў гродзіскай гміне стаіць прыдарожны помнік. Аснова зроблена з палявога валуна і мае вышыню каля метра. На камню бачым выявы мужчыны і жанчыны, паміж якімі відаць крыж. На цокалі замацаваны жалезны крыж кавальскай работы, таксама метровай вышыні. Хто быў фундатарам такога прыгожага помніка? Яго таямніцу разгадаў нам жыхар Беластока Мікалай Скроцкі, якога карані ў Чорнай Царкоўнай.

У гадах 1885-1902 настаяцелем праваслаўнага прыхода ў Чорнай Царкоўнай быў а. **Аляксей Валкоўскі**, выпускнік Літоўскай духоўнай семінарыі. На месцы старой, драўлянай царквы, а. Аляксей пабудаваў тут цяперашнюю *Пакроўскую*, мураваную царкву. Ён таксама аўтар "Гістарычнага і статыстычнага апісання царквы і прыхода ў Чорнай Царкоўнай", выдадзенага з рукапісу ў 1994 годзе. Гэты каштоўны дакумант апісвае гісторыю прыхода, помнікі археалогіі, рэлігійнае жыццё, мову і культуру тутэйшых жыхароў. У апісанні знойдзем, напрыклад, інфармацыю пра тое, што яшчэ ў канцы XIX ст. жыхары Чорнай Царкоўнай гаварылі на беларускай мове: "Мова насельніцтва беларуская з дадаткам пэўных слоў і выказванняў маларускіх. Але гэтая мова ёсць толькі ў чыста праваслаўных мясцовасцях: Чорнай Царкоўнай і Чорнай Сярэдняй". Моўная паланізацыя жыхароў гэтых вёсках пачалася толькі ў міжваенны перыяд.

У іншым месцы свайго "Апісання" а. Аляксей Валкоўскі піша пра прыдарожныя крыжы. Амаль усе яны мелі аднолькавую форму – драўляныя, пераважна дубовыя, высокія, з адною папярэчкаю наверсе. Крыж, які стаяў па дарозе з Чорнай у Сямёны на гэтым фоне вылучаўся. Аўтар "Апісання" піша: „Нечто отличное от этого представляет крест, стоящий за селом Чарной при дороге, идущей в д. Семены. Крест этот поставлен в 1886-м году крестьянином села Чарны Андреем Скроцким; сделан он довольно искусно и красиво из хелеза, высотою более одного сажня, с рельефным (фигурным медным распятием, и утвержден на хорошо раскрашенном каменном пьедестале, вышиною в одну сажень. На пьедестале надпись: «Помилуй нас Господи!». Крест обнесен красиво раскрашенной, прочной (дубовой) оградою на каменном фундаменте. Стоимось этого креста более 30 руб.".

Фундатарамі чарнянскага крыжа былі **Андрэй** і Марыя **Скроцкія**, прадзеды спадара **Мікалая**. Яны гэтым хацелі падзякаваць Госпаду Богу за асаблівую ласку і дар, які ад Яго атрымалі. Сужонства Скроцкіх доўга не мела дзяцей, а тыя, што пасля нараджаліся, у маленстве паміралі. Бацькі не спыняліся ў сваіх малітвах і верылі ў Божую міласць. Ажно нарадзіўся **Рыгор**, пасля **Марыя**. Сын рос здаровым і цешыў бацькоў ды з часам пераняў іх гаспадарку. Рыгор Скроцкі ажаніўся са **Стэфаніяй Фалькоўскай** з вёскі Грабавец каля Бельска. Гэта дзяды спадара Мікалая Скроцкага. Дачка Андрэя і Марыі – Марыя, як падрасла, выйшла замуж за **Пікульнскага** з вёскі Сківы.

У архіве Мікалая Скроцкага захаваліся каштоўныя, архіўныя фатаграфіі сперад **І** сусветнай вайны. На адной з іх бачым Рыгора і Стэфанію Скроцкіх (справа) са сваякамі Годунамі. Усе апрануты элегантна і густоўна. Пры тым Рыгор Скроцкі прэзентуецца ў класічным, беларускім касцюме гэтай эпохі.



У жніўню 1915 года Рыгор і Стэфанія Скроцкія падаліся ў бежанства ўглыб Расіі, адкуль шчасліва вярнуліся.

Дарафей Фіонік
рысунак і фота **з архіва Мікалая Скроцкага**

Хор свойскіх галасоў

– Сустрэліся мы ў Святадухаўскім саборы, – успамінае **Уладзімір Клімюк**. – Кажу жонцы: „Глядзі, Верка Леўчук”. А мая Раіса: „Праўда, здаецца, яна! Але не падыходзь да яе, у царкве не выпадае!” – А я адважыўся: „Ну, калі гэта не яна дык скажа не, і ўсё. Вера, гэта ты?”

– Гэта, што ты мяне пазнаў у царкве, гэта проста цуд! Гэта ж 57 гадоў прайшло! А я падышла, абняла яго, і спахапілася: „Ой, мы ж у царкве! Ды і з самага пераду” – **Вера Леўчук-Валкавыцка** расказвае пра сустрэчу са сваім калегам у пакойчыку «Нівы», куды працягнула і пару артыстаў з аматарскага мастацкага беларускага калектыву, выступаючых на сцэне ў канцы пяцідзесятых гадоў мінулага стагоддзя. І ўсе дарогі сюды вялі. У Беларускае таварыства, у беларускую кампанію. І цяпер мне вядомыя гэтыя асобы – спадар Уладзімір верны чытач ды пераможца шматлікіх гістарычных конкурсаў, не прапускае ні аднаго беларускага мерапрыемства. Танцорка Валянціна Жэшка працавала карэктаркай аж да пенсіі, Вера Леўчук-Валкавыцкая была журналісткай, а Ніна Бручко, пасля Анджэюк, працавала ў сакратарыяце, крыху пісала, канчала студыі, а сур’ёзна задэбютавала на яе старонках... трыццаць гадоў пасля адыходу з рэдакцыі. Кожнае з іх прынесла пакеты здымкаў з выступлення беларускага мастацкага калектыву песні і танца, які выступаў не толькі на Беласточчыне... Ліюцца ўспаміны з часу, калі ім было па 16-17 гадоў. Пераклікаюцца. Як яны тады выглядалі! І дзе яны збіраліся.

– У тадышнім беларускім цэнтры па вуліцы Маніфэсту Ліпнёвага (цяпер святога Роха). Гэта было ў месцы кіно „Сырэна”, але ў дугім будынку, – удакладняе **Валя Жэшка**. А тут і ўспаміны **Сакрата Яновіча**:

– У галіне мастацкай самадзейнасці – **Галена Зюлкоўская** ненатуральнай грацыі накшталт лялькі Барбі, але па-мужчынску энергічная дырыжор хору; дагэтуль кіравала ім **Людміла Панько**, унікальная інтэлігентка з віленскай гімназійнасцю, з мяккай культурнасцю. Балетнай групай камандавала Таццяна Гіжэўская з бельскіх мяшчан, тых шпанукочых у гутарцы на правільное петербургское произношение. Спадарыня Гіжэўская ў паўзы пакурвала папяросы, мела манеры российской мадам, што панічна бянтэжыла парослых звычаёвым мохам бандарска-зубаўскіх донжуанаў. Проста гіпнатычна паралізавала яна іх, выраслых у народнай петушиности. У немалым дзявочым натоўпе хору і балету, у палавой прыцягальнасці моладзі... Рэдакцыю „Нівы” за гэты час перанеслі з Кілінскага на Маніфэсту Ліпцовага, у правае крыло кіно „Сірэна”. На высокім паверсе там, з авальнай залай з траскочучым паркетам знаходзіліся тры пакоі па лініі антрэсолі як быццам, два з якіх займала Таварыства; у трэцім, за калідорчыкам, гнездаваў **Валкавыцкі** з **Баравіком**; журналісты і машыністкі – **Люба Сліжэўская**, **Ніна Бручко** – гугнявілі, як гусі на выгане, на той аграмадзіне з туалетам у глыбокім закутку (сталы стаялі паўкругам). Вечарамі адбываў тут рэпетыцыі тлумны хор, пасля чаго пару паненак спрабавала хутка выйсці замуж папоцемку... Кіраўнічка балетнай групы, спадарыня Таццяна Гіжэўская, трымала свой табунік у моцнай дысцыпліне, слушна лічачы, што любашчы кепска ўплываюць на фізічную кандыцыю танцорак, танцораў...

– Усе мы такія харошыя, – разглядае здымкі Вера Леўчук. – Мяне, з такой сям’і (баптысцкай) навучыла маляваца **Ніна**, з якой я жыла ў яе сястры. І танцаваць я ж не ўмела, не мела таго сцэнічнага руху.

– Затое ты выцягвала дзве актавы, – удакладняе Ніна. – Яшчэ ў беларскім ліэцы хваліў цябе **Яраслаў Кастыцэвіч**, як спявала „Зорку Венеру”... А тут на здымках усе мы... А хто тут?

– **Шміткоўская**, яе муж працаваў у міліцыі. А тут **Ніна Здуневіч**, – узіраецца Валя ў здымак, а вочы ў яе цяпер слабенькія, і прыйшла яна на дзвюх мыліцах, бо хадзіць не дае рады..

– О, Валя, якая ты танцорка была! – распазнае яе, былую танцавальшчыцу з таліяй асы Уладзімір.

– **Валя** была тады яшчэ **Нікіцюк**, – кажа Вера. – А тут на здымку яна з Барысом Жэшка, з усёй кампаніі толькі яны хіба сталі парай.

– Ой, мусім парабіць адбіткі ад здымкаў на памятку! – перакідае здымкі Ніна. – Бо ж не ўсе маем.

– О, тут **Ніна Бручко**, – паказвае Вера смаліставалосую прыгажуню з тэатральнай сцэны Уладзіміру. Белавалосая цяпер Ніна жартуе: „А я сёння акуляраў забылася”.

– Веру я пазнаў, але вас... Мінула аж столькі гадоў! Ніна тады была чорная, як і я... А **Барыс**?.. Даўно не жыве, кажаце, вечная яму памяць... А здымкі размножым бо не ўсе маем. Вось гэты, у снезе, як мы ў Сямятычы едзем на выступленне. А тут здымак з Гродна. На нашым выступенні **Пётр Машэраў** быў. Тут **Кастусь Сідаровіч**. Гэта ў 1957 годзе. А тутака мы на да-



жынках на стадыёне ў Варшаве. А пасля перад Палацам культуры і навукі. Тут – фота з Гарадка. А тут – з арганізацыйнага сходу, у 1956 годзе, у ТППРы, прыйшло 120 чалавек зацікаўленых беларускім самадзейным рухам. Мы паставілі сцэнку, з калаўроткамі, рукадзеллем...

– Вера ў „Паўлінцы", а я – у „Пярэстай красулі", – паказвае здымак Ніна Бручко, дзе яна разам з **Ромкам** (Васем) **Місеюком** і **Колем Капчуком**. А на гэтым ты, Вера, я, і **Зося Бусловіч**. Зося выйшла замуж за нядошлага ксяндза...

– А колькі ў цябе дзяцей, Валодзя? Двое? І ў Зосі двое, і ў Ніны двое. У мяне адно, – пералічвае Вера, цяпер бабуля і прабабуля. – Кончылася нам гулянне ў мастацтва, зараз пайшлі мы дзяцей нараджаць. У мяне жывот быў вялікі, дзе тут ездзіць... А што мы найперш спявалі?

– **Кастусь Каліноўскі** спяваў„Воды арыка бегут как жывые, пераліваясь, журча і звеня", – тут Валодзя і заспяваў усю песню. – Спявалі мы таксама песні розных народаў.

– Потым ён спяваў у „Лявонісе" з **Любай Томчык**, – прыгадвае Вера. – А тут бачу ліст табе з „Нівы" ў адказ на карэспандэнцыю, у якой ты пішаш пра старыя назвы Беластока, з пажаданнямі поспехаў у вучобе. З маім ужо подпісам, бо я апекавалася карэспандэнтамі.

– Я пасля вучыўся ў настаўніцкай студыі, – удакладняе Клімюк, цяпер настаўнік прафесіі ў кравецкай школе. – А я пісаў: „Сапраўды прыходзіцца задумацца нам, жыхарам горада Беластока, як настойліва замазваюцца назвы нашых старых пасёлкаў. Я думаю, што „аседле Пяста" магло б называцца аседлем Баяры або Пячуркі. Старыя назвы лепш падыходзяць да каларыту...". Я запісваў таксама песні з маіх ваколіц, з Цісоўкі, якія спявалі мая мама Гандзя і бабуля Саламея, з якіх нотны запіс зрабіў Сцяпан Копа. Цяпер спісваю гісторыю роду. Пішу. Мы заўсёды трымаліся пры роднай газеце.



– Важна было тое, – кажа Ніна Бручко, – што ўся наша моладзь прыйшла з беларускіх вёсак у горад. І што – мы ўсе адчувалі сябе горшымі. Бо як прызнацца – „мы з беларусаў"?! Мы і раней спатыкаліся – малодшыя ў школе, старэйшыя ў фабрыках. Веры парабіліся Весямі, Ніны Ясямі, Колі Меткамі... І тут раптам родная газета нас згуртоўвае. Мы ўсе адчулі сябе сваімі. Рэпетыцыі адбываліся ў суботу; мы ў суботу працавалі, але пасля збіраліся ў вялікай зале ў кіно „Сірэна". Адны спявалі, іншыя танцавалі. Валя ў **Таццяны Гіжэўскай**, мы ў **Міхася Кавальчука**. Запамятаўся мне адзін момант: Ідзем усе грамадой з рэпетыцыі і заходзім есці ў бар, на Ліповай, насустрач кляцярні І раптам усе пачынаюць гаварыць па-беларуску. А ў нас тыя што абслугоўвалі пытаюцца: „А вы напэўна з Беларусі?" А мы смяемся: „З Гродна мы". Былі і маладыя як і мы, і былі старэйшыя, да трыццаці, як **Оля Фёдарава** (Іванюк, ужо памерла). І гэта дзякуючы газеце набралі мы такой адвагі. Нават я раней перад чужымі прадстаўлялася была „Аліна". Кавальчук быў першым у нас у тэатральным гуртку, а я была „першай актрысай". Мелі мяне выслаць у Мінск у тэатральную школу. А ў танцавальнай групе першымі былі Валя і Барыс. А ў хоры запявайламі былі Вера Леўчук-сапрана і Зося Бусловіч-альт. Калі Кавальчук выбіраў актрысы да п'есы, спытаўся ў мяне: „А як бы ты рыбы лавіла?" Я брала нібы вудачку і паказвала. У „Пярэстай красулі" я іграла галоўную ролю, нарачонай Ромка, а **Толік Петышук** (таксама ўжо не жыве) прыйшоў купляць пярэстую карову. Такая камедыйка... Згуртаваліся тут усе – былі і інжынеры, і геадэзісты, і з „Ухвытаў" рабочыя, і дзяўчаты з фабрык як Оля Фёдарава, і дзяўчаты з офісаў, як я – машыністка. Гэта быў 1956 – 1957 год. У 1957 годзе акурат перанеслася „Ніва" з вуліцы Кілінскага на цяперашнюю вуліцу Роха. Там была аргомная зала,



Злева: Вера Леўчук-Валкавыцкая, Уладзімір Клімюк, Вера Бручка-Анджэюк, Валянціна Жэшка

а ў малой быў кабінет галоўнага рэдактара і сакратара. У дзень сядзелі там журналісты, архівіст, машыністкі, сакратарка, а вечар быў для самадзейнікаў. Рабілі там у „Ніве” штосуботу танцвальныя вечарыны, і нават свой праваслаўны Новы год.

– А я памятаю сход у „Ніве”, – прыгадвае Валя, – калі прыбыў нейкі прадстаўнік улад. Мы рашылі, што будзем гаварыць па-польску, каб ён зразумеў. Пачалі па-польску але скончылі па-беларуску. Але ён зразумеў...

– Валя танцавала, танцавала, і выйшла замуж за таго танцора, і далей танцавала, – смяецца Вера.

– Ездзілі мы сюды, па розных гарадах, – кажа Валя. – Былі ў Варшаве, нават у Кангрэсовай зале. Памятаю, танцавалі тады **Бітнерова** і **Груца** – найлепшыя танцоры Польшчы, і мы ў той самай частцы.

– Я памятаю першы нас выступ у Гарадку, выступленні ў Гродне, у Гайнаўцы, у Белавежы... – успамінае Ніна. – У ТППРы заступіла мяне ў „Паўлінцы” Вера, бо мая сястра замуж выходзіла, і я на вяселле паехала. Усе мы тады былі паненкамі, а калі пайшлі замуж, дык заняліся домам. Толькі Валя далей танцавала з мужам. А „патанцоўкі” прыбілі мы амаль кожную суботу. Я танцавала з Мікалем Капчуком, інжынерам, вельмі нам лёгка танцавалася вальс... Гляджу на здымкі, успамінаю твары. Была такая Надзя з Сацоў, маладзенькая Люба з Целушок, Ірэна, Надзя, якой было далёка па трыццаці, але хутка перастала прыходзіць. А тут на здымку – Вася Місеюк, якога называлі Ромкам. Быў ён нават маім нарачоным, і ў сапраўднасці. Пасля стаў прэзасам кааператыву. Вельмі добры хлопец. Надзежда-архівстка намаўляла мяне, каб я выходзіла замуж за яго, бо ён інжынер. А **Толік Петышук** – быў гандляром, ён быў маім нарачоным у п’есе.

– Мы з Барысом выступалі, аж узнікла „малая „Лявоніха”. Я яшчэ працуючы чатыры гады ездзіла ў Варшаву ў музычную вышэйшую школу, – Валя Жэшка, пасля ўжо музыкай прафесійна не займалася.

– Усе мы вучыліся ў „Ніве”, апрача галоўнага рэдактара і **Міхася Хмялеўскага**, у якіх была вышэйшая адукацыя, – дадае Ніна. – І дзякуючы ёй мы выйшлі на людзей. 11 студзеня 1958 года „Ніва” перанеслася ў Дом прэсы. Усе, цэлы калектыў, пераносілі, пакавалі ўвесь „ніўскі” дабытак. І не стала вялікай залы для рэпетыцый і сустрэч.

Ніна была з Плёсак, Валя з Бельска, Вера з Сакольніка (у Пушчы, цяпер за мяжой) хаця ўсе кажуць што яна з Орлі, Зося з Бельска, Валодзя з Цісоўкі (жонка ягоная з Крынак)...

– Засталося ў нас столькі песень – лістае Вера песні сабраныя Клімюком. – І цяпер маглі б іх заспяваць, можна іх, дарэчы перакласці на нейкі іншы лад.

– Што нам даў удзел у мастацкай самадзейнасці? – мяркуе Ніна Бручко. – Я ўсё маладое жыццё марыла аб тэатры. Здзяйсняліся нашы мары, мы маглі знаёміцца, сустракацца і выступаць. Усе былі разам, пабеларуску. Па-свойску. Кожны быў сабою. Рады мы, што сёння сустрэліся. Спадзяемся водгуку на наш успамін!

Міра Лукша

Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny. Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego
Współfinansowany ze środków Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji
oraz Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416
Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
Redaguje zespół: Michał Bołtryk, Andrzej Charyło, Eugeniusz Czykwin (red. naczelny), Doroteusz Fionik
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji), Anna Petrovska, Anna Radziukiewicz, Dorota Wysocka
Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka
Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz
Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57
e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl/samiosobie



Pomóżmy parafii w Afryce

W sierpniu ubiegłego roku Polskę odwiedził o. **Constantinos Eliud Muthiru**, kenijski duchowny z patriarchatu aleksandryjskiego, który prowadzi Prawosławne Centrum Misyjne św. Ireny w miejscowości Njabini, oddalonej o około sto kilometrów od stolicy, Nairobi. Funkcjonuje tam sierociniec i szkoła, której uczniowie, oprócz bezpłatnej edukacji, otrzymują codziennie posiłki. Dwieście dzieci objętych jest opieką medyczną i wsparciem psychospołecznym. Pisaliśmy o tym w PP 10/2019. Informacje o działalności prawosławnej misji dostępne są na stronie www.stireneorthodoxmission.org.

Pomoc ma istotne znaczenie, gdyż w Kenii, gdzie mieszka ponad 47 milionów ludzi, połowa z nich żyje poniżej granicy ubóstwa, często w niedożywieniu. Według szacunków UNICEF ponad dwa miliony dzieci to sieroty, utrzymujące się z żebractwa na ulicach dużych i małych miast. Edukacja, zarówno w wymiarze publicznym jak i prywatnym, jest płatna. Organizowanie wsparcia kenijskim, biednym dzieciom przyczynia się do poprawy ich sytuacji życiowej. Możliwe jest to jedynie dzięki pomocy ludzi dobrej woli, którym nie jest obojętny los osób ubogich i potrzebujących.

– Działalność misyjna centrum św. Ireny w Njabini odgrywa ważną rolę w szerzeniu wiary prawosławnej w lokalnej społeczności. Liturgie są sprawowane regularnie w sali lekcyjnej w prowizorycznej szkole, czyli drewnianym baraku, który przystosowywany jest do potrzeb nabożeństw. Brak świątyni to obecnie największy problem wspólnoty.



Niezbędne jest wybudowanie cerkwi, gdzie w godnych warunkach dzieci i ich rodzice mogliby się modlić. Z błogosławieństwa arcybiskupa Nairobii i egzarchy całej Afryki Wschodniej **Makariosa** (**Tillyridisa**) podjęto decyzję o wzniesieniu świątyni. W sierpniu ubiegłego roku zwracaliśmy się do wiernych Cerkwi prawosławnej w Polsce o wsparcie finansowe, umożliwiające realizację tego przedsięwzięcia – mówi **Anna Blakicka**, wolontariuszka, która przez miesiąc przebywała w Kenii.

Dzięki ofiarności dobrych ludzi, przede wszystkim z Podlasia, udało się zebrać 85 tysięcy złotych, co umożliwiło rozpoczęcie budowy cerkwi. Sporządzono niezbędną dokumentację, wykonano projekt architektoniczny, uzyskano pozwolenie na budowę. Nowa świątynia o powierzchni 535 metrów kwadratowych będzie mogła pomieścić około trzystu osób. Arcybiskup Makarios poświęcił kamień węgielny pod jej budowę na placu, znajdującym się naprzeciwko szkoły i sierocińca. W styczniu i lutym tego roku wykonano niezbędne prace ziemne, fundamenty i ich izolację, a także wzniesiono murowane ściany o wysokości trzech metrów.

– Chciałbym serdecznie podziękować w imieniu całej naszej ubogiej wspólnoty wszystkim ofiarodawcom z Polski, którzy tak licznie otworzyli swe serca i hojnie wsparli nasz projekt budowy cerkwi. Modlimy się, aby dobry Bóg obdarzał was swym błogosławieństwem na długie lata. Jeżeli będzie na to wola Boża, będziemy mogli wkrótce wznosić modlitwy w naszej własnej cerkwi. Chociaż w Kenii żyje kilka razy więcej prawosławnych wiernych niż w Polsce, nie jesteśmy w stanie sami dokończyć budowy świątyni.

Brakuje nam jeszcze około 90 tysięcy złotych na wykonanie pozostałych prac i zakup niezbędnego wyposażenia. Dlatego ponownie zwracamy się z prośbą o wsparcie finansowe. Mamy nadzieję, że z Bożą pomocą ukończymy rozpoczęte dzieło. Myślę, że wraz z powstaniem świątyni z pewnością przybędzie również nowych prawosławnych wiernych. Chwała Bogu za wszystko, czyli w języku suahili *Utukufu kwa mungu kwa Kila kitu* – stwierdza o. Constantinos Eliud Muthiru, proboszcz parafii św. Ireny w Njabini.

Andrzej Charyło

fot. **o. Constantinos Eliud Muthiru**



Pomóc w budowie cerkwi można, dokonując wpłaty na konto diecezji z dopiskiem „Cerkiew w Kenii".

Prawosławna Diecezja Białostocko-Gdańska
ul. Świętego Mikołaja 3
15-419 Białystok
98 1020 1332 0000 1302 0026 0281

Jeśli chcą Państwo wesprzeć działalność Fundacji, wpłat można dokonywać na konto: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

z dopiskiem „Wsparcie działalności statutowej”

Prenumerata e-wydania Przeglądu Prawosławnego

Roczna prenumerata e-wydania kosztuje 48 zł – 4 zł za jedno wydanie

---

Roczniki Przeglądu oprawiamy

Możemy oprawić bieżące roczniki Przeglądu Prawosławnego w cenie 70 zł za tom liczący 816 stron. Zamówienia zbieramy przez cały rok – ulica Składowa 9, 15-399 Białystok, telefon 85 / 742 18 57, e-mail: redakcja@przegladprawoslawny pl. Oprawione tomy będzie można odebrać w redakcji albo zostaną wysłane pocztą. Koszt wysyłki pokrywa odbiorca.

Przegląd Prawosławny, miesięcznik
ISSN 1230-1078 Nr indeksu 371416

Wydawca
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego

Redaguje zespół w składzie
Michał Bołtryk, Andrzej Charyło, Eugeniusz Czykwin (redaktor naczelny)
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji)
Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Stale współpracują
o. Konstanty Bondaruk, Jarosław Charkiewicz, Doroteusz Fionik, Paweł Krysa
o. Marek Ławreszuk, Mira Łuksza, o. Włodzimierz Misijuk, Aleksander Naumow
Grzegorz Jacek Pelica, Anna Petrovska, Anna Rydzanicz, o. Stanisław Strach

Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka

Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz

Projekt okładki: Anna Miszczuk

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9
tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

E-mail: **redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl**

Redakcja Przeglądu Prawosławnego działa na swoją odpowiedzialność.
Nie angażując autorytetu Cerkwi, stara się jej wiernie służyć

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca, a także zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych

Nakład: 5000 egz.

PRENUMERATA

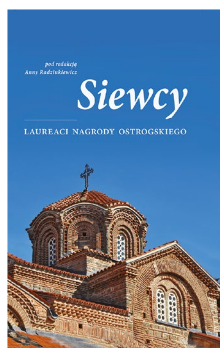
Prenumerata za pośrednictwem redakcji (koszt egzemplarza i wysyłki):
miesięczna: Polska **11,00 zł**; Europa **17,00 zł**, USA i Kanada **20,00 zł**, Australia **20,00 zł**. **Kwartalna:** Polska **33,00 zł**, Europa **51,00 zł**, USA i Kanada **60,00 zł**, Australia **60,00 zł**. **Półroczna:** Polska **66,00 zł**, Europa **102,00 zł**, USA i Kanada **120,00 zł,** Australia **120,00 zł**. **Roczna:** Polska **132,00 zł**, Europa **204,00 zł**, USA i Kanada **240,00 zł**, Australia **240,00 zł**.

Przegląd można prenumerować poprzez PP Pocztę Polską (w urzędzie pocztowym lub u listonosza). Jest do kupienia w parafiach prawosławnych, kioskach Ruchu i sklepach spożywczych na Białostocczyźnie.

Fundacja Ostrogskiego poleca



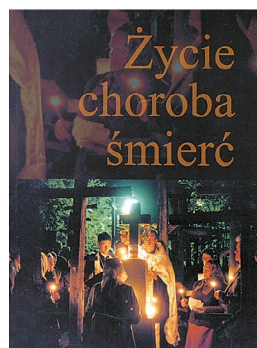
Cena 1 egzemplarza (w tym 5% VAT) u wydawcy 15 zł, z wysyłką pocztową zwykłą 19 zł, hurtowa powyżej 5 egz.) – 10 zł



Cena 1 egzemplarza (w tym 5% VAT) u wydawcy 25 zł, z wysyłką pocztową zwykłą 32 zł hurtowa (powyżej 5 egz.) – 20 zł)



Cena 1 egzemplarza (w tym 23% VAT) u wydawcy – 6 zł, z wysyłką pocztową – 10 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy – 10 zł, z wysyłką 14 zł



Cena 1 egz. (w tym 5% VAT) u wydawcy – 40 zł, z wysyłką – 48 zł.

ul. Składowa 9, 15-399 Białystok Konto: 98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

Zbliżenia

ANATOL, lat 59, pracujący, mieszka na wsi w województwie podlaskim, pozna panią do lat sześćdziesięciu. Tel. 531 561 611

ANNA, białostoczanka, lat 61, pozna pana bez nałogów do lat 65. Tel. 791 780 765

BIAŁOSTOCZANIN, dobry, poważnie myślący o życiu, pozna pannę w wieku 33-39 lat, wierzącą, rozsądną, z odpowiednim podejściem do życia, uczuciową i wrażliwą. E-mail: prawoslawny2018@wp.pl

BIAŁOSTOCZANKA, lat 65, pozna pana uczciwego, odpowiedzialnego i kulturalnego do lat 65. Tel. 506 768 241

BIAŁOSTOCZANKA, lat 62, pozna pana zmechanizowanego, bez nałogów. Tel 883 506 001

KAWALETR, lat 47, mieszkający w okolicy Siemiatycz, szczupły, bez nałogów, pozna panią w zbliżonym wieku. Tel. 782 451 986

KAWALER, lat 40, spokojny, bez nałogów, prowadzący niewielkie gospodarstwo rolne, pozna pannę w stosownym wieku w celu nawiązania poważnej znajomości. Tel. 518 248 426, e-mail: marko7825@wp.pl

KAWALER, lat 40, praktykujący, pozna panią głęboko wierzącą i żyjącą w zgodzie z naukami prawosławia. Tel. 736 674 197

MIŁY, niebrzydki, odpowiedzialny, pozna pannę w wieku 25-34 lata, wierzącą, rozsądną, z poważnym podejściem do życia, uczuciową i wrażliwą. E-mail: jestem2018@wp.pl

PIOTR, lat 35, bez nałogów, z Białegostoku, wykształcenie wyższe, pozna pannę w wieku 30-35 lat. Tel. 608 165 753

PODLASIANIN, wierzący, bez zobowiązań i nałogów, pracujący, pozna panią poważnie myślącą o życiu w wieku 50-60 lat. Tel. 577 702 556

PODLASIANIN, 42 letni prawosławny kawaler, odpowiedzialny, zaradny, pracujący, bez nałogów i zobowiązań, pozna poważnie myślącą o życiu dziewczynę w stosownym wieku w celu nawiązania poważnej i realnej znajomości. E-mail: samotny77@onet.pl

PODLASIANIN, kawaler, rencista, z domem i działką, lubiący dobrą książkę i film, pozna panią w wieku od 43 do 56 lat. Tel. 696 865 895, e-mail: amlinarczuk@gmail.com

PODLASIANKA, lat 56, pozna uczciwego pana, bez nałogów, w zbliżonym wieku. Tel. 576 822 851

UCZCIWY, spokojny mężczyzna, pozna wierzącą, spokojną panią do 50 lat. Tel. 503 560 444

WDOWIEC, lat 66, optymista, pozna panią z Białegostoku lub okolic, patrzącą w przyszłość z nadzieją, że wspólnie można osiągnąć więcej. Tel. 736 774 113

WIERZĄCY, lat 57, szczupły, pozna panią o dobrym sercu i wrażliwej duszy. Tel. 503 560 444

WOLNA, lat 55, pracująca, wysoka białostoczanka, otwarta na świat, ceniąca szczerość i uczciwość, pozna odpowiedzialnego, kulturalnego, wysokiego pana do lat 60. Tel. 577 032 726

WYSOKI, lat 61, zdecydowany, pozna skromną, uczciwą panią w podobnym wieku. Na sms-y nie odpowiada. Tel. 607 495 790.

- **Zamieściliśmy bezpłatne kwietniowe i majowo-czerwcowe e-wydanie Przeglądu na stronie www.przegladprawoslawny.pl**
- **Prenumerata Przeglądu dobrym paschlnym prezentem dla najbliższych! Polecamy prenumeratę elektroniczną lub tradycyjną**



JUBILEUSZ I EPIDEMIA

W maju minie 35 lat od wyjścia w świat pierwszego numeru naszego pisma. Historia Przeglądu Prawosławnego była i stabilna, i wyboista, kiedy zdawało się że – już lada miesiąc – schodzimy ze sceny. Ale trwaliśmy.

A teraz? Same pytania – o długość trwania epidemii, o kształt świata po koronawirusie, o związki między ludźmi i narodami, o bankrutów i wygranych i o nas samych – czy przetrwamy?

W ostatnich latach sami skazywaliśmy się na izolację. Wielu myślało tylko o sobie. Teraz izolacja została nam narzucona albo świadomie wybrana. Zatrzymaliśmy się jakby w bezruchu. Ze zdumieniem patrzymy na człowieka XXI wieku. Nagle wirus – nieznany, mały, podstępny – odziera go z pychy, karmionej od oświecenia, że jest panem tego świata, że ze wszystkim da radę.

Co dalej z Przeglądem? Najbliższy numer, poszerzony do 84 stron, wydajemy na dwa miesiące – maj i czerwiec. Ten numer PP można będzie kupić nawet w czerwcu.

Nie chcemy rezygnować z papierowej formy wydawania Przeglądu. Taka przypomina spojrzenie w twarz drugiemu człowiekowi, uścisk dłoni, w porównaniu z przekazem elektronicznym. A tak praktycznie – wielu naszych czytelników jest w wieku starszym. Dla wielu z nich elektroniczna forma jest niedostępna. Winniśmy im wierność.

Koronawirus może zrujnować naszą, z trudem osiąganą, finansową stabilność. Każdy scenariusz jest możliwy.

Na razie kwietniowe i majowo-czerwcowe wydanie Przeglądu zamieszczamy bezplatnie w elektronicznej wersji na stronie www.przegladprawoslawny.pl. Chcemy i w ten sposób docierać do naszych wiernych Czytelników.

Oczywiście można skorzystać ze stałej prenumeraty elektronicznej – 4 zł za jedno wydanie, 48 zł za roczną prenumeratę (rozpoczynaną w dowolnym miesiącu i trwającą w dowolnym okresie). O preunumeracie na stronie 82.

Prosimy także o wsparcie w postaci 1%. Zawsze przy zagrożeniach naszego funkcjonowania strumień wsparcia w postaci 1% był większy niż w okresach stabilnych. Trudno nam liczyć na pomoc ze strony budżetu państwa – i tak była niewspółmiernie niska w stosunku do wysokości nakładu w porównaniu z innymi pismami „mniejszościowymi" i trzeba było o nią usilnie zabiegać.

Można wpłacać pieniądze i na konto Fundacji Ostrogskiego, wydawcy Przeglądu Prawosławnego, z dopiskiem „darowizna", co pozwoli na odliczenie podatku dochodowego od wpłaconej kwoty.

Chcemy być razem z Wami, drodzy Czytelnicy, przez kolejne lata!

Redakcja

Drodzy Czytelnicy! Znikoma sprzedaż drukowanego wydania nie pozwala na pokrycie kosztów funkcjonowania redakcji. Jeśli zechcecie nas wesprzeć w trudnym czasie prosimy o: **1% z waszych podatków (KRS 0000106814), wpłaty na rzecz wydawcy Przeglądu Prawosławnego, z dopiskiem „darowizna"**, (Fundacja Ostrogskiego, ul. Składowa 9, 15-399 Białystok, **98 1240 5211 1111 0010 3993 4278**)

FUNDACJA IM. KSIĘCIA KONSTANTEGO OSTROGSKIEGO



Fot. Anna Radziukiewicz

Paschalnej pogody i uśmiechu!

ISSN 1230-1078

